

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753
Rok IV • Nr 4 (15)
2018

J. Andrzejczak
A. Bańkowska
A. Bernat
J. Binkowski
A. Bojarska
T. Bołdak-Janowska
K. Boruń-
-Jagodzińska
W. Chmielewski
K. Choiński
J. Cywińska
F. Czarnyszewicz
R. Częstochowski
D.J. Ćirić
P. Dunin-Wąsowicz
J. Durski
Cz. Hajduk
J. Jagiełło
W. Karwowska
E. Kasjanowicz
B. Kołodziejczykowa
J.B. Kos
A. Książek
W. Kudyba
R. Lasota
A. Lizakowski
Z. Lubicz-Miszewski
W. Mandryka-
-Bukowiński
K. Masłoń

P.. Müldner-Nieckowski
A. Nasiłowska
M. Olbromski
W. Oramus
A. Ostromęcki
J. Pankiewicz
J. Papuzińska
A. Patey-Grabowska
M. Pękala
J.K. Piasecki
M.K. Piekarska
A. Pieńkowski
M.. Proust
baśka ER
K. Rodowska
D. Sękalska
T. Sułowska-
-Bojarska
K.S. Schreyer
K. Świegocki
J. Strękowski
G. Strumiłło
-Miłosz
J. Seipp
K. Sutarski
J. Śleszyński
S. Tontić
G. Walczak
P. Wojciechowski
Z. Zbikowski



Janusz Głowacki



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok IV Nr 4 (15) 2018

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelna

Małgorzata Karolina Piekarska

Prezes OW SPP

Zastępca redaktora naczelnego

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki,

Michał Dąbrowski, Manula Kalicka,

Małgorzata Strękowska-Zaremba,

Zbigniew Zbikowski

Korekta

Krzysztof Beśka, Małgorzata Strękowska-

-Zaremba, Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, www.c-p.com.pl

Z ŻYCIA OW SPP

Małgorzata Karolina Piekarska

Jesień jest zawsze bogata. 3

Teresa Sułowska-Bojarska (1923-2013)

Biogram. 5

Teresa Sułowska-Bojarska

Wiersze. 10

Krzysztof Masłoń

Laudacja prozy Wojciecha

Chmielewskiego. 15

Zbigniew Lubicz-Miszewski,

Barbara Kołodziejczykowa

Jerzy Bogdan Kos (1931-2018) 18

NOWI CZŁONKOWIE OW SPP

Czesław Hajduk. 23

Andrzej Książek. 24

Wiesław Mandryka-Bukowiński. 26

Ślub Alicji Patey-Grabowskiej

i Krzysztofa Saturnina Schreyera .. 28

Jubileusz Joanny Papużyńskiej 29

OW SPP „Pod Sowami” 30

Grażyna Strumiłło-Miłosz

(1937-2018) 33

Boże Narodzenie 2018 35

Anna Bernat. 35

Jerzy Binkowski. 37

Katarzyna Boruń-Jagodzińska 38

Jolanta Cywińska. 40

Joanna Jagiełło. 40

Walentyna Karwowska. 41

Wiesław Mandryka-Bukowiński. 42

Piotr Müldner-Nieckowski. 43

Anna Nasiłowska. 44

Andrzej Ostromecki. 45

Alicja Patey-Grabowska. 46

Marek Pękała. 48

Antoni Pieńkowski. 51

Krzysztof Saturnin Schreyer. 52

Piotr Wojciechowski. 53

Zbigniew Zbikowski. 56

DLA DZIECI – MŁODZIEŻY

Rafał Lasota

Moja własna Niepodległość, Zimna

Zima, Zając gapa. 59

Kazimierz Świągocki

Do krokodyla, Do renifera 62

ESEJ
Paweł DuninWąsowicz

Cmentarz Bródnowski 64

Anna Nasiłowska

Polonez stulecia 71

Kazimierz Świągocki

Gnothi seauton, cz. 4. 74

KRYTYKA
Jerzy Binkowski

O książce Wojciecha Kudyby

„Imigranci wracają do domu” 82

O Florianie Czarnyszewiczu 84

Jan Strękowski

„Cegiełki” J.K. Piaseckiego 88

POEZJA
Anna Bańkowska

Co z tego? 91

Jerzy Binkowski

Jesienny jestem 92

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Trzy wiersze z Łodzi 93

Ryszard Częstochowski

Wiersze 100

Joanna Jagiełło

Tutaj, Czego nie było, Jeszcze. 104

Eugeniusz Kasjanowicz

Wiersze 106

Andrzej Książek

Wiersze 109

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Wiersze 112

Piotr Müldner-Nieckowski

Wiersze 117

Mariusz Olbromski

Wiersze z Aidy i nie tylko. 119

Alicja Patey-Grabowska

Wiersze 122

baśka ER

*** 126

Krzysztof Saturnin Schreyer

Wiersze 127

Jerzy Seipp

Tryptyk bolesny, Część III 131

Konrad Sutarski

Wiersze, noty 138

Jerzy Śleszyński

Wiersze 144

Kazimierz Świągocki

Ad Deum absconditum, Drzewo

drzew, Mowa, Po coś Boże 146

Grzegorz Walczak

Wiersze z cyklu „Hellada zastygła

w mit” 151

PROZA
Janusz Andrzejczak

Nibychatka 155

Tamara Bołdak-Janowska

Ktoś tu mieszkał, Przygoda 160

Krzysztof Choiński

W zawieszeniu 170

Jacek Durski

Aby zbliżyć się do Ciebie... 176

Czesław Hajduk

Pan Abraham 178

Wiesława Oramus

Trochę o fragmencie obrazu 182

Jacek Pankiewicz

Myślenie po polsku 186

Alicja Patey-Grabowska

Śnieg gorejący 194

Antoni Pieńkowski

Syzyf i dynia 200

Danuta Sękalska

Cudzoziemka czy dama

Rzeczpospolitej. 204

PRZEKŁADY
Dorota Jovanka Ćirlić

Stevan Tontić 214

Krystyna Rodowska

Posłowie

(do przekładu z M. Prousta). 225

SYLWY – DIARIUSZE – NOTY
Adam Lizakowski

Jak zostałem „Noblistą” 236

Krzysztof Saturnin Schreyer

Malta 240



By zostać z nami na dłużej...

Gdy jako nastolatka chodziłam na warsztaty literackie, moi nauczyciele, wśród których nie brak członków naszego stowarzyszenia, mówili: „Tekst, nad którym pracujemy krótko, podobnie krótko żyje”. Ten numer powstawał bardzo długo. Mam więc szczerą nadzieję, że choć ukazuje się z opóźnieniem, trochę wśród czytelników pożyje. Zresztą... kwartalnik literacki „Podgląd” jest specyficznym pismem. Jako czasopismo literackie właściwie się nie starzeje. Ten numer jest dość gruby nie tylko w części literackiej, ale także tej z życia OW SPP. Niestety znów żegnamy przyjaciół, którzy odeszli od nas do niebieskiego oddziału – między innymi Grażynę Strumiłło-Miłosz. A także wspominamy Teresę Bojarską – niedawno minęła piąta rocznica jej śmierci i dziewięćdziesiąta piąta urodzin. Witamy również nowych autorów, to Czesław Hajduk, Andrzej Książek i Wiesław Mandryka-Bukowiński. Mamy nadzieję, że nie poprzestaną na jednej publikacji i nadeślą kolejne.

W bieżącym numerze, po raz pierwszy, na czwartej (tylnej) stronie okładki zamieszczamy skan wiersza jednego z naszych kolegów – nieodżałowanego Jerzego Górzańskiego. Będziemy starali się, by w każdym kolejnym numerze na ostatniej stronie pojawiały się wiersze tych, za którymi tęsknimy. By były to krótkie teksty, mocne przypomnienia. Takie, które każdy czytelnik ma szansę zapamiętać. Aby ci wspaniali pisarze dzięki temu po literacku mogli trwać wśród nas dłużej, nawet wtedy gdy odłożymy numer „Podglądu” na półkę.

Małgorzata Karolina Piekarska



Warszawa u wylotu Krakowskiego Przedmieścia
Kolumna Zygmunta III Wazy i Dom Literatury

Teresa Sułowska-Bojarska (1923-2013)

Dnia 30 listopada 2018 r. minęło pięć lat od odejścia Teresy Sułowskiej-Bojarskiej. Była do końca swych dni czynnym członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddziału Warszawskiego. Jej postawa wobec życia była zdecydowana, mocna, pełna wiary. Mówiła o sobie, że jest żołnierzem i pisarzem.

Debiutowała w 1936 r. opublikowanym w „Wieczorze Warszawskim” opowiadaniem *Moja pierwsza miłość*, ale swą dojrzałą literacką twórczość rozpoczęła stosunkowo późno, bo dopiero w latach sześćdziesiątych XX wieku, kiedy mieszkała we Włocławku. W okresie włocławskim pisała i wydawała przede wszystkim książki o tematyce historycznej, nawiązujące do dziejów Pomorza i Kujaw, oraz wiersze; teksty związane z najnowszą historią Polski ujawniała – ze względu na ówczesną sytuację polityczną – jedynie w fragmentach. Po powrocie do Warszawy w latach dziewięćdziesiątych w swej twórczości sięgała głównie do czasów drugiej wojny światowej, szczególnie Powstania Warszawskiego. Ważne miejsce w jej twórczości zajmują motywy chrześcijańskie i postaci wpisane w dzieje Kościoła w Polsce.

Wydała kilkanaście książek, głównie powieści: *Czerwone gryfy* – tryptyk powieściowy, na który składają się: *Czerwone gryfy* (1965), *Bogusław i Anna* (1966), *Czas samotności* (1967); *Cierniowa mitra* [opowieść biograficzna o zamordowanym w Dachau biskupie włocławskim Michale Kozalu] (1969), *Kontredans kujawski* [powieść o pułkowniku Stanisłao Bechim i powstaniu styczniowym na Kujawach] (1971), *Na jednym płótnie* [powieść] (1974), *Requiem dla ostatniego wikinga* [powieść] (1974), *To było w maju* [tom wierszy] (1975), *Byłam królowną* [powieść] (1977), *Wskrzeszenie Łazarza* [powieść] (1979), *Czas powierzony nam* [tom wierszy] (1980), *W imię trzech krzyży. Opowieść o Julii Urszuli Ledóchowskiej i jej zgromadzeniu* (1981), *Ucho igielne. Ks. August Czartoryski, salezjanin 1858-1893*



[opowieść biograficzna] (1983), *Ścieżki zdrady* [powieść] (1985), *Życie z życia* [wiersze] (1987), *Twierdza przy Czerniakowskiej* [wspomnienia dotyczące szkoły siostr nazaretanek w Warszawie, na podstawie zbiorów archiwalnych] (1994), *Świtanie, przemijanie* [powieść] (1996), *Świeradową przebiegają: o pierwszym polskim lekarzu* [powieść napisana razem z Gerwazym Świdorskim] (2001), *Codziennosc: sierpień-wrzesień 1944* [wspomnienia z Powstania Warszawskiego] (2008).

Teresa Sułowska-Bojarska była też autorką słuchowisk radiowych, opartych na swych utworach, adaptacji teatralnych (interesowała się teatrem, reżyserią), biogramów, artykułów. Niektóre jej utwory ukazały się w formie nagrań dla niewidomych i zostały wydrukowane alfabetem Braille'a. Publikowała w takich czasopismach, jak „Stolica”, „Kultura”, „Fakty i Myśli”, „Poznaj swój kraj”, „Życie Warszawy”, „Ład Boży”, „Kujawy”, „Gazeta Pomorska”, „Głos Wybrzeża”. Była bohaterką wielu wywiadów, audycji radiowych. W 2012 r. zrealizowano poświęcony jej film dokumentalny pt. *Teresa Sułowska-Bojarska – wygrane życie łączniczek* (reż. Marek Widarski). Pisała zawsze, w każdym momencie życia.

Przyszła na świat 30 lipca 1923 r. w Zalesiu koło Płocka, w majątku swego ojca. Była córką Stanisława Sułowskiego h. Strzeżenie (1887-1956) i Kazimierzy z Rozwadowskich h. Trąby (1895-1981). Pochodziła z rodziny ziemiańskiej i inteligenckiej (ojciec, inżynier mechanik, studiował w Heilderbergu). W domu pielęgnowano polską kulturę, nawet małym dzieciom czytano książki Sienkiewicza i Prusa, żywe były tradycje patriotyczne i w tym duchu wychowywano młodych. W czasie okupacji niemieckiej wszystkie dzieci Kazimierzy i Stanisława Sułowskich (pięcioro) zaangażowały się w działalność konspiracyjną. Rodzice Teresy w trudnych latach kryzysu ekonomicznego często zmieniali majątki i miejsca pobytu. Rodzina mieszkała w Gabrysinie, w Zalesiu k. Płocka, w Głoskowie k. Warszawy, na Kujawach. Ostatecznie majątek został zlicytowany i pod koniec lat trzydziestych zamieszkali w Warszawie, choć nie zerwali kontaktu ze środowiskiem ziemiańskim. Punktem oparcia, szczególnie dla Kazimierzy Sułowskiej (matki Teresy) i jej młodszych dzieci, był należący do hrabiny Rozwadowskiej (matki Kazimierzy) majątek Kobylniki niedaleko Wyszogrodu.

Teresa Sułowska w dzieciństwie program szkoły początkowo realizowała w domu, szkołę powszechną ukończyła w Warszawie. W 1936 r. rozpoczęła naukę w warszawskim Prywatnym Żeńskim Gimnazjum i Liceum SS. Nazaretanek przy ul. Czerniakowskiej, w szkole, do której uczęszczały dziewczęta najczęściej z rodzin przemysłowców, ziemian, inteligencji,

oficerów Wojska Polskiego. Edukację przerwał wybuch wojny. Jako nastoletnia dziewczyna włączyła się do prac związanych z obroną stolicy – kopała rowy przeciwczołgowe i pomagała w zabezpieczaniu zbiorów Muzeum Narodowego. Na początku września 1939 r. wraz z ojcem (matka pozostała na wsi z młodszymi dziećmi, starszy brat został zmobilizowany, starsza siostra była w zakonie) opuściła stolicę – udali się aż za Bug do majątku znajomych. Tu 17 września przeżyli wkroczenia wojsk radzieckich. Ze względu na przynależność do warstwy ziemiańsko-inteligenckiej znaleźli się w szczególnie niebezpiecznej sytuacji. Udało im się uniknąć śmierci lub zesłania dzięki pomocy jednego z mieszkańców wsi, który przechował ich w swojej stodole i umożliwił ucieczkę. Do Warszawy wróciła w połowie października 1939 r. Kontynuowała – już w warunkach okupacyjnych – naukę w swojej szkole (w czasie okupacji nazaretanki prowadziły oficjalnie krawiecką szkołę zawodową, konspiracyjnie – gimnazjum i liceum).

W Liceum SS. Nazaretanek w kwietniu 1943 r. zdała egzamin maturalny. W czasie pobytu w tej szkole włączyła się do konspiracji, w marcu 1941 r. złożyła przysięgę. Została skierowana do I Oddziału (Organizacyjnego) Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej (następnie Armii Krajowej). Odbyła różne kursy prowadzenia walki: łączności, sanitarny, obserwacji i rozpoznawania wojsk niemieckich, posługiwanie się bronią, obsługiwanie stacji nadawczo-odbiorczej, szyfrowania. W połowie 1943 r. została szyfrantką, otrzymała pseudonim „Dzidzia” (Taki pseudonim miał dezinformować, bo sugerował, że chodzi o głupiutką dziewczynę). Szyfrowała i rozszyfrowywała meldunki i informacje, prowadziła obserwacje, uczestniczyła jako stenografka w spotkaniach dowództwa.

Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie, wzięła w nim udział. Została przydzielona jako łączniczka do Wojskowej Służby Ochrony Powstania, w składzie Zgrupowania Pułku Baszta, w Obwodzie V Warszawskiego Okręgu AK na Mokotowie; otrzymała pseudonim „Klamerka”. Jej bezpośrednim przełożonym był porucznik „Pas”, Jan Tomasz Krzyżkiewicz (1896-1944). Przenosiła meldunki, ale też zdobywała i przewoziła żywność dla powstańców, przeprowadzała i opatrywała rannych. We wrześniu 1944 r. została ranna w nogę, w ramię i głowę. Po kapitulacji Mokotowa (27 września) dostała się do niemieckiej niewoli i tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności i pomocy niemieckiego żołnierza (prawdopodobnie Ślązaka), który mimo jej sprzeciwu przeniósł ją do grupy osób cywilnych, udało się jej uniknąć śmierci lub wywózki do obozu koncentracyjnego. Kilka tygodni leżała w szpitalu w Milanówku, tam przeszła, w bardzo

prymitywnych warunkach, operację nogi. W lutym 1945 r., po wycofaniu się Niemców, wróciła na krótko – „o kulach” – do Warszawy, by pracować przy ekshumacjach i pochówkach poległych powstańców, a przede wszystkim po to – jak zaznaczyła po latach – by pochować swojego poległego dowódcę, porucznika „Pasa”.

W 1945 r. Sułowsky spotkali się po wojennej „rozsypce” we wsi Ryłsk Duży, niedaleko Rawy Mazowieckiej, w majątku należącym do ich krewnego. Tam przeżyli wkroczenie Armii Czerwonej (z jednej strony radość, bo wyparto Niemców, z drugiej – lęk i niepewność w związku z brutalnym zachowaniem wyzwoliciele). W Ryłsku, niedługo po wkroczeniu Rosjan, młoda Teresa Sułowska założyła szkołę powszechną dla dzieci i dorosłych (bardzo dużo analfabetów), w której była jedyną nauczycielką. Kolejnym przystankiem w jej życiu – jak się okazało, na wiele lat – stała się Łódź.

We wrześniu 1945 r. rozpoczęła studia polonistyczne na Uniwersytecie Łódzkim, po dwóch latach przeniosła się na pedagogikę. W 1950 r. wyszła za mąż za Zbigniewa Bojarskiego, również powstańca warszawskiego pseud. Połaniecki z Batalionu Odwet, i urodziła córkę Joannę. Studia przerwała w 1951 r. nie do końca z własnej woli. Miała zaliczone dwa lata filologii polskiej i trzy lata pedagogiki. Absolutorium otrzymała w 1952 r. Trudne warunki materialne i polityczne zmuszały ją do podejmowania pracy w różnych miejscach.

W 1946 r. pracowała jako nauczycielka języka polskiego w gimnazjum w Ozorkowie i – równocześnie – w gimnazjum dla dorosłych (w gimnazjum w Ozorkowie pracowała do 15. 02. 1949 r., w gimnazjum dla dorosłych – do stycznia 1948 r.). Pełniła też funkcję kierowniczką świetlicy Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Łodzi (od 21. 01. 1948 r. do 21. 11. 1948 r.) i kierowniczką Biblioteki Rejonowej w Łodzi (od 1. 02. 1949 do 31. 05. 1953 r.). Pracowała również jako bibliotekarka i instruktorka żywego słowa w Domu Harcerza w Łodzi (od 1. 09. 1953 r. do 31. 08. 1954 r.) i wychowawczyni w sanatorium w Łągiewnikach (od 15. 02. 1955 r. do 31. 08. 1955 r.). W 1955 r. zaczęła pracować jako nauczycielka w łódzkich szkołach podstawowych – kolejno: w SP nr 52, SP nr 134 (od 1. 09. 1957 do 31. 08. 1960) i SP nr 98 (od 1. 09. 1960 r.). W 1963 r. Teresa Bojarska przeniosła się wraz z mężem i dwiema już córkami Joanną i Anną do Włocławka. Przeprowadzka miała związek z pracą jej męża, neurochirurga, który w nowo powstałym Szpitalu Ziemi Kujawskiej stworzył oddział neurochirurgii i został jego ordynatorem. Tu, na Kujawach, także pracowała jako nauczycielka: w Szkole Podstawowej nr 6, w Szkole Podstawowej nr 9, w szkole przy Szpitalu nr 2, w Szkole Podstawowej nr 4.

Pracę w szkole, mimo dużego zaangażowania, znacznie utrudniał jej zły stan zdrowia (miało to związek z ranami odniesionymi w powstaniu warszawskim), musiała korzystać ze zmniejszonego pensum, zwolnień lekarskich i urlopów. W 1968 r. została, na własną prośbę, przeniesiona przez władze oświatowe w „stan pozasłużbowy”; wkrótce przeszła na rentę jako inwalida wojenny. We Włocławku mieszkała do 1993 r., do czasu przejścia męża na emeryturę, i czuła się bardzo związana z tym miastem. Wraz z mężem jednak pragnęli po wielu latach powrócić do Warszawy, miejsca swoich korzeni i młodości. Zamieszkała na warszawskim Grochowie (jej dom rodzinny, z którego poszła do powstania, znajdował się w Śródmieściu, przy ul. Pięknej), ale szczególnie bliski był jej zawsze Mokotów, powstańczy Mokotów.

Całe życie działała społecznie. Była prezesem Klubu Pisarzy „Inspiracje Kujawskie” (1977-1981), jurorką Ogólnopolskiego Konkursu Krasomówczego dla przewodników PTTK w Golubiu-Dobrzyniu i Konkursu Poetyckiego im. Edwarda Stachury. Należała do Związku Literatów Polskich (1971-1983, w latach 1986-1990 do nowego ZLP, później do końca swych dni do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddziału Warszawskiego), Włocławskiego Towarzystwa Naukowego; była też członkiem ZBOWiD (przewodniczącą Wojewódzkiej Wojskowej Komisji Historycznej – w latach 1975-1979), Związku Inwalidów Wojennych, Stowarzyszenia Żołnierzy Armii Krajowej. Została wybrana do Wojewódzkiej Rady Narodowej we Włocławku (radna 1988-1989) – w ówczesnym województwie włocławskim.

Odznaczona: Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1982), Krzyżem Walecznych, Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Armii Krajowej (nadany w Londynie 1972), Krzyżem Partyzanckim (1970), Medalem za Warszawę, Warszawskim Krzyżem Powstańczym (1982), Medalem „Polska Swojemu Obrońcy” (nadany w Londynie, 1972), Srebrną (1977) i Złotą (1984) Odznaką „Za Zasługi dla Województwa Włocławskiego”, wyróżniona Dyplomem Honorowym Ministra Kultury i Sztuki (za osiągnięcia w upowszechnianiu kultury). Za twórczość literacką otrzymała m.in. wyróżnienia w konkursie na opowiadanie (1936), II nagrodę Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego w konkursie poetyckim (1975), II nagrodę PAX w konkursie na powieść współczesną (1978), II nagrodę i wyróżnienie za opowiadanie o Warszawie (1981).

opr. Anna Bojarska

*Przytoczono wybrane fragmenty biogramu Teresy Bojarskiej
w opracowaniu Henryka Wasilewskiego*

Teresa Sułowska-Bojarska (1923-2013)

Łączniczka

Lekkim krokiem łączniczki
Wbiegłam w życie.
Wtuliłam się w kwiaty
i gruzy
Lekkim krokiem łączniczki
wbiegłam w pożar
Szklane, oślepie oczy
żelazo uderzyło mnie w nogę...
 Lekkim krokiem łączniczki
 Przemykam pod ścianami lat
 Uwaga! Obstrzał...
gonię życie
Po zwaliskach domów,
W których mieszkało szczęście
i kwiaty.
Kuśtykam po gruzach
o kulach pamięci
wiernym krokiem łączniczki
niosę meldunek o ruinie.

Apel

Gdyby tak nagle powstali
Spod swoich brzozowych krzyży
I wyszli szeregami,
Czwórkami, kompaniami
Jak wtedy, pierwszego sierpnia...
W kombinezonach, panterkach,
Wbiegli na Plac Dreszera
Stanęli na Starym Rynku,
Na Teatralnym Placu
Zwarci w bojowym szyku,
Wstrzymani komendą: „Baaa czność”

Gdyby tak defiladą
 Ruszyli Alejami.
 Zmartwychpowstali z zagłady
 Ci znani i nieznani?
 Gdyby tak nagle wylegli
 Spod ziemi na ulicę
 Z bramy, z piwnicy wybiegli
 Pierwszego sierpnia. W rocznicę.
 Ci rozstrzelani pod ścianą,
 Dotknięci kulą w locie,
 Ten, który rzucał granat,
 Ten, kto był cynglem wyroku.
 Zakatowani na Szucha,
 Zesłani do obozów,
 I Pawiak, i Gęsiówka
 Umarłe morze. Jak młodość.
 Gdyby tak jeszcze ułani,
 Gdyby polegli wrześnie
 I tamci... Rozhuśtani
 Na sznurach. Z Alej i Leszna.
 Strzępy sztandarów, orkiestra,
 Bezgłosny dudniłby werbel.
 Rytm kroków bezszelestny
 I beztchnieniowy oddech.
 Trębacze dmą w milczenie,
 Milczeniem dudni asfalt
 Ich cienie – znów spod ziemi.
 "Sta... rów... ka" „Ba... szta” „Pa... sta”
 Pochód zabitej młodości
 W akordzie pęknięta struna.
 Białoczerwoni, bezgłosni
 Na apel. Pod Kolumnę.
 Król da komendę: „Spocznij”
 I tym spóźnionym rozkazem
 Zamknie raz wtóry oczy
 Powróci – ku cmentarzom.

Stare dwory

Stare dwory konają latami
szczerzy zęby spod tynków cegła
podjazd, gazon porosły łopiany
ganek nagie odsłonił żebra.

Deszcz, szaruga, okowy zimy,
trzeszczą dachy, spadają gonty,
wypaczone skrzypią futryny,
nietoperze zaległy kąty.

Czarno patrzą wybite okna,
drzwi bez klamek tłuką się w pustce
parkiet, resztki w kałużach mokną,
prześwietlone w ułamku lustra.

Stopnie schodów przegniły w szczeble
strych się skarży, że dach go boli,
sekretera bez szuflad. Meble,
szczęk kanapy, kulawy stolik.
Widmo dworów nęka nocami,
sen wybiela, podpira stropy,
biegnie pamięć ludzi wygnanych
w obraz domu który wciąż kocham

* * *

Moja córeczka
dostała czarnego pieska.
Piesek, jak mały węgielek,
Córeczka jest niebieska.
Włoski, jak srebrne żyto,
jak gęste zboża łany,
śmieją się do mnie w słońcu
błękitne oczy Joanny

Warkoczyki – dwa mysie ogonki,
pod rżęsami – gwiazdy niebieskie,
długie nóżki w krótkiej sukience,
zabki w uśmiechu do pieska.

Biedronko w białe kropki
półnaga dziczko bosa
w pisaku ciepłego słońca
cóż znaczy moja tęsknota?

Kiedy Joanna miała pięć lat (w Krzyżanowicach)

Już świta, dzwonią wiadra,
w oborze udój ranny
Od „Loli” świeże mleko:
Śniadanko dla Joanny
 W ogrodzie brzęczą pszczoły
 A trud ich nieustanny
 To złoty plaster miodu
 Na chlebek dla Joanny
Sad w kiściach, w bieli kwiatów
Jak ślubny welon panny;
A każdy kwiat – to jabłko
Rumiane – dla Joanny
 Na polu woń koniczyn,
 Na łąkę owiec szereg
 Rośnie wełniste runo
 Joannie na sweterek.
Za parkiem żółknie żyto
Kłosa pęcznieją ziarnem
Będzie chleb. Będzie mąka
Świat ciastko da Joannie.
 Rży w stajni koń bułany
 I słomę nóżką grzebie
 Na spacer czas, Joanno,
 Córeczko, czas na Ciebie.

Niebo – jak Twoje oczy
Kłosa – jak Twoje włosy
Weź promień słońca w ręce –
Na podarunek losu.

I nieś przed sobą światło,
I świeć, i mocno trzymaj...
A sama stań się światłem,
Jak lampa Aladyna...

Refleksja

A kiedy będziemy już niemi,
jak ziarno zmłócone w żarnach
gdy położymy się w ziemi
gdy przeminimy zwyczajnie
niech ci co znów się narodzą,
ci którzy w dzieje nas zamkną
powiedzą:

dobry urodzaj
i żyć im było warto
wtedy się staną nieważkie
te nasze wzloty, te pieśni
skrzydła płonącej wazki
nasi polegli rówieśni
zwątpienia, wygrane, klęski
My odejdziemy w niebyt
my rozsypiemy się w części,
aby wykłócić się chlebem.

Niechby był choćby razowy,
byle z ojczystej košby
na drożdżach myšli i mowy
żywotny, syty, nošny.
Niechby choć trochę pszenney,
pachnący miodem i sadem
I niech w nim będzie coś ze mnie
na przyszłą wnuków obiatę

Wojciech Chmielewski

otrzymał Nagrodę imienia C.K. Norwida

Krzysztof Masłoń

Laudacja

wyłoszona z okazji przyznania Wojciechowi Chmielewskiemu
Nagrody Literackiej im. Cypriana Kamila Norwida w dziedzinie literatury
za powieść „Belweder gryzie w rękę”

Zamek Królewski w Warszawie, 24 września 2018 roku

Do Nagrody im. Cypriana Kamila Norwida w dziedzinie literatury za rok 2017 nominowani zostali w tym roku: Maria Bigoszevska za zbiór poetyckich *Wołam cię po imieniu* wydany nakładem Formy, Paweł Sołtys za tom opowiadań *Mikrotyki* (Wydawnictwo Czarne) i Wojciech Chmielewski za powieść *Belweder gryzie w rękę*, który ukazał się w oficynie Iskry. Rywalizowały ze sobą trzy znakomite książki, docenione przez krytykę i czytelników, nagradzane już znaczącymi laurami literackimi. Tak jak powieść Wojciecha Chmielewskiego, za którą otrzymał już, przyznawaną wtedy po raz pierwszy, Nagrodę Literacką im. Marka Nowakowskiego. Od dziś *Belweder gryzie w rękę* mieć będzie jeszcze jednego wielkiego patrona: Cypriana Kamila Norwida, bo właśnie tę książkę postanowiło w tym roku nagrodzić jury Nagrody imienia twórcy *Vade mecum*. Tak oto laureatem siedemnastej edycji Nagrody im. Cypriana Kamila Norwida w dziedzinie literatury zostaje Wojciech Chmielewski.

Nasz laureat to urodzony w 1969 roku pisarz wyjątkowo mocno związany z Warszawą, o czym świadczą wszystkie jego książki, a były to tomy opowiadań *Biały bokser* (nominowany do Nagrody im. Józefa Mackiewicza), *Brzytwa* i *Najlepsza dentystka w Londynie* oraz powieści *Kawa u Doroty* (nominowana do Angelusa) i wreszcie *Belweder gryzie w rękę*, nagradzana dzisiaj powieść nie mająca nic wspólnego, o czym informuję tych Państwa, którzy jej nie znają, ani z pałacem prezydenckim ani z Cezarym Baryką, niezależnie od faktu, że to właśnie *Przedwiośnie* zostało w tym roku lekturą do narodowego czytania. Myślę, że możemy życzyć naszemu laureatowi, by któryś z jego utworów doczekał się kiedyś takiego zaszczytu. A biorąc

pod uwagę fakt, że Chmielewski pisze językiem lapidarnym, tworzy fabuły skondensowane i zwarte, obyłyby się pewnie przy takiej okazji bez niekoniernie może potrzebnych skrótów.

Autora *Belwederu* inny prozaik, też swego czasu nominowany do Nagrody im. Norwida, Marek Ławrynowicz, nazwał kiedyś – najzdolniejszym i najbardziej skrupulatnym uczniem twórcy *Benka Kwiciarza*. To prawda, przy czym jednak stosunkowo szybko zaznaczył swą odrębność, oryginalność swojej – by użyć określenia Marka Nowakowskiego właśnie – kaligrafii pisarskiej.

Ten prozaik – jak w końcu niewielu autorów współczesnych – opisuje rzeczywistość taką, jaką jest w istocie, opowiadając o sprawach, z jakimi naprawdę zmagamy się na co dzień, a nie zajmując się tematami zastępczymi, byle tylko modnymi i poprawnymi politycznie. Bohaterowie jego powieści tak intrygująco zatytułowanej *Belweder gryzie w rękę* żyją na peryferiach Warszawy, są w średnim wieku, mają jako tako ustabilizowane życie rodzinne i zawodowe, a jednak nie potrafią poradzić sobie z wszechogarniającym niepokojem ani znaleźć satysfakcji, nie mówiąc o spełnieniu, w tym, co robią i jak żyją. Są wśród nich handlarz dywanami, dziennikarz prasy kolorowej, sklepikarz, ksiądz, kobieta „przy mężu” i telewizyjna redaktorka, matka samotnie wychowująca niepełnosprawnego umysłowo chłopca, są wreszcie, bo gdzie ich nie ma, pijackowie. Właściwie każdy z nich dojrzeza do zasadniczej zmiany w życiu. I niekiedy stawiają ten krok. Muszą go postawić.

Powieściowy ksiądz Robert, na przykład, tak jak wie, że nie potrafi pomóc skłóconym rodzicom po strasliwym wypadku ich dziecka, tak nie potrafi w tym podwarszawskim czy warszawskim smogu będącym mieszaniną brudu i niepokoju, skupić się na Bogu. I dlatego wybiera trapistów z ich surową regułą, ciężką pracą i trwającym miesiącami milczeniem. I tłumaczy swojemu proboszczowi, że wypadek dziewczynki z poharataną przez psa ręką, psa, który się tak oryginalnie wabił – Belweder właśnie, stał się dla niego „symbolem życia, z którym chce zerwać, nawet za cenę milczenia i monotonii”.

Nagroda Norwida dla Wojciecha Chmielewskiego ma dla mnie wymiar po części symboliczny. Warszawa zasługuje bowiem na wyjątkowych pisarzy. Takich jak on, który tytułowe opowiadanie z tomu *Najlepsza dentystka w Londynie* zaczyna od zdania: „Miasto na przełomie lata i jesieni zaczyna inaczej oddychać” – tu chodzi oczywiście o Warszawę, nie o Londyn. A pamiętacie Państwo inny cytat: „W sobotę centrum miasta wygląda tak samo

jak w każdy inny dzień tygodnia”. To Marek Hłasko z *Pierwszego kroku w chmurach*.

Na Wojciechu Chmielewskim ciąży teraz niemała odpowiedzialność. Jestem przekonany, że ją uniesie. A my będziemy czytać jego kolejne książki, opowiadające nam o życiu nie wymyślonym, nie wykreowanym, ale takim jakim ono jest w istocie, z całą swą brzydotą i niepowtarzalnym pięknem. O Mazowszu, a przede wszystkim o Warszawie, którą kochamy, ale i czasem nienawidzimy. To w końcu, jak w piosence *Moje miasto, moja krew*. Twoja – Wojtku, moja, nasza.

Krzysztof Masłoń

przewodniczący Kapituły Literackiej
Nagrody im. Cypriana Kamila Norwida

Zbigniew Lubicz-Miszewski *

Jerzy Bogdan Kos (1931-2018)

lekarz-pisarz

Honorowy Obywatel Trzebnicy



Dnia 9 października 2018 r. zmarł Jerzy Bogdan Kos – lekarz, pisarz, poeta, społecznik, Honorowy Obywatel Trzebnicy.

Urodził się 24 marca 1931 w Myszkowie. W 1938 rozpoczął naukę w miejscowej Szkole Powszechnej, w latach okupacji niemieckiej uczęszczał do szkoły o ograniczonym programie nauczania oraz uzupełniał naukę na tajnych kompletach. Po wojnie – w latach 1945-1947 – był uczniem Państwowego Liceum i Gimnazjum w Tarnowskich Górach, a następnie w Zawadzkiem, na Opolszczyźnie, gdzie w 1950 uzyskał maturę.

W latach 1950-1955 studiował na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej we Wrocławiu. Podczas studiów był zastępcą asystenta w Zakładzie Anatomii Patologicznej AM oraz wykładowcą (1954-1956) w Liceum Felczerskim. W tym również czasie należał do koła młodych pisarzy przy wrocławskim oddziale ZLP. W 1953 r. debiutował wierszami w „Dziś i Jutro”, publikował wiersze i opowiadania m.in. we „Wrocławskim Tygodniku Katolickim”, a następnie w „Nowych Sygnałach”, „Poglądach” i w „Odrze” oraz – sporadycznie – w „Więzi”, „Życiu Literackim”, „Współczesności” i w „Literaturze na Świecie”.

W 1954 r. ożenił się z Danutą Górską, koleżanką ze studiów, i wraz z nią – po uzyskaniu dyplomu lekarza – otrzymał nakaz pracy do Trzebnicy. Zawiodły starania o uzyskanie asystentury na Akademii Medycznej.

* Prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Trzebnickiej

Komisja kwalifikacyjna uznała, że asystentem nie może być lekarz publikujący w czasopiśmie katolickich. Trzebnica stała się jego miejscem pracy i życia rodzinnego na ponad czterdzieści lat.

W latach 1956-1960 był asystentem w oddziale chorób wewnętrznych miejscowego Szpitala Powiatowego. W 1961 został dyrektorem i ordynatorem Rejonowego Szpitala Zakaźnego w Będkowie koło Trzebnicy i pracował na tym stanowisku do czasu przejścia na emeryturę w 1996. Jednocześnie kierował poradnią chorób wątroby. W 1963 r. brał udział w zwalczaniu epidemii ospy we Wrocławiu – był lekarzem – konsultantem, organizował izolatoria i szczepienia. Uzyskał specjalizację z chorób zakaźnych i organizacji ochrony zdrowia, opublikował ponad sześćdziesiąt prac naukowych z zakresu chorób zakaźnych, kultury zdrowotnej i historii medycyny oraz ponad 200 artykułów popularnonaukowych i publicystycznych. Opracował i wprowadził w życie nowy model upowszechniania wiedzy o zdrowiu i chorobie inicjując „Tygodnie Kultury Zdrowotnej”, wyróżnione nagrodami przez Polskie Towarzystwo Higieniczne.

Prawie jednocześnie z rozpoczęciem pracy lekarskiej debiutował w serii wydawniczej wrocławskiego oddziału ZLP zbiorem prozy poetyckiej *Na karuzeli sekundnika* (1958) oraz opublikował wiersze w książce prezentującej poetów Dolnego Śląska – *Imiona niepokoju* (1958). W następnych latach ukazały się jego kolejne książki: *Ziemia Trzebnicka* (1963 r., redaktor i współautor) i *Choroby, których można uniknąć* (1973). Wiersze, opowiadania i artykuły popularnonaukowe zamieszczał głównie w czasopiśmie ukazujących się we Wrocławiu – w „Wiadomościach”, „Odrze” i „Magazynie Tygodniowym Gazety Robotniczej” oraz na antenie Polskiego Radia. W 1968 r. ukazał się kolejny zbiór jego wierszy – *Zbliżenia*. W 1991 r. jako uczestnik dramatycznych wydarzeń w czasie epidemii czarnej ospy opublikował głośny reportaż literacki *Epitafium dla ospy*. W 1994 r. tomik wierszy *Pergamin piasku*. W 2000 r. ukazał się unikalny tomik wierszy o historii Trzebnicy – *Znaki. Przypowieść o narodzinach miasta*, w 2002 r. tomik wierszy *Słowa i znaki*, w 2003 r. *Ślady na ziemi. Szkice o ludziach, miejscach i zdarzeniach*, a w 2004 r. „*Czas nadziei. Szkice o ludziach, miejscach i zdarzeniach*”.

W 1967 r. był jednym z założycieli Unii Polskich Pisarzy Medyków (późniejszej UPP Lekarzy). Był członkiem zarządu, sekretarzem literackim (1971-1978) i wiceprezesem Unii (1978-1981) – organizował konferencje literackie i działania na rzecz upowszechniania kultury w medycznym środowisku zawodowym, redagował „Głosy”, dodatek literacki w tygodniku „Służba Zdrowia” (1979-1981).

Od 1973 należał do ZLP, był członkiem zarządu wrocławskiego oddziału ZLP od 1980 r. do rozwiązania Związku w 1983 r., a następnie członkiem-współzałożycielem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, które powstało w 1989 r. Uczestniczył w założycielskim zjeździe Stowarzyszenia i został członkiem zarządu oddziału wrocławskiego, a następnie w 1990 r. jego wiceprezesem i od 1996 r. – prezesem wrocławskiego oddziału SPP. W latach 1994-1997 był redaktorem naczelnym kwartalnika „Dolnośląski Diariusz Lekarski” wydawanego przez Stowarzyszenie Lekarzy Dolnośląskich. Od 1995 roku współpracował z miesięcznikiem Dolnośląskiej Izby Lekarskiej – „Medium”, w którym opublikował cykle artykułów *Z dziejów dolnośląskiej służby zdrowia* oraz *Słowo o książce*.

Był członkiem kolegium redakcyjnego kwartalnika „Kultura Dolnośląska” (1978-1981) i rocznika „Dolny Śląsk”, wydawanego od 1955 r. Od 1983 r. redagował rocznik regionalny TMZT „Brzask” oraz książki wydawane w Bibliotece TMZT, jest m.in. współautorem monografii „Trzebnica. Zarys rozwoju miasta na przestrzeni wieków” (1995). Zajmował się również działalnością wydawniczą oddziału SPP jako redaktor naczelny Dolnośląskiego Rocznika Literackiego „Pomosty” wydawanego od 1996 r. oraz redaktor zbiorów wierszy i małych form prozatorskich wydawanych w ramach Biblioteki Wrocławskiego Oddziału SPP (58 tytułów w latach 1996-2004). Redagował pięć serii „Z kołatką” (2001-2004).

Za pracę zawodową i działalność na rzecz upowszechniania kultury Jerzy B. Kos odznaczony został Srebrnym (1963) i Złotym Krzyżem Zasługi (1972) i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1980) oraz odznakami „Za wzorową pracę w służbie zdrowia” i Zasłużony Działacz Kultury, a także Medalem im. Jana Mikulicza-Radeckiego (1999) i Medalem 50-lecia Akademii Medycznej we Wrocławiu (2000).

W 2007 r. został uhonorowany srebrnym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Medal ten jest odznaczeniem szczególnie prestiżowym, honorującym najwybitniejsze postaci świata kultury.

W 2005 r. dr Jerzy B. Kos został wyróżniony przez Senat Akademii Medycznej we Wrocławiu medalem „Academia Medica Wratislaviensis” za działania na rzecz upowszechnienia kultury w środowisku lekarskim oraz za upowszechnianie wiedzy o dziejach ochrony zdrowia na Dolnym Śląsku poprzez publikowanie książek i artykułów zamieszczonych w prasie. W 2007 r. ukazała się pod redakcją J.B. Kosa książka *W kręgu lekarskiej Wspólnoty*, opisująca dzieje Stowarzyszenia Lekarzy Dolnośląskich i Wychowanków Medycyny Wrocławskiej.

W 2000 roku na sesji Rady Miasta i Gminy Trzebnica zorganizowanej w związku z 750. rocznicą nadania Trzebnicy praw miejskich, uchwałą Rady Miasta 15 osobom nadano tytuł Honorowego Obywatela Trzebnicy. Wśród nich doktorowi Jerzemu Bogdanowi Kosowi, jak napisano w uzasadnieniu: *organizatorowi ośrodków zdrowia w powiecie trzebnickim, lekarzowi oddanemu bez reszty pacjentom, twórcy wielu imprez kulturalnych, sympozjów naukowych, przedsięwzięć wydawniczych, wystawienniczych i popularyzatorskich, animatorowi wielu cennych inicjatyw społeczno-kulturalnych w Trzebnicy, które na trwale zmieniły wizerunek miasta. Prezesowi od lat 40 TMZT, poecie i pisarzowi, który potrafił na kartach książek pokazać uroki naszego miasta i okolicy.*

Opublikował 12 książek literackich, w tym zbiory wierszy, szkice. Był redaktorem i współautorem 13 książek z zakresu historii regionalnej i historii medycyny.

Barbara Kołodziejczykowa
Zbigniew Lubicz-Miszewski

Ostatnie pożegnanie na Cmentarzu św. Wawrzyńca

„Człowiek żyje dopóty, dopóki trwa pamięć o nim” – w Trzebnicy długo będziemy pamiętać o Doktorze, wpisał się on bowiem złotymi zgłoskami w historię naszego miasta. Zostawił po sobie SŁOWA I ZNAKI...

Od 1960 do 2006 r. doktor Jerzy Bogdan Kos był prezesem Towarzystwa Miłośników Ziemi Trzebnickiej. Zainicjował on pionierskie działania integrujące naszą trzebnicką społeczność. Organizowane przez Towarzystwo „Spotkania przy kawie” dały trzebniczantom możliwość poznania wybitnych pisarzy artystów, naukowców. Doktor zwracał uwagę członkom zarządu na konieczność dokumentacji otaczającej rzeczywistości, ważnych wydarzeń kulturalnych i społecznych. Sam także dokumentował wydarzenia, dbał o zapisy kronikarskie, przypominał na łamach książek i artykułów wybitne postacie z przeszłości Trzebnicy, kreślił sylwetki osób zasłużonych – ludzi, którzy budowli tu podwaliny nowej rzeczywistości: naukowców, artystów, księży, pracowników służby zdrowia. Był duchem sprawczym przy organizacji sympozjów naukowych, wielu publikacji, wystaw, konkursów szkolnych i różnorodnych wydarzeń kulturalnych. Dzięki

jego charyzmie TMZT było i jest nadal postrzegane jako jedno z najbardziej prężnych towarzystw regionalnych.

Doktor Jerzy B. Kos był inicjatorem i animatorem działań w zakresie upowszechniania kultury i nauki w środowiskach wiejskich i młodzieżowych. Był popularyzatorem kultury ludowej i opiekunem twórców ludowych. Twórcą koncepcji promocji turystyczno-krajoznawczych walorów Ziemi Trzebnickiej i jej zabytków historycznych. Inicjatorem i organizatorem corocznych imprez: Dni Ziemi Trzebnickiej, Trzebnickiego Święta Sądów, Tygodni Kultury Chrześcijańskiej, Tygodni Kultury Zdrowotnej, wielu sesji naukowych, Dni Pionierów Ziemi Trzebnickiej. Był współorganizatorem Muzeum Regionalnego TMZT, redaktorem i wydawcą wielu roczników „Brzasku”.

Doktor Jerzy B. Kos szedł, a właściwie biegł trzema drogami jednocześnie: drogą medycyny, poezji – literatury i regionalizmu. Każda z nich zaowocowała wieloma publikacjami, zdarzeniami, wiele drzew wyrosło po obu stronach tych dróg, a owocują one coraz obficie z roku na rok.

Leczył nas, uczył, pisał dla nas przesłania, zostawiał słowa i znaki, po to, by ocalić nas od marazmu i znieczulicy. Zawsze wносił w nasze życie, serdeczność i życzliwość; potrafił uzasadnić potrzebę i konieczność uczestnictwa w życiu miasta i powiatu. Jest nadal dla nas autorytetem i wzorem do naśladowania.

Inaczej by się ukształtował wizerunek dzisiejszej Trzebnicy, gdyby nie „zaczyn” doktora Jerzego Bogdana Kosa. Może właśnie tak pięknieje, rozwija się i rozkwita nasze miasto, że miało takich Ojców Założycieli jak ks. dziekan Wawrzyniec Bochenek, ks. profesor Antoni Kiełbasa i doktor Jerzy Bogdan Kos.

*To oni zostawili znaki dla nas – po ich śladach idziemy
Także i my
zostawiamy znaki
dla tych którzy przyjdą po nas*

– takie przesłanie zostawił nam Prezes śp. Jerzy Bogdan Kos w tomie *Znaki. Przypowieść o narodzinach miasta*, Trzebnica 2000.

Wrocław, 15 października 2018 r.

(oprac. P.M.N.)

Czesław Hajduk

Urodziłem się w 1932 r. we wsi Bajrasze w województwie nowogrodzkim. Jako sześciolatek poszedłem do szkoły w Ługomowiczach. Tam też w 1939 r. oglądałem po raz ostatni wojsko II Rzeczypospolitej. Byli to żołnierze KOP-u, którzy po agresji Związku Radzieckiego na Polskę stoczyli krótką bitwę z czerwonarmistami. Napisałem wspomnienie o tamtych chwilach – wydrukował je miesięcznik „Jaworzniacy”.

Podczas okupacji niemieckiej mój ojciec, współpracujący z AK-owskim podziemiem, wysyłał mnie czasem z jakimś zaszyfrowanym przekazem. Byłem także świadkiem eksterminacji Żydów. Moje wspomnienie na ten temat, zatytułowane *Pan Abraham*, zdobyło I miejsce w konkursie literackim Warszawskiej Izby Lekarskiej.

W 1946 r. roku przesiedlono mnie z rodzicami do Polski w jej nowych granicach.

W 1948 r., będąc uczniem III klasy gimnazjum w Sławnie, zacząłem z kolegą organizować konspiracyjną Polską Organizację Wojskową. Po roku organizacja została zdekonspirowana, a ja skazany na 10 lat pozbawienia wolności. Przebywałem w więzieniu ponad 4 lata – aż do amnestii.

Po wyjściu na wolność zdołałem uzyskać świadectwo dojrzałości, ale do egzaminów wstępnych na Akademię Medyczną w Szczecinie mnie nie dopuszczono. Dopiero rok później dostałem się na AM w Łodzi. Po zdobyciu dyplomu i odbyciu służby wojskowej zamieszkałem w Płocku, gdzie mieszkam i pracuję do dziś.

Pisarstwem zająłem się po 1989 r.

Dotychczas opublikowałem następujące książki: *W zaczynach antysowieckiej konspiracji*, *W szponach bezpieki*, *Z podciętymi skrzydłami*, *Przygody księdza Talarka*, *Polska Organizacja Wojskowa lat 1948-1949*, *Saga kresowego rodu*, *Wojny i wojenki*, *Procarz*. Ich tematem są moje osobiste przeżycia oraz historia XX wieku. Ponadto opublikowałem około siedemdziesięciu artykułów o tematyce wspomnieniowej, politycznej i popularnonaukowej.

Andrzej Książek

Andrzej Książek, ur. w 1953 r. w Ząbkach, studiował filozofię na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie (obecnie Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego) oraz filozofię na Uniwersytecie Warszawskim, a także socjologię na Uniwersytecie Warszawskim. W 1987 roku obronił doktorat w Instytucie Filozofii UW pt. *Poglądy Władysława Tatarkiewicza na dzieło sztuki* oraz habilitację (2004) na podstawie II wydania książki *Sztuka przeciw Sztuce. Z teorii awangardy XX wieku* (Instytut Sztuki PAN). Od czterdziestu lat związany z Uniwersytetem Warszawskim, gdzie w Instytucie Filozofii pracował jako wykładowca. Swoje artykuły naukowe, popularno-naukowe oraz eseje drukował m.in. w „Przeglądzie Humanistycznym”, „Przeglądzie Filozoficznym”, „Kwartalniku Filozoficznym”, „Kulturze Współczesnej”, „Kulturze i Społeczeństwie”, „Twórczości”.

Dotychczas wydał książki: *Piękno a sztuka* (1994), *Filozofia wartości* (1995), *Zagadnienia etyki* (1995), *Sztuka przeciw Sztuce. Z teorii awangardy XX wieku* (wyd. 2000, 2001, 2003, 20004), *Filozofia i Sztuki piękne* (wyd. 2006, 2015), *Prawda Dobro Piękno* (wyd. 2010, 2015), *Tatarkiewicz w serii Myśli i Ludzie* (2010), *Dylematy sztuki* (2011).

Jako poeta zadebiutował w miesięczniku *Poezja* (1976 nr. 9). Wiersze publikował m.in. w „Twórczości”, „Poezji”, „Kulturze”, „Literaturze”, „Więzi”, „Piśmie Literacko-Artystycznym”, „Radarze”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Przeglądzie Filozoficzno-Literackim”.

Dotychczas wydał tomy poezji: *Wielkość naturalna* (1981), *Podziemne przejścia* (1985), *Opowieść pogańska* (1986), *Wizja Lokalna* (1986), *Pora winnej latorośli* (1994), *Powroty – poezja ponadczasowa* (1994), *Mijanie w przejściu* (1998), *Między dawnymi a nowymi laty. Wybór wierszy* (2000), *Poezja i inne utwory zebrane* (2004), *Okoliczności łagodzące* (2011), *Wiem, że tak jest, ale wierzę, że jest inaczej* (2011).

Zamieścił swoje utwory w antologii poezji hipisów *Życie w drodze* (1986), Publikował swoje utwory konceptualne, lingwistyczne, konkretne w katalogu Ogólnopolskiej Wystawy Młodej Plastyki Arsenał 88. oraz w katalogu Galerii Brama (1984). W latach 1975-1984 uprawiał sztukę

konceptualną, poezję konkretną, sztukę performance. W latach 70. i 80. XX wieku współpracował z warszawskimi galeriami Repassage, Brama, realizując swoje artystyczne pomysły: m.in. performance *Organiczne ograniczenia* (1979), *Wieczera mam nadzieję, że nie ostatnia* (1984). Pisał manifesty sztuki, w których w „skondensowanej” formie zawarł swoje poglądy na sztukę, poezję, literaturę i filozofię, m. in. *Manifest Sztuki Totalnej*, *Manifest*, *Nie-Poetycki*, *Teoretyczny Tekst Artystyczno-Filozoficzny* (zob. *Zbiór. Poezja i inne utwory zebrane* – 2004).

Poza filozofią, teorią sztuki i praktyką sztuki zajmuje się także praktyką i teorią buddyzmu zen. W przygotowaniu książka *Filozofia buddyzmu zen*, będąca syntezą i podsumowaniem wieloletniego seminarium o filozofii zen, które prowadził w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego.

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Nie chodzę utartymi ścieżkami

Któż by chciał chodzić utartymi ścieżkami? Człowiek zadowolony z siebie, drobnomieszczanin, bojący się świata, ludzi, zamknięty w sobie. Egoista, konformista, zastraszonego przez silniejszych, niemający własnego zdania, stadnie myślący, cierpiący na brak testosteronu. A może zwykły tchórz lub leń...

Od młodości szedłem własną drogą. Miłość, wolność, odpowiedzialność, wierność zasadom. Wszystko razem przyprawione odrobiną szaleństwa. To azymuty wyznaczające postępowanie homo sapiens, o ile sam siebie i swoje otoczenie nie skazuje na egzystencjalny bezsens trwania i/lub życia w obłudzie i zakłamaniu.

Fascynujący świat muzyki. Chopin, Mozart, Bach. Potem Paderewski, Puccini, Mikołaj Górecki, Niemen, Rod Stewart, Michael Jackson i Ella Fitzgerald. To dźwięki rozbrzmiewające w mych uszach za każdym razem, gdy ze świata szarej codzienności, bardziej lub mniej spodziewanie przenoszą pióro w inny wymiar przestrzeni. Ukończona podstawowa szkoła muzyczna to partytura dla poezji. Później przyszedł czas na prozę.

Pierwszy wiersz nosił tytuł *Zaklęty w bursztyn*, powstał, gdy miałem 16 lat, i był wyrazem pierwszego miłosnego oczarowania kobiecością. Jego skutki dają się odczuć po dziś dzień. Podróże autostopem z kolegami w pierwszej i drugiej klasie liceum po Wschodnich Niemczech, Węgrzech, Czechach i Bułgarii. Wspólne zdobywanie patentu żeglarza na Jeziorze Ryńskim podczas burzy, nocne harcerskie marsze przez lasy i spływy po jeziorach Krainy Jezior tropem Wańkowicza, uczestnictwo w prezentacji sztuki *Dürrenmatta* pt. *Die Panne (Kraksa)* na niemieckim Bauhaus Universität w Weimarze. Miłości, przyjaźnie czasów studenckich na UW w Warszawie i KU Leuven (Belgia), doświadczenia pierwszej pracy zawodowej, prywatnych i służbowych wyjazdów zagranicznych, bezpośredni kontakt z ludźmi różnych kultur, ludźmi dobrymi i podłymi, pięknymi i odrażającymi w swym ziemskim wcieleniu – to samoistny materiał na poezję i prozę. Wystarczyło po prostu się przyglądać, łaknąć poznania. Najważniejsze

pozostało w przeróżnych szufladach pamięci. Współuczestniczenie w tłumaczeniu tomiku poezji flamandzkich poetów, z okazji przyjazdu belgijskiej misji do Polski w roku 1979, pt. *Met poezie naar Polen*. Była to kontynuacja zainteresowań i wewnętrznej potrzeby człowieka śmiertelnie chorego na życie nie tylko przenoszzonego drogą płciową i nie tylko z pierwszych stron gazet. Powstał tomik własnych wierszy pt. *Powroty*. Historia ludzka, to również historia Polski. Tej dzisiejszej i tej sprzed lat. Wielo- i monokulturowej – Polaków, Rusinów, Niemców, Żydów. Państwa różnych wyznań. Mającego za sąsiadów narody mniej lub bardziej przyjazne.

Kierując się wskazaniem Herberta: *Człowiek powinien zachować godność i odwagę. Ma iść wyprostowany, nawet jeśli będzie tym jedynym, nie odwróconym plecami i nie obalonym w proch*, jedynym, którego na to stać. Nie wolno mu popaść w obojętność wobec poniżania i pogardy dla innych. Powinien przyjąć postawę otwartą wobec świata. Wobec przemocy zastosować Gniew. Do „szpiclów katów tchórzy” winien żywić pogardę, wiedząc nawet o tym, że są silniejsi i że do nich będzie należało zwycięstwo, a on z pozoru będzie przegrany: „nagrodzą cię za to tym, co mają pod ręką, chłostą śmiechu, zabójstwem na śmietniku”. W każdym przypadku musi krzesać z siebie odwagę. Jeśli chce zachować godność i człowieczeństwo, nie wolno mu się ugiąć i poddać. *Bądź wierny, Idź*.

Stąd moja pierwsza powieść pt. *Wierni*. Za nią poszła druga pt. *JOM KIPPUR Podróż w nieznane* i trzecia pod roboczym tytułem *Sykomora. Ubi arma sonant*.

Ślub naszych Kolegów

Zawiadamiamy wszem wobec, że w Warszawie dnia 13 października 2018 roku o godzinie 16.00 odbyła się ceremonia zaślubin naszych Kolegów z Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Alicji Patey-Grabowskiej
i
Krzysztofa Saturnina Schreyera

Drogiej naszemu sercu Młodej Parze życzymy wszelkiego powodzenia na każdej niwie, którą zechcą się zająć ku pożytkowi osobistemu i ogólnemu

Zarząd OW SPP Warszawa



Jubileusz Prof. Joanny Papuzińskiej



Dnia 11 stycznia 2019 w Muzeum Książki Dziecięcej Biblioteki Publicznej m.st. Warszawy zebrali się przyjaciele Prof. Joanny Papuzińskiej, aby fetować Jej osiemdziesiąte urodziny. Organizatorami benefisu byli uczniowie Jubilatki (ze wsparciem Uniwersytetu Warszawskiego i Wydawnictwa Literatura) oraz Muzeum Książki Dziecięcej Biblioteki Publicznej m.st. Warszawy i Biblioteka Publiczna m.st. Warszawy. Jubilatka otrzymała wieńiec laurowy, wysłuchała laudacji i życzeń, po czym na salę wjechał tort ozdobiony na wierzchu papugą z lukru.

W imieniu Zarządu Oddziału Warszawskiego SPP życzenia złożyły Małgorzata Karolina Piekarska oraz Małgorzata Strękowska-Zaremba.

W dniu uroczystości ukazał się tomik wierszy dla dorosłych *Zaczekaj* autorstwa Joanny Papuzińskiej (Wyd. Literatura), który gorąco polecamy.

(Red.)

Członkowie OW SPP „Pod Sowami”

Miejsca Aktywności Lokalnej (MAL) oprócz swojej codziennej działalności (pełnienia funkcji np. domu kultury, biblioteki, klubokawiarni), wspierają lokalne pomysły i działania społeczne mieszkańców. W roku 2018 OW SPP nawiązała współpracę z MAL-em na warszawskim Starym Żoliborzu, o czym pisaliśmy w „Podglądzie” numer 14. Zaprosiła nas Pani Anna Bojarska-Urbańska – aktorka i inicjatorka działań kulturalnych, twórczyni (wraz z Ireną Jun i Markiem Urbańskim) Piwnicy Poetyckiej, której OW SPP patronuje od ośmiu lat. W Czytelni pod Sowami przy ul. Gen. Józefa Zajączka 8, obok Cytadeli znalazło się miejsce także dla imprez literackich i historycznych, których współorganizatorem lub patronem jest OW SPP i nasz Kwartalnik.

Niezależnie od naszej organizacji Pod Sowami odbywały się z różnych okazji spotkania z prozaikami i poetami – przypadkiem także członkami OW SPP (Anna Piwkowska, Jarosław Abramow-Newerly). Ale już inne, ściśle związane z naszym stowarzyszeniem, to prezentacja dwóch numerów „Podglądu”, wieczór Trii Poetyckiego, a także wydarzenia o nieco innym charakterze – m.in. Małgorzata Karolina Piekarska i Katarzyna Boruń-Jagodzińska wzięły udział (prezentując powstańcze losy członków ich rodzin) w imprezach z cyklu „Rozmowy powstańcze” przygotowywanych przez Annę Bojarską-Urbańską. Ten cykl, trwający od końca lipca do października 2018, był serią prawdziwie integracyjnych wielopokoleniowych spotkań uczestników Powstania Warszawskiego, świadków, krewnych i potomków powstańców (wspomnienia, książki, prezentacje multimedialne i wspólne śpiewy). Anna Bojarska-Urbańska na jednej z kolejnych rocznicowych imprez przedstawiła sylwetkę swojej matki – Teresy Sułowskiej-Bojarskiej (1923-2013) – członkini OW SPP, powieściopisarki i poetki, autorki wspomnień, łączniczki „Klamerki” w Powstaniu Warszawskim. Te wzruszające wieczory cieszyły się dużym zainteresowaniem.

(kbj)



Czytelnia Pod Sowami. Redakcja „Podglądu”, od prawej M. Strękowska-Zaremba, K. Beška, P. Müldner-Nieckowski, M.K. Piekarska



Czytelnia Pod Sowami. Salon dyskusyjny. K.S. Schreyer i M.K. Piekarska



Czytelnia Pod Sowami. W czasie spotkania autorów „Podglądu”



Czytelnia Pod Sowami. Po spotkaniu autorskim Jarosława Abramowa-Newerly'ego

Grażyna Strumiłło-Miłosz (1937-2018)

Dnia 18 października 2018 roku na cmentarzu Powązkowskim w Warszawie spoczęła Grażyna Strumiłło-Miłosz, członkini Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Grażyna Strumiłło urodziła się 22 czerwca 1937 roku w Nowogrodku, jej dziadkiem był ceniony i zasłużony przyrodnik i krajoznawca Kazimierz Kulwieć (jego dorobek z ostatniego okresu życia – materiały z badań nad florą, które przeprowadzał już jako zesłaniec – niestety przepadł).

Losy rodziny były dramatyczne – Strumiłłowie i Kulwieciowie zostali deportowani w roku 1940 znad Świtezi do strefy przypolarnej w obwodzie archangielskim. Mała Grażyna, jej siostra Hanna i ich matka powrócili w 1946 do Torunia (gdzie przed z zesłaniem mieszkał Kazimierz Kulwieć). Tam też po maturze Grażyna ukończyła studia na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika.

Okolo 1960 roku poznała Andrzeja Miłosza. Została jego żoną w 1961 roku w Warszawie. Andrzej Miłosz (1917-2002) był reżyserem, reporterem, fotografem, tłumaczem, autorem słuchowisk radiowych, a także archiwistą i dokumentalistą rodziny Miłoszów. Odznaczony tytułem „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Realizował filmy dokumentalne, w tym kilka o swoim bracie. Oboje małżonkowie związani byli ze Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich, Duszpasterstwem Środowisk Twórczych w Warszawie, a w okresie stanu wojennego działali w kręgu kultury i literatury niezależnej. Grażyna zajmowała się kolportażem publikacji NOWEJ i innych wydawnictw.

Grażyna Strumiłło-Miłosz była dziennikarką, publicystką, tłumaczką i pisarką. Wspólnie z mężem Andrzejem dużo podróżowała, zafascynowana Kaukazem i Azją. Pisała też reportaże o Polakach zesłanych



na Kaukaz. Jak sama mówiła bliska jej sercu była literatura faktu. Razem z mężem była autorką przewodników na temat Azji Środkowej, Kaukazu i Zakaukazia m.in. *Uśmiech bez parandży. Z reporterskich wędrówek po radzieckiej Azji Środkowej, Kaukaz*. Przetłumaczyła z języka rosyjskiego wiele sztuk teatralnych, m.in. Aleksandra Wampiłowa, Iona Druce. Edwarda Radzińskiego, a także przełożyła książki Fazu Alijowej, Lwa Kopielowa i Leonida Żuchowickiego. Dużą popularnością cieszyły się poradniki kulinarne – *Kuchnia narodów Kaukazu* (napisany razem z dagestańską pisarką Alijową) i *Kuchnia gruzińska*. W latach osiemdziesiątych ukazały się jej dwie cenione i wznawiane książki o zwierzętach dla dzieci: *Dundzia, Panek i przyjaciele* i *Pod szczęśliwą kocią gwiazdą*.

Zdążyła jeszcze nagrać i spisać wspomnienia swojej matki Wandy z Kulwieciów-Strumiłłowej (1899–1991) *Znad Świtezi w głąb tajgi. Rozmowy z moją matką* opublikowane w latach dziewięćdziesiątych w Wydawnictwie Pojezierze i Wydawnictwie Dolnośląskim. W przedmowie do pierwszego wydania książki Czesław Miłosz napisał:

Opina publiczna w Polsce ma prawo wreszcie dowiedzieć się szczegółów o losach setek tysięcy rodzin wywiezionych na rozkaz Stalina, z terenów, które właśnie zajął w wyniku układu z Hitlerem. Miejmy nadzieję, że tak jak stało się w tej książce, zachowa się zapis bezpośrednich świadków.

W Duszpasterstwie Środowisk Twórczych Grażyna Strumiłło-Miłosz współorganizowała m.in. literackie Drogi Krzyżowe, Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej i inne działania literacko-religijno-kulturalne oraz zajmowała się pomocą charytatywną w okresie stanu wojennego. W 2011 roku Grażyna wraz z córką Andrzeja Miłosza z pierwszego małżeństwa, poetką Joanną Miłosz-Piekarską, przekazała Archiwum Rodziny Miłoszów Bibliotece Narodowej w Warszawie. Była członkiem i skarbnikiem Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

(kbj)

Boże Narodzenie 2018

hasło: **Stajenka**

W czasie spotkania opłatkowego po pięknej, krzepiącej homilii Krajowego Duszpasterza Środowisk Twórczych ks. Grzegorza Michalczyka czytaliśmy wiersze, tym razem wywoływane na hasło: „Stajenka”. Jak to artyści, nie wszyscy się podporządkowali i użyli innych haseł, na szczęście z tej samej sfery... W rozmowie poetyckiej tradycyjnie brali udział także członkowie Stajni Literackiej, tj. uczestnicy Warszawskiej Szkoły Pisania SPP, których utwory również drukujemy.

Anna Bernat

Tajemnica Gwiazdy Betlejemskiej

Patrzę w noc,
jak i wy patrzycie czekając..
Jaka była ta gwiazda,
Gwiazda Betlejemska?

Widzę płomień wśród nocy,
słońca przebudzenie,
wiatr ognisty to,
czy tańce anielskie?

Miłość, która światłem
Ziemi się objawia,
wielka tajemnica
Gwiazda – Człowiek – Prawda.

Chciałbym, jak Trzej Mędrcy
Gwiazdę tę rozumieć
widzieć jak z jej wnętrza
Dziecię-Bóg zstępuje.

Patrzę w noc,
jak i wy patrzycie czekając.
Niebo, jak świątynia,
sfer niebieskich granie...

Zamknij oczy i popatrz,
znów pod niebem płonie,
wszechświat twego serca
Gwiazda Betlejemską...

Chwalcie Dziecinę

Cała ziemia w sukni białej,
taka piękna, jak z obrazka,
bo w stajence biednej, małej
Bóg się rodzi, płynie łaska!

Przyszła chwila, wielka święta,
czas powitać Maleńkiego,
niechaj każdy z nas pamięta,
drzwi otworzyć domu swego.

Chwalcie Dziecinę niebios wielkie
śniegowe drzewa, ptaki maleńkie.
Chwalcie Dziecinę pola uśpione,
chwalcie kolędy dźwięcznym tonem!

Chwalcie Dziecinę przeczystym sercem,
jak najradośniej, jak najgoręcej,
chwalcie kolędą wielcy i mali,
bo tak się śpiewem Dziecinę chwali!

Mamy chleba, ile trzeba,
płatków chleba bielutkiego
na obrusie prosto z nieba,
nie brakuje nam niczego...

Mamy grzyby i kapustę
pod obrusem pachnie siano
dla wędrowca miejsce puste
kolędujemy aż po rano.

Jerzy Binkowski

Stajenny Cud

Wielka stajnia
Duże kobyły
A w niej Józef
Obok Maryi

Śmierdzi tu mocno
Derki na grzbietach
Wiatr w szparach gwizdże
Jak w mej ojczyźnie

Młoda kobyła
Wodę wypila
Swej Kobylicy
Pełną donicę

Teraz rzy głośno
A krzyk dzieciny
Przerywa rżenie

Jak konik polny
Błyszczący na sianie
Cichutkie łkanie

Stajenny Cud

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Pastorałka zawiana, nieregularna

Zasypane pola i szosy.
Tory pękły czy rozebrali...
Czy to mała stacyjka w dali?
Bo w okienku płomyk się pali.

Może szalas? Bróg? Kopa siana?
Nie dotrzemy, droga zawiana.
My zawiani, jak dojść do siebie?
Księżyc zaszedł, wyc wniebogłosy...

Ani znaku dziś na tym niebie,
a pisali, że jakaś gwiazda...
W butach mokro, cóż pozostaje?
Marsz uparty? Szalona jazda?

Regularne loty, odjazdy,
na „last minute” czy „happy hour”
już nie dla nas, nie damy rady...
We mgle giną gwiazd jazd rozkłady.

Sanie nagle stanęły w biegu.
Nieprzejezdna już autostrada.
Ani motel, ani gospoda,
ech, psia buda choćby się nada.

W jednej chwili trzepot i śpiewy!
To niebios a się „zaludniły”,
pokazują piękni anieli
jakąś małą stajenkę w śniegu.

Żeby nie wpaść w głodne przepaście,
nie zastygnać w siarczystej bieli,
ale jakoś dotrzeć do Boga,
pokazują drogę anieli.



Do szopki

Rys. Autorka

Szopka licha, ledwie stoi,
grota zimna, spać tu strach.
Tutaj wołek się rozpycha,
tam osiołek stoi w drzwiach.
Żadne drzwi to! Ledwie dziura,
buda ciemna i ponura,
już weselszy siana stóg...
Lecz gdzie ma się podziąć Bóg,
gdy się w ciało ludzkie wciela?
Nie na uczty i wesela
dziś tu miejsce – zwykły schron
przed złą nocą i wichrzyskiem...
Bo odrzucił zbytki wszystkie,
gdy się w człeka wcielił ON.
Twarde łoże z twardym chlebem,
ciężka praca twardą dłonią.
Wie, że lekko mieć nie będzie,
na tej ziemi, gdy osiadzie,
raz przygarną, raz przegonią...
W kraju tym i pod tym niebem.

Jak to było, spytaj siebie...
Jakie losy, jakie dzieje,
spytaj szopy, co się chwieje...

Jolanta Cywińska

Niepokój epoki

Chcieliśmy wszyscy się pojechać, ale już nie było czasu na pojeżdżanie,
Chcieliśmy wszyscy podać sobie ręce, ale mdlały nieprzyzwyczajone do
uścisku,

Chcieliśmy wszystko sobie przebaczyć, ale nie umieliśmy przebaczać
i słowa więzły nam w gardle,

Chcieliśmy się do siebie zbliżyć, ale drogi nasze biegły w różnych kie-
runkach,

I tylko obserwowaliśmy własne oddalenie

Zamknęliśmy się więc w naszych domach. Nikt nam nie był potrzebny.

Byliśmy samowystarczalni

Chodziliśmy do pracy, po zakupy, czasami trochę czytaliśmy i ogląda-
liśmy telewizję

Czasami odwiedzaliśmy znajomych, równie niemych jak my i czasami
obserwowaliśmy w lustrze nasze starzenie popychane do przodu przez mi-
jające dni.

Aż pewnego dnia, kiedy się ocknęliśmy, nie było już nas. Było morze
i słońce zachodziło jakoś dziwnie. Czyżbyśmy doczekali końca życia nic
o tym nie wiedząc? A może to tylko koniec świata? Nikogo nigdzie nie ma.
Pełno pustych miejsc na parkingach.

Joanna Jagiełło

Wólka

Wszystkie nieistniejące wsie wyglądają tak samo. Nie zostaje
nic, jak po domu, tak i po człowieku. Nawet ta przestrzeń jakby
bardziej wygładzona, posprzątana, zamieciona pod falisty dywan
gór. Tylko dusza Wólki unosi się w powietrzu, jak na obrazie
Chagalla. Rżące konie, studnie z migoczącym okiem, drewniane
rzeźby twarzy, czy jak żywe ocenić nie sposób, skrzypce
rozproszone w miliardy śnieżnych gwiazd. Kiedy wysiedlono

Wólkę, zostały tylko trzy. Stare Łemkinie, umrzeć chciały,
do końca teraz i tu. Jedna w końcu chyba wyjechała, drugą zastrzelono,
nie do końca wiadomo kto i po co. Trzecią znaleziono
zamarzniętą, w żłobie. Serce ponoć pękło, gdy ci w mundurach
znów weszli do wioski. I w stajence czekała Boga już
na wieczność, tylko ona, nic żywego by przytulić
wzrok. A ten grób to raczej żadnej z nich. Może to tej
sarny, która ucieka siedem dekad później, znacząc białą ścieżkę
krwią, pewnie od tego właśnie żłoba, w przerażeniu i milczeniu, i o której
wszyscy mówią, że być może. Kłusownicy, źli ludzie, wilk. Jak ten,
co zabiera dzieci, gdy podbierają ze świątecznych
garnków. Może. Być może. Pewnie. Chyba. Słowa wiszą w powietrzu
razem z zapachem krwi.

Walentyna Karwowska

Za oknami biel

Scena
Na niej stajenka

Za oknami biel

Gwiazdka rozbłysła nad Małym

Oddział z umiłowaniem Mu się kłania
Czyta poezję w darze
Wyraża radość niezmierzoną

Czy Mały wie
Że jest sprawcą zbiorowego szczęścia?
Milczy skromnością
Zasłuchany w darze
...

Czytajmy Małemu

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Na początku było słowo

Na początku było słowo..., co się stało,
a słowo Ciałem się stało.
W śródmiejskim gwarze
jajogłowych celników
nie było nań miejsca.
Nikt nie dał gościny.
Nie widział gwiazdy,
ni pielgrzymów.
Nie słyszał odgłosu ich STÓP..
W pixelowym odbiciu ego ekranów
kciukami pisano kody dostępu.
W gwiezdny pyle pijanym od żądz
serfowano bez słów.
Nie otwierano drzwi
Nie otwierano bram.
Nie otwierano WRÓT..
Nieposkromiona chciwość,
nienasycone pyszne złamasy
ciągle mkną na gąsienicach kłamstwa.
Ku wielkości,
ku wyzwoleniu.
Z poczuciem zwycięstwa lub krzywdy,
sfrustrowani,
w szpagat przegięci wyją z bólu,
pogrążeni w depresji,
samotności.
Ich zaspokojeniem jest krew lub próżność,
przystanią chwila spełnienia,
końcem bezsensu trudu, pustka cierpienia.
Błogosławieni głusi chcący słyszeć.
Błogosławieni ślepcy, którym otworzyły się oczy.
Błogosławieni pokornego serca.
To oni otrzymają drugie klucze do Edenu.
Do nich należy Królestwo Niebieskie.

Z woli Ojca przez Słowo zrodzone,
Matczynymi dłońmi otulone,
rękoma Cieśli koło na ratunek tonącym
w przedmieścia Powiśla, Aleppo,
Saint Petersburga, Manhattanu rzucone.
A wszystko przez Nie się stało,
i bez Niego nic się nie stało.

26.12.2018

Piotr Müldner-Nieckowski

Gwiazda Zaranna

Tak, to ja, Jego Zaranna Gwiazda,
codziennie zmierzam nad Stajenkę,
aby Wam Wszystkim było lepiej,
a Przykazania brzmiały jak Poezja

w tajnych waszych zaczynach dobra,

więc ręce ku mnie wyciągnijcie,
bo dotyk Wasz z mikrobów czyszczę,
które się mnożą w Waszym umyśle,
gdy wody czynów chcą być krystaliczne.

Anna Nasiłowska

Rozmowy zwierząt

W stajence, jak wiadomo, nie pachnie zbyt ładnie.
Mówi kozioł do owcy: nie rób, gdzie popadnie,
Wybacz moja miła, powiem ci otwarcie,
Ale musisz uważać, bo ściółka to żarcie.

Mówi owca do osła: To nie moja wina,
A tylko pasterza, co nas w ścisku trzyma.
A osioł na to tylko zakręcił się w kółko:
Jasne, kłopot jest z ludźmi, nie z ściółką!

Wielbłąd, co słynie z tego, że jest wytrzymały,
Mówi: Święto mamy wśród wstydu, nie chwały.
Przydałby się Herakles do stajni Augiasza.
A tu idą królowie, o doloż ty nasza!

My tu stoimy biedni, ufajdani, w błocie,
A tu władza nadciąga, w łańcuchach i w złocie.
Musimy zrobić coś razem, a jeszcze tej zimy
Wspólnymi siłami stajenkę wyczyścimy.

na spotkanie OW SPP, 8.01.2019

Andrzej Ostromięcki

Droga z orszakiem trzech króli

Znów trzeba ruszać... a może nie. Stale jesteśmy w Drodze. Dziś w podtekście Święta Objawienia Pańskiego zwanego w starym języku Greków Epifanią, mamy wędrówkę. Polska nazwa Święta to Pokłon Trzech Króli. I śpiewamy: Mędrcy Świata / Monarchowie / skąd śpiesznie dążycie... nie wiemy skąd dotarli do Betlejem... ze Wschodu?? Jeden był czarnoskóry. Dziś u nas pewnie by wołali: oooo asfalt... brrr. Szli za Gwiazdą, przekonani o słuszności swych dążeń, długich i wytrwałych. Byli mędrkami ci znani też jako Kacper, Melchior i Baltazar. Ich sukces umożliwiły wielbłądy, wyjątkowo wytrzymałe stworzenia boskie. Dromader nie pije wiele dni, niesie ogromny ładunek, nawet po lotnych piaskach, co umożliwia błona pomiędzy palcami stóp. Farysem zwano błędnego muzułmańskiego rycerza pustyni, dosiadał dromadera i wędrował. Ale nie zapominajmy o beduińskiej jeździe – oczywiście dosiadała dromaderów i jeszcze – dzisiejsze, komercyjne wyścigi – dromader potrafi być szybki, choć jego rola znacznie się zmniejszyła. Oczywiście winne terenowe auta 4x4.

Trzej Królowie żyli jednak dwa tysiące lat temu. Pustynie były takie same, zaś aut nikt jeszcze nie wymyślił. Wyruszyli i wrócili inną drogą. Czy nadłożyli – pewnie tak – ominęli Rafę. Innej drogi nie potrzebował orszak na Trakcie Królewskim. Już jedenasty raz Fundacja Orszak Trzech Króli organizuje wielkie, plenerowe eventy w dniu 6 stycznia. Na plac Zamkowy przyszedł wszyscy – ogromny tłum widzów i gapiów przyglądał się telebimom, z których Papież Franciszek błogosławił zebranych, kończąc Anioł Pański. Potem Gospodarz.... Kazimierz Kardynał Nycz. Jego głos nad placem Zamkowym. Nad białymi zespołami dziecięcymi ze skrzydełkami aniołków – nad ceglastymi kombinezonami patrolu Harcerskiej Grupy Ratownictwa z Bemowa, nad środkiem Krakowskiego, gdzie w zabezpieczającym szpalerze młodych umundurowanych osiłków – rusza Orszak – nad głowami widzów i sztandarami, stylizowanym Królem, może przypominającym barwne występy Teatrów ulicznych, Teatrów wędrownych?

Idziemy i śpiewamy kolędy – śpiesznie, bo mróz. Mijamy zespoły występujące wokalnie na zaimprovizowanych scenach. Dało się słyszeć: Łoj, maluśki, maluśki. Przyjechali specjalnie? A może raczej, na co dzień to budowańcy, konkurenci obywateli obwodu iwano-frankiwskiego? Wszędzie

dzieci – rozumieją dobrze barwne widowiska Teatru ulicznego. Chłoną, czasem z wysokości Tatowych ramion.

Honorowymi patronami byli Prezydent Miasta Stołecznego Warszawy i Arcypasterz Warszawski Kazimierz Kardynał Nycz. Strategiczne partnerstwo i niezbędne finansowanie leżało w gestii sponsorów – plejady potentatów przemysłu, bankowości, handlu, usług i mediów. Taki swoisty sojusz Tronu i Ołtarza zapewnił wielkie widowisko, także o podłożu religijnym, zapewniające warszawiakom udział w dobrze pojętej masowej kulturze i może, choć chwilowy odwrót od świątecznych wypraw do Świątyń handlu. Droga dalsza – sięganie po motyw saneczek na Dynasach i napotkanie uczynnej życzliwości młodej obsługi, nowej kawiarenki na Tamce, przypadkowej i jeszcze życzliwszej postawy starszej warszawianki, wobec kogoś, kto: biedaczysko szukał w dali tego, co tak bardzo blisko. Krucza była pusta – umożliwiała szybki marsz.

Alicja Patez-Grabowska

Rozważania o stajni

Nad stajenką
rozbłysła gwiazda
Dlaczego nie nad pałacem
chociaż król się narodził
dla wszystkich ludzi świata?

Dlaczego stajnia zwykła
magów do siebie przywiodła?
Wielkiemu nie trzeba oprawy
nie liczy na poklask i sławę

Dostrzeże go lud ubogi
jak pastuszkowie Boga
Wół – symbol pracowitych
osioł – upartych i skrytych

co zawsze w konia cieniu
choć nie gorszy od niego

Tak więc w słowie „stajnia”
została prawda ukryta:
Nad skromnym zaświeci gwiazda.

Poetom na pocieszenie –
Będziecie dostrzeżeni!

16 XII 2018

Wigilijny wieczór

Już i ziemia
pod śnieżnym obrusem.
Na choinkach
migocą gwiazdy.

Jaka cisza
w wigilijny wieczór...

Przyłóż ucho
do serca drzewa
a usłyszysz:

Wiatr
w gałęziach
kolędy śpiewa
i podzielić się chce
z Tobą
opłatkiem.

Marek Pękala

Wigilijna opowiadanka

Wieczór, coraz zimniej. A oni we dwoje w obcym mieście, w obcym kraju, lichy odziani, z ostatnim bilonem w kieszeni, w jego plecaku cały ich dobytek. I co z tego, że czuwa nad nimi Anioł, jeśli nic konkretnego nie może dla nich zrobić, bo taka jest jego natura. A poza tym, kto dziś wierzy w Anioły. Tu nawet dla dzieci Aniołek to tylko taka miła postać z bajki czy kiczowatego obrazka. Czy dzisiejszy smok to smog? – to ekscytuje również dorosłą dzieciarnię.

Ona z dużym brzuchem. Idą, objęci, w obojętną noc, sypie śnieg.

– Chyba zaraz urodzę – szepcze, opierając głowę na jego ramieniu.

– Wytrzymaj, kochana, zaraz znajdziemy szpital – odpowiada dokładnie tak, jak Anioł odpowiedział.

– Dzięki – myśli resztką wiary w swojego Anioła Stróża, bo przecież dlaczego nie poniesie ich na swoich skrzydłach pod próg porodówki?

Latarnie i drzewa rozświetlone kolorowymi iluminacjami jak z baśni. A on macha w stronę pędzących aut. Niektórzy kierowcy i pasażerowie dostrzegają ich, ale nie mają czasu, żeby się zatrzymać, spieszą się do sklepów, do domów, trzeba dobrze przygotować się do świąt. Zdobyć górę jadła i prezentów. Niektórzy już przypominają sobie zgrabne slogany życzeń na okoliczność dzielenia się tak zwanym opłatkiem.

Ktoś z naprzeciwka idzie szybkim krokiem w ich stronę. Anioł szepcze mu do ucha, żeby pomógł tej parze, ale on jest głuchy albo udaje głuchego. Właśnie ich mija.

– Niech nam pan pomoże – obcy błaga łamaną polszczyzną.

– To nie wiesz pan, co się robi w takiej sytuacji? Do szpitala, migiem! Dzwon pan. Ja się śpieszę do kościoła.

Aniołem aż zatrzęsło, ale i tak nikt tego nie widział, a i Anioł dobrze wie, że nie jest od karania.

A oni nie mają telefonu.

– Boli.

– Musisz wytrzymać.

Na pustej o tej porze stacji benzynowej obsługa schowała się przed parą intruzów bez auta czy motoru.

Nie było dla nich miejsca w hotelu, w eleganckim wnętrzu potraktowali ich jak żebraków.

– Nie widzicie, że żona jest w ciąży, że zaraz będzie rodzić?!

– Nie, nie widzimy – odpowiedział jeden z ochroniarzy.

I ich wygonili. Razem z Aniołem wygonili, bo go nie widzieli i nie słyszeli. Bo nie chcieli. Po co im jakaś zjawa w trudnej służbie. Co innego, gdyby go zobaczyli. Może nawet padliby przed nim plackiem wtedy, dopiero wtedy.

Idą dalej. Widzą światła w pobliskim bloku, wloką się tam.

– Wejdź do tej klatki – szepcze Anioł prosto w jego intuicję – gdzie domofony zepsute i drzwi wejściowe otwarte.

Kowalscy, zmęczeni szalem przedświątecznych zakupów, siedzą przed telewizorem, podziwiają dziesiątki reklam z setkami Mikołajów. Nie wiedzą, że ktoś z ich świąt robi sobie towar, a oni są wystawieni na żer. Może już dali się przehandlować.

Puka do pierwszych drzwi na parterze.

Kowalski słyszy delikatne pukanie.

– Kogo to wlecze po nocy – mruczy i idzie zobaczyć.

Wraca.

– Kto to był? – dopytuje Kowalska.

– A tam, jakieś przybłądy, odprawiłem ich.

A oni pukają do następnych drzwi. Cisza.

– Poczekaj, pójdę na górę.

– Nie zostawiaj mnie samej z dzieciątkiem.

– Twój Anioł zostaje z tobą.

– Ty jesteś moim Aniołem.

– To zostań z moim. I czekaj.

– Trudno, muszę się rozdzielić – westchnął Anioł. I idąc na pierwsze piętro i wyżej, jednocześnie pozostał na parterze.

A obcy puka i puka. Większość nie otwiera. Albo nie ma ich w domu, albo udają, że ich nie ma. Tak jest najczęściej. A jeśli ktoś otworzy, nie daje mu dojść do słowa. Ktoś dla świętego spokoju daje trochę chleba, ktoś parę groszy. Ktoś, nawet nie otwierając drzwi, grozi, że zadzwoni na policję.

– Pieprzony imigrant! – słyszy gdzie indziej.

Anioł – wściekły, ale bezsilny. Oczywiście, ma dostęp do każdego sumienia, pod warunkiem jednak, że jego właściciel tego zechce. A kto dzisiaj wzywa na ratunek Anioła, to anachroniczne.

Trudno w mieście o stajenkę, stajnię, o grotę. Gdzie taka obca kobieta może urodzić?

Został im śmietnik.

Anioł szaleje z rozpacz.

I na śmietniku w blaszanym baraku, wśród wypełnionych smrodem kontenerów, na starych gazetach, stał się cud narodzin. W asyście trzech bezdomnych kotów. Ze zziębniętymi gawronami na dachu.

Anioł krzyczy wniebogłosy, ale nikt go nie słyszy, bo nikt tutaj w Anioły nie wierzy.

Słyszać tylko płacz dzieciątka, matki i ojca.

Trzy płacze łączą się w jeden wielki lament i żal do świata.

Przychodzi dziewczyna, żeby wyrzucić worek ze śmieciami. Po tym, co zobaczyła, narobiła rabanu.

Przybyszą ludzie z osiedla, zewsząd, aby zobaczyć dzieciątko, urodzone na śmietniku.

Ze względów sanitarnych tłum zostaje rozpędzony. A ze względu na rozpoczęte śledztwo śmietnik zostaje zamknięty i ogrodzony białoczerwoną taśmą. Pilnują go policjanci. Pod chmurą jak rozsypany cement. Stopniała biel obnaża brudną prawdę o trawniku i okolicy.

Synek i matka zostali przewiezieni karetką na sygnale do szpitala.

Ojciec dzieciątka krąży po korytarzu przed porodówką.

– Co z nami będzie? – powtarza w myślach i nie umie odpędzić pytania. – Jak to dobrze, że mój Anioł czuwa nade mną – myśli. – Dzięki, Bracie. Również za to, że nie chcesz mnie zastępować w podarowanym mi życiu.

– Super, że już coś pojąłeś z mojej niebiańskiej natury.

Bo Anioł jest kimś więcej niż spersonifikowana intuicja, niż taki sam archetyp czy topos. Nikt cię nie wyręczy w odkrywaniu tajemnicy tutaj nie do odkrycia. Więc może lepiej się z nią najpierw pogodzić.

Kolejna awaria pozbawia miasto prądu. I nastąpiła wielka ciemność.

Tylko garstka gorliwych z płomykami świec idzie przez błoto na pasterkę.

Zamiast radości na cały świat wybucha lokalny skandal:

Jak mogło dojść do tego, żeby w dwudziestym pierwszym wieku kobieta rodziła na śmietniku?! – trąbią oburzone media.

Zaczyna się szukanie winnych.

Na Starym Rynku z ratuszem – młode stado w dzikim tańcu wokół podpalonej choinki z gwiazdą betlejemską.

Rozbłyszany jazgot nadjeżdżającego wozu straży pożarnej.

A narrator, zamiast nowej opowieści wigilijnej, pisze *Kolędę znad śmietnika*.

– Pisz, pisz – zachęca go jego Anioł. – Bo to na pamiątkę. Zauważ, przeniesioną przez wojny i kataklizmy. Wbrew modnej u was, ludzi, regresji antropologicznej. Przecież ta pamiątka ma, no, ile ma lat?

– Dwa tysiące osiemnaście.

– Bingo! Bo macie tu, na Ziemi, dwa tysiące osiemnasty rok, tak?

I z hukiem spadł narratorowi kamień z serca, oszczędzając jego stóp.

Grudzień, 2018

(Z przygotowywanego zbioru krótkich form pt. *Cudowny numer*)

Antoni Pieńkowski

Na Nowy Rok 2019

Ogłuszeni lawiną słów, powodzią zdań, nie zawsze pięknych,
Przytłoczeni potokiem niesnasek, dramatycznych zdarzeń,
Dbajmy o to, aby w każdej minucie mijającego dnia
Zachować to, co najpiękniejsze w rysach naszych twarzy.

Te twarze wszystko o nas mówią, są lustrem
Tego, co za nami, co przeszło, co rozwiał wiatr po wzgórzach.
Szanujmy to, co kwitnące, piękne, na naszych obliczach,
Bo nie wiadomo, jakie czekają nas jeszcze wiry i burze.

Dysputy o zmroku, kiedy sen na powieki nam spada,
Kończymy jak najrychlej, bijąc się w piersi, że od dziś dopiero
Będziemy czujni, mądrzy, wyrozumiali dla innych,
Kiedy wichur historii niespodziewanie nam we wrota zawieje.

Dzień się kończy i każdy nad łóżkiem parasol rozpina
Swoich własnych myśli. Chroni je przed innymi, otula.
Zaciera ręce z radości. Zasypia przekonany, że tylko on
Jest najwspanialszy, najmądrzejszy na tej ziemskiej kuli.

A skoro świt miecza dosięgnie, będzie z purpurą na twarzy
Wycinał przy samej ziemi czyjeś zdanie podobno niesforne.
Po zapalki sięgnie, pożar ognisty wznieci, aby tych, co
Wczoraj inne zdanie mieli, żywym wypalić ogniem.

Grabarze ognistych płomieni historii rzucą się do swoich zajęć,
Zacierając ręce z uciechy z racji takich zdarzeń.
Będą z zapalem tych, co wczoraj myśleli chociażby odrobinę inaczej,
Gorącym ogniem, aż do ostatnich korzonków, wypalać.

A później rzeka słów spłynie na nas jak powódź,
Zahuczy jak nagle wzbierający wodospad wydarzeń.
A wtedy w każdej płynącej powoli sekundzie i minucie
Starajmy się zachować to, co najpiękniejsze: szlachetne rysy naszych twarzy.

Krzysztof Saturnin Schreyer

Stajenka

Stajenka cicha w tyłu krajach świata
rzadko bywała cicha. Przez wieki i lata
szczęk broni zagłuszał wymowę przesłania
powszechnego pokoju oraz zmartwychwstania

Dawniej okrzyki bitwy, płacze, rzenie koni,
teraz przed wichrem rakiet mur już nie obroni.
Szablą krzywą w przeszłości machali poganie,
znacznie później działano cywilizowanie
ideologią, gazem lub obozem pracy –
stajenkę w trwożnych sercach nosili biedacy.

Wśród wyznawców Chrystusa też harmider wrogi,
bój o to kto ma prawo wejść w stajenki progi –
może z ikoną w ręce, może z biblią nową,
z bogobojnym przepychem, z regułą surową?

Bywają więc zażarte potyczki u progu,
bo każdy chce inaczej oddawać cześć Bogu.

Czy kiedyś żądza bitwy i nienawiść miną
i wszystkie wrogie armie staną się rodziną?
Bezradni politycy, bezradni uczeni.
Czy skazę ludzkiej duszy stajenka odmienni?

Ile wieków potrzeba, by ludzkie pragnienia
doczekały się wreszcie wielkiego spełnienia?
Żyjmy, żyjmy nadzieją, stale nam jej trzeba,
a dzisiaj niech kolędy popłyną do nieba.

16 XII 2018

Piotr Wojciechowski

Co czwarty dał

Gwiazda wezwała czterech
Każdy porzucił tron.
Baltazar, Kacper, Melchior
A czwarty? Kim-że on?
Kiedy szli przez bazyry
Zapodział się i znikł
Czekali godzin parę
Dalej za blaskiem szli.
On rządził znów krajami
Raz berło brał raz miecz
I królem strzelców zwany
Niejeden wygrał mecz
I błyszczał – bo król mody
Klejnoty czyni z ciał
A jako idol młodych
Król rocka tłumom grał
W hazardu mrocznym świecie

Był w kartach królem kier
Do lochu trafił przecie
Gdy grasz – to zdarza się
Widział gwiazdę za kratą
Kiedy już był na dnie
I znalazł sposób na to
By wrócić. Brnął przez śnieg
Pytali go pasterze
Bo tam z kolędą szli
Co niesiesz Jezusowi?
Nic. Pustych dłoni wstyd.

Stajenka pośród morza

Wiosłowali pochyleni na kolanach
I płynęli
Tam gdzie Ziemia Obiecana
Kraj Złodziei
Byle dalej od Ojczyzny Okradzionych
Ziemi płaczu
Zapłacili za pontony
Naganiaczom
To wiedzieli Abel zginie
Zastrzelony
Więc najlepiej być z Kainem
Uzbrojonym
Wiosłowali ile siły
w głodnych rękach
Niespodzianie zobaczyli
Jest stajenka
Polska szopka pośród drogi
Pachnie sianem
Zatrzymali swe pirogi
Nadmuchane.
Już przed Bogiem swoje głowy
pochylili
A tu statek spacerowy

W takiej chwili
 Tam kolędy im orkiestra
 Gra od rana
 Nie brakuje tańców estrad
 i szampana
 Dali wypić jakieś sznapsy
 Marynarzom
 Więc bez szansy
 Że stajenkę zauważą
 już do Boga było blisko
 tym na łódkach
 Lecz pod wodę poszło wszystko
 Sprawa krótka
 Tonął Jezus i Rodzice
 Czarnych mrowie
 W dal odpłynął pod księżycem
 Wycieczkowiec
 Wół i osioł też musiały
 W falach zdychać
 Jedną łezkę uroniła
 Gwiazda cicha

Ten wigilijny talerz

Co powiedzieli, Józiu?
 Że nie ma miejsca w gospodzie.
 Tej szopy nikt nie pilnuje
 Tak mi powiedział przechodzień.
 Na hale owce pognali
 Tylko wół brzęka łańcuchem.
 Połóż się tutaj Marysiu,
 Tu płachta i siano suche.
 Od iskry lampa już płonie
 Nad stropem skalnym – Gwiazda
 Świat się przetacza przez wrota
 I w światła stroją się miasta
 Opłatki, dzwony, kolędy

W chatach i dworach królewskich
Na pasterki śpieszą się wierni
I prezenty wiozą ekspresy
Powtarza się święty początek
Zapisany w księdze Łukasza
I słowa brak miejsc w gospodzie
Świat coraz sprawniej powtarza.
Łamię się z wami opłatkiem
Przyjaciele serdeczne dusze
I na talerz co czeka na Boga
Z nadzieją opłatek kruszę

Zbigniew Zbikowski

Cztery anioły

anioły jasne byty skrzydlate
na brzegu nieba na rogu świata
stoją i stoją
w ciemności ciemnej
istoty piękne
i nieulękłe

we mgle bezgwiazdnej w zgubnej zamieci
gdzie bestia czyha by pożreć Dziecię
stoją i stoją
czujne i dzielne
cztery anioły
ufne i czelne

pierwszy białoskrzydły
powietrze rozcina
drugi chabrooki
wzrok topi w głębinach
trzeci złotoskóry

ziemię ma w koronie
a czwarty szkarłatny
ogniem jasnym płonie

stoją i stoją nad pasterzami
ponad owcami ponad wołami
w rękach ich błyszczą
miecze płomienne
przed bestią strzegą
Pannę brzemienną

cztery anioły wierne i czyste
stoją i stoją duchy przejrzyste
na rogu świata
na nieba skraju
silne i chobre
straże trzymają

pierwszy białoskrzydły
powietrze rozcina
drugi chabrooki
wzrok topi w głębinach
trzeci złotokóry
ziemię ma w koronie
a czwarty szkarłatny
ogniem jasnym płonie

aż oto światłość bije z światłości
jodła rozbłyska dom wita gości
kruchy opłatek
z rąk do rąk chodzi
ciemność umiera
Bóg się nam rodzi

szklane anioły łańcuch je spina
wokół nich lampki w żłóbku Dziecina
kiedy czuwają
łagodne święte

rzeczy się dzieją
wprost niepojęte

pierwszy białoskrzydły
powietrze rozcina
drugi chabrooki
wzrok topi w głębinach
trzeci złotoskóry
ziemię ma w koronie
a czwarty szkarłatny
ogniem jasnym płonie



Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Rafał Lasota

Moja własna Niepodległość

A gdy przyjdzie do mnie Niepodległość
To jeśli ona może
Niech mojej siostrze w szkole na lekcji pomoże
A potem niech pójdzie z nami na spacer
Ze słońcem albo z deszczem
I niech się Niepodległość pośpieszy
Bo z psem wyjść trzeba jeszcze
Niech siądzie do kolacji
Z naszą rodziną, przy stole
Mama nam zrobi placki
Tata naleje kolę... albo... gorącej herbaty
A Niepodległość się śmieje do mnie, do mamy, do taty
Zaśpiewa pieśń o legionach potem zamyśli się chwilę
Szła do naszego domu
Sto lat
To przecież tyle czasu...
Chce opowiedzieć historię
A my jej nie słuchamy,
Więc Niepodległość milczy – lecz dobrze, że jest z nami.

Jaskinia smoka brudasa

Kiedy posprzątam swój pokój?
A co to kogo obchodzi?
Ja lubię jak gdzieś pod biurkiem
Coś mi się czasem zasmrodzi!

Uwielbiam, gdy wieczorami
Miauczą kurzowe koty...
A w pajęczynie przy oknie
Trzepoce się biały motyl.

Ta mucha – mi nie przeszkadza
Bo z muchą fajnie się gada
Ja sobie siadam na stole
Ona na bucie mi siada.

Mucha cała się lepi
Miód złoty ma na łapkach
Znów się nie wyniósł do kuchni
Talerz po słodkich kanapkach!

Podłoga błyszczy wesoło
Bo zachlapała się sokiem
I co ja poradzę na to
Że mam nieporządną podłogę?

Za szafą kopalnia skarpet
Jakieś noszone ubrania
Ja dziwię się tym skarpetom
Że same nie chodzą do prania!

Więc teraz niech ta podłoga
Tych skarpet śmierdzących morze
Niech zrobią ze sobą porządek
Bo przecież tak być nie może!

Bo ja na przykład się kąpię
I zęby też myję... czasem...
A gdybym tego nie robił
To byłbym strasznym brudasem.

Zimna Zima

I znowu idzie Zima
I znowu będą chłody
Niechby ta zimna Zima
Wpadła do zimnej wody
Niech z bystrym rzecznym nurtem

Popłynie w ciepłe kraje
Niech się wygrzeje w słońcu
Na plaży niech odtaje
Niech się Zima opali
Pojeździ na wielbłądzie
W pomarańczowym gaju
Pod drzewkiem niech przysiądzie
Niech sobie wszystko przemyśli...
A ja poczekam na to
Że ta okropna Zima
Szybko zamieni się w Lato.

Zając gapa

Już wierzba zaplotła warkocze
Zazieleniły się trawy
Daleko w polu przykucnął
Zając wiosny ciekawy

Rozejrzał się dookoła
Czujnie nastawił słuchy
Wśród kwiatów coś cicho szemrze!
Może to leśne duchy?

A może to motyl się zbudził
I teraz przeciągle ziewa?
Albo mysz wyszła z nory
I się na słońcu wygrzewa?

Więc siedział tak szarak na polu
I nasłuchiwał wytrwale
A wiosna przeszła tuż obok
Lecz zając nie spostrzegł jej wcale...

Rafał Lasota

Kazimierz Świągocki

Do krokodyla

Krokodylu, krokodylu,
czemu nie chcesz pływać w Nilu,
tylko leżysz sobie u mnie
na tapczanie w lalek tłumie?

Krokodylu, krokodylu,
graj na skrzypcach dylu! dylu!
graj wesoło moim lalkom,
które wyszły gdzieś na balkon.

Niech tańczą wszystkie razem,
a wśród nich i król, i błazen,
krasnowudek też niech tańczy,
ile sił mu w nogach starczy.

Krokodylu, krokodylu,
lepiej by ci było w Nilu
leżeć w błocie, grzać się w słońcu,
albo kwiaty rwać na łące.

Lecz dziękuję ci niezmiennie,
że tak leżysz przy mnie wiernie
na tapczanie, na podłodze,
tu gdzie chodzę i nie chodzę.

Całyś jest z miękkiego pluszu
od ogona aż do uszu.
Krokodylu, krokodylu,
graj na skrzypkach dylu! dylu!
lub zaśpiewaj coś wesoło,
niechaj lalki tańczą w koło.

I niech pośród nich zatańczą
też dwie duże pomarańcze.
Choć bez nóg, bez rąk, bez twarzy,
tańczyć im się przecież marzy.

Krokodylu, krokodylu,
dylu dylu! dylu dylu!

Do renifera

Piszę wiersz o reniferze,
jak on jedzie na rowerze.

Panie, panie renifer,
na rowerze to nie fair.
Tyś powinien ciągnąć sanie,
takie twoje jest zadanie.

Paweł Dunin-Wąsowicz

Praski przewodnik literacki

(fragmenty¹)

Cmentarz Bródnowski

Do literatury pięknej Cmentarz Bródnowski wkroczył na dobre jako miejsce pochówku młodych ubogich samobójczyń. W powieści Poli Gojawiczyńskiej *Dziewczęta z Nowolipek* [1935] jest to jedna z tytułowych bohaterek – sierota Franka. Podczas I wojny światowej – już po wejściu Niemców – pracując jako służąca u profesora historii sztuki, zakochuje się w nim, a zarazem wchodzi w trudną relację intymną z jego córką Alisją. Jako jedyne wyjście wybierają wspólną śmierć – Franka ginie od kuli, Alicja zostaje jedynie lekko ranna. Pogrzeb Franki na Bródnie odbywa się bez udziału księdza. Karawan z konduktem wyrusza spod kostnicy, prawdopodobnie szpitala Dzieciątka Jezus w Al. Jerozolimskich. Pada deszcz. „Karawan stanął przed bramą. Woźnica zeskoczył, aby ukazać klucznikowi jakiś papier. Kwiryna krzyknęła na widok grupki ludzi w wrót cmentarza. Pani Eugenia!” – na pożegnanie Franki ściągnął amatorski zespół muzyczny z Nowolipek „pogrzeb Frani zaczynał być prawdziwym pogrzebem”; Bronka jest wzruszona „że porzucili pracę, że im się chciało sprawić tyle kłopotu, aby odśpiewać pieśń na grobie mało im znanej Frani!”. W deszczu śpiewają *W mogile ciemnej śpisz na wieki*, a Bronka osuwa się na kolana, zanim „człowiek z łopatą ją rzucił w głąb wielkie grudy rozmięklej ziemi”. Po pogrzebie Kwiryna naradza się, kiedy zespół wystąpi na jej ślubie, żałobnicy biegną do tramwaju, ale Bronka nie może za nimi nadążyć w przemoczonych pantoflach; „Odwróciła się nagle i szła w kierunku pierwszych domów Bródna i Pelcowizny, sama, nie zważając na napominające wrzaski Kwiryny”. Sama Bronka po kilku latach zostanie pochowana zapewne również na Bródnie, po tym jak zginie pod kołami przejeżdżającego wozu w kontynuacji *Dziewcząt...* – powieści *Rajska jabłoń* [1937].

Kiedy chowano Franię, teren cmentarza dopiero co został włączony w granice Warszawy, choć nekropolia funkcjonowała już od 1884 roku. Aż

1 Książka „Praski przewodnik literacki” ukaże się w 2019 r. nakładem Fundacji Hereditas przy dofinansowaniu Biura Kultury m.st. Warszawy. Por. „Podgląd” nr 3/2018, str. 55-63.

do I wojny światowej nie wolno było jednak stawiać na Bródnie murowanych pomników – tym bardziej przez to był cmentarzem ubogich w odróżnieniu od Powązek. Było to ciągle miejsce pochówku raczej anonimowych zmarłych – dopiero w 1939 roku pochowano tam pierwszą znaną postać: Romana Dmowskiego.

Już murowany grób ma na Bródnie tancerka Linka, która w 1929 roku popełniła samobójstwo w wieku 17 lat w powieści Marii Ukniewskiej *Strachy* [1938]: „O takim grobie marzą wszystkie podlotki. Cały z bładoróżowego marmuru wyróżnia się spośród innych, zielonych, żółtych, zapadniętych lub tych całkiem już zrównanych z ziemią”. Grób koleżanki odwiedza główna bohaterka powieści: jej dawna współlokatorka Teresa, niedaleko pochowany jest także Feluś – braciszek Teresy zmarły na odrę. Choć nazwa Bródno nie jest wymieniana, lokalizacja ta jest oczywista – wcześniej Teresa próbowała podrzucić tam martwe dziecko Linki, która usunęła ciężę w szóstym miesiącu, a gdy nie udało się jej pokonać muru, wrzuciła płód do pobliskiej rzeki. Linka zresztą ciągle śni się Teresie, wysyła komunikaty „Jestem w piekle. Dobrze mi”.

Spacer na Cmentarz Bródnowski odgrywa istotną rolę w powieści Jerzego Seweryna [właśc. Stanisław Maria Saliński] *Za jeden twój uśmiech Joanno* [1947]. Wdowiec Józef Mokrzycki wybiera się tam z młodą sąsiadką Julą na grób swej żony Barbary i znajduje cmentarz nadzwyczaj ożywiony. „W bok od głównych alei biegły wąskie ścieżki, zarosłe bujnym zielskiem, tętniące gwarem i obecnością ludzką. W zaroślach buszowała dzieciarnia, pod krzakami berberysów kilku niewyraźnych osobników, półleżąc pod płachtą papieru, grało hałaśliwie i namiętnie w karty”. Gdy Józef Mokrzycki z Julą ich mijają, słyszą komentarz „A nóżki u kozy owszem – owszem”.

„W krzakach słyhać było śmiech wyrostków, piski dziewczyn i nagle wywinęła stamtąd zadzierzysta melodia harmonijki. Piskliwa poleczka popłynęła zalotnie jak motyl w gęstym, parnym powietrzu”. Kiedy harmonia wygrywa *Piosenkę o mojej Warszawie*, Mokrzycki pokazuje Juli fotografię swojej zmarłej żony – Julia stwierdza, że widziała ją poprzedniego dnia. Tak Mokrzycki dowiadyuje się, że nieboszczka miała sobowtóra, a zarazem rodzi się między Julą i nim uczucie, które zostanie przypieczętowane czułą opieką po wypadku ulicznym na rogu Targowej i Brukowej, któremu Mokrzycki ulegnie pod wrażeniem zobaczonej w samochodzie twarzy kobiety identycznej z Barbarą.

Życiem kipi też cmentarz w 1954 roku w dzień Wszystkich Świętych w opowiadaniu Stanisława Swena Czachorowskiego *Dziady bródnowskie*

publikowanym w zbiorze *Pejzaż Gnoje Góry* [1968]. Pierwsza część nazywa się *Cmentarne*. „Między tysiące straganów, w nieprzeliczony tłum, w miliardy gwizdów, skrzeków, skrzypów, ciastowych i glinianych bab, szklanych domków, krzyżyków, modlitewek, dwojaków, garnuszków, pitek, kólek, świec, lampek stearynowych, ceramiki, chorągiewek, kolorowego szkła, wianków dla świętej pamięci Wal, świętej pamięci Wienczysławów, Staś etcetera, dla eś pe, dla i tak dalej, itede. Skroś domów, chałupek, pomników do samego cmentarza, przez góry, przez ocean chryzantem, mrozów, dziadów, kalek, kramarzy... Tramwaje jak skrzynki ze szprotami, przyjeżdżały, odjeżdżały jak ze szprotami” – tramwaje kursowały ulicą św. Wincentego od 1933 do 1967 roku, dojeżdżając do głównego wejścia przy kościele św. Wincentego a Paulo, zbudowanym w latach 1887-1888 z sosnowego drewna pochodzącego z rusztowania wzniesionego w celu remontu kolumny Zygmunta.

„Główna aleja. Poprzeczna. Centrum. Rozwarta księga bródnowska. Tu zbliżają się dwie ściany tłumy. Tłum od Odrowąża napiera na tłum od Wincentego. Ci pierwsi zawsze dłużej się opierają, zanim, rozbici, częściowo skręcają w lewo czy w prawo. Drudzy, wparci w ścianę z przeciwną, przejdą, przepłyną, popchają naprzód. Z boku wygląda to na wstawkę baletową, a trochę niby taniec makabryczny dwóch tysięcznych solistów (...)”.

W drugiej części opowiadania zatytułowanej *Dziadówka* Czachorowski koncentruje się na cmentarnych żebrakach i złodziejach. Jednym z nich jest Ferduś, który przy pomocy przyprawionego kikuta żebrze, udając, że nie ma ręki, potem chowa go do kieszeni i obiema rękami gra na harmonii. Odbyna się „podział łupu, często sprzeczka, rzadziej braterski pocałunek, a zawsze prawie uścisk ręki pieczętują spotkania z frajerami wśród mogił oddalonych od głównych kwater i latarni”. Następnie orszak cmentarnych profesjonalistów wyrusza na skraj Targówka i Zacisza na dziadkowski bal (patrz TARGÓWEK).

Pogrzeb zmarłego ojca właśnie na Bródnie stanowi w 1959 roku element subtelnej gry, jaką prowadzi partyjny dziennikarz Andrzej Felak, jeden z bohaterów powieści Leopolda Tyrmanda *Życie towarzyskie i uczuciowe* [1967]. Sprzątająca u Felaków Stefania „myśli, że na Bródnie, a nie na Powązkach: nie formułuje swego rozczarowania, ale wie, że coś jest nie w porządku, nie tak jak powinno być. Drewniany, pospolity kościół św. Wincentego na cmentarzu bródnowskim wydaje jej się mało gustowny jako miejsce mszy za duszę ojca Andrzeja, człowieka dobrotliwego i urzędnika kwaterunku, który tyle przysług ludziom wyświadczył (...)”

Gdyby Andrzej urządził pogrzeb laicki, naraziłby się na złośliwości i kpiny: śmiano by się w Warszawie z jego tchórzliwej nadgorliwości; gdyby chował ojca na Powązkach w aureoli katolickiego ceremoniału, ryzykowałby niezadowolenie tych, którym służył; ale tu na Bródnie, wilk jest syty i owca cała, sklepikarsko-spekulanka rodzina otrzymuje sztaprowate satysfakcje, ale nikogo to nie drażni; pozostaje posuwający się na czele konduktu ksiądz, którego bystrze chytra twarz wyraża wiadome zadowolenie: ksiądz zwietrzył już, że grzebie się kogoś związanego z komunistami, wobec czego wzmacza sceniczne efekty, śpiewa głośniejsze i każdym gestem podkreśla religijność obrządku”.

Nie jest powiedziane, czy pogrzeb opisywany w kryminale Andrzeja Kakieta *Posłaniec śmierci* [1985] również ma charakter religijny. Narrator żegna na Bródnie brata – kapitana milicji. Przyrównuje „...cały dzisiejszy dzień był jak klatka filmu z lat trzydziestych. Wielki, stary cmentarz (ojciec uparł się, żeby Krzysiek leżał w rodzinnym grobie, jakby to miało jakieś znaczenie) w zimny jesienny dzień jest chyba pełnym symbolem nierzeczywistości (...) Organizujemy majestatyczne w naszym wyobrażeniu pożegnanie kogoś z tym światem, zapewniając siebie samych, że to dla niego, a w gruncie rzeczy jest ono szopką dla nas, jednym z wielu koniecznych nam do życia mitów!”.

Egzystencjalne rozważania snuje na Cmentarzu Bródnowskim także narratorka innego kryminału jakim jest powieść Barbary Gordon *Ulica Bliska* [1958]. Uczestniczy w pogrzebie zamordowanego sąsiada [1958], oprócz innych mieszkańców kamienicy, zauważa postać przypominającą oficera milicji, który przyjmował od niej zeznania, ale nie w mundurze tym razem, lecz po cywilnemu. „Tutaj zresztą wszyscy wyglądali nieco inaczej niż w normalnych okolicznościach życiowych. Cmentarz Bródnowski ma jakieś swoje własne oświetlenie, jakby stały, własny zmierzch sypiący w oczy ciemnym odbłaskiem gliniastej ziemi. Ten odbłask padający na twarze i ręce ludzkie, zmniejsza jakby odległość między umarłym, którego się chowa i żywymi, biorącymi udział w pogrzebie (...) czyniąc twarze nasze sinymi, bladymi bez kolorów i rumieńców, przypominał, że my jesteśmy właściwie tylko nieboszczykami na urlopie”.

Współcześnie w powieści kryminalnej Bródno pojawiło się u Mariusza Czubaja w *Martwym popołudniu* [2016] – były policjant Marcin Hłasko, wypełniając zlecenie poszukiwań pewnego mężczyzny powiązane z zabójstwem posła, dzięki umiejętnie zainstalowanemu urządzeniu podsłuchowemu dowiadyuje się o umówionym spotkaniu na cmentarzu przy grobie rodziców niejakiego Molendy, podejrzanego typu. Hłasko jedzie na Bródno

i ukradkiem robi zdjęcia trzem panom w charakterystycznym miejscu w lewej alejce – „tuż obok duża figura anioła ze złamanym skrzydłem”. Osoby na zdjęciu spotykające się z Molendą zostają zidentyfikowane jako poseł i wiceminister sprawiedliwości. Tu jednak rozmawiając ze swoją partnerką Hłasko, kpi, że panowie rozmawiali o przemijaniu.

W opowiadaniu *Cud* ze zbioru *Nowe fotografie* [2007] Janusz Anderman wspomina o pojawieniu się w latach 80. XX w. barwnego wizerunku przypominającego Matkę Boską nad Cmentarzem Bródnowskim „...pod jego mury ciągnęły pielgrzymki i o mało nie doszło do samosądu nad miejscowym dzielnicowym, który niefrasobliwie poważił się na ryzykowny apel do zgromadzonych ludów: Ludzie. Rozejdźcie się lepiej. Nie róbcie zgęszczenia. Przecie cudów nie ma tak na zawołanie...

Naród, wpatrzony w cud, wznosił modlitwy i śpiewy, lekceważąc nawet złowróżbny fakt cierpliwej obecności agentów Służby Bezpieczeństwa, wyposażonych w kamery”.

Narrator tytułowego opowiadania Mariana Pilota ze zbioru *Na odchodnym* [2002], starzec mieszkający w bloku obok cmentarza (patrz TARGÓWEK) ma na jego temat wiele przemyśleń: „Różni tu grasują. Łapsy, złodzieje, szmaty, smrody, brudne dusze, padlinożercy, niezdolne porwać się nikogo, kto dawał jeszcze znaki życia: oni wszyscy święci przy mnie plugawcu, zboczonej nekrofilek zdzirze, którą już tylko najbrudniejsza podłość jest w stanie jeszcze ożywić i wstrząsnąć.”

Jako naturszczyk gra on konia w teatrze Tenater prowadzonym przez niejakiego Raćborskiego i cmentarz przebiega galopem: „Zachowywałem się niepoczytalnie (...) Miotać się między grobami, strącać nagrobne kamienie, mściwym okiem wypłosza świdrować w głąb rozwartych w zboczonej wyobraźni mogli, zagapiać się lunatycznie na rozczapierzone nad głową szeroki korony dębów i lip, to znów na niebie wypatrywać znaku (...) to były pomyłone czyny (...) Moje życie wokół tego cmentarzyska kołacze: jakkolwiek rzucę los, tu zawsze padnie” – choć konstatuje, że ironią losu wywiozą go po śmierci na cmentarz komunalny na Wólkę, to na Bródnie na swej drodze znajduje podkowę, amulet przynoszący szczęście. Przeżywa jednak chwile gniewu, natykając się na przejaw bałwochwalstwa: „Tkwiąca na pstrokatym postumencie z lastrika betonowa postać przypominała z grubsza okutanego w płaszcz żołnierza pierwszej wojny światowej. Bijące od zachodu jaskrawe światło słońca wyświetlało sążniste znaki, wybite na połach płaszcza. Widniała tam wielka litera B. Litera O następnie. I trzecia – G. Czytałem to obwieszczenie i stałem niczym słup wkopany. Posąg

wznosił się nade mną, wcielona żelbeton zjawia. (...) Kto, jakim prawem na bródzieńskim cmentarzu, w jego zapuszczonym kącie wystawił takiego wysokiego na piętro bałwana samemu Bogu jedynemu”.

Na Cmentarzu Bródnowskim rozpoczyna się akcja powieści Sylwii Chutnik *Cwaniary* [2012] – wytatuowana młoda wdowa Halina Żyła codziennie przyjeżdża tam z Mokotowa, by polerować grób zadżganego niedawno męża, drobnego gangstera Antka, którego dziecię nosi jeszcze w łonie. Nad grobem relacjonuje zmarłemu, jak jego syn kopie ją w brzuchu. Idąc przez cmentarz, czuje smród śmieci zrzuconych za ceglany mur i „współczucie dla zmarłych, że w tym syfie leżą i sobie żadnego dezodorantu rozpylić nie mogą. No chyba że to dlatego sprzedają te wszystkie dyfuzory lawendy i sosnowej szyszki w kadzidłach”.

Można je obok kwiatów nabyć na straganach przy cmentarnej bramie. Pisarka wylicza: „...masz tu świeciłko w kształcie zatroskanego Chrystusa, wesołego bałwana lub żółtego kurczaczka w zależności od aktualnego święta. A nie chce ci się co tydzień zmieniać świeczki, to kupujesz na baterijkę (...) Są malutkie stroiki, walentynkowe serca ułożone na stelażu oraz podstawki antystearynowe (...) Gdyby nie płyta, toby i na trumnę nakapała lub urnę zapaskudziła. Masa tworzy dziwne wzory, jak na andrzejkowym wieczorze wróżb (...) Może to i taka rozrywka dla nieżywych, taki teatrzyk z braku laku”.

Jako florysta zatrudnia się w takiej kwiaciarni przy wejściu na cmentarz narrator powieści Łukasza Gołębiewskiego *Disorder i ja* [2009] punkowiec Lew. Komentując ponadtysiącprocentowe przebicie, jakie osiąga na kwiatkach jego szef, wylicza zarazem sposoby na regenerację wędnących okazów. „Te najbardziej obwiedle sprzedajemy ludziom, którzy idą na cmentarz. Trupy nie będą reklamować”. Jako że Lew ma wszyty esperal, popija na cmentarzu fantę, kiedy jego kumpel raczy się tam tanim piwem. Pod wpływem wypalonego na grobach haszyszsu wpadają w buntowniczy nastrój i płytą chodnikową rozwalają witrynę budy z kwiatami.

W zakładzie pogrzebowym Sułtan przy św. Wincentego prowadzonym przez Tatulę Gruca pracują bohaterowie powieści Marcina Kołodziejczaka *Prymityw* [2018] narodowiec Robert Poczęty i Gottlieb Mieczysław Wiśniewski – Cygan zwany też Bombajem. W pokoju socjalnym toczą dyskusje na tematy społeczne i ekonomiczne. Odrodzenie nacjonalistyczne odbija się bowiem także w biznesie funeralnym. Kołodziejczak opisuje konkurencyjne zakłady – Całun i Sarmata:

„Całunowcy na głowach nosili głupie średniowieczne berety, na dupach pumpy za kolano, dołem białe podkolanówki i trzewiki z klamrą. Chodził

po cmentarzu blef, że w tych godnych strojach idzie trafić niezły pieniądź od żałobników. Z tym, że to i tak podobno było nic w porównaniu z nowym w środowisku społeczno-przyrodniczym ul. Wincentego Domem Posługi Sarmata. Ci chowali w kontuszach i mieli służbowe atrapy karabeli z rękojeściami w kształcie samolotów (...) Efekt końcowy był taki, że każdy jeden u nich jeździł nowym używanym bmw”.

O szefie Sułtana chodzą ploty, że „tatulo Gruco jest na procencie u producenta wkładów do zniczy z Ząbek, że należy do sumy obrotów w zniczomacie na bramie cmentarza od strony ul. Wincentego. Z drugiej strony, wśród starych kwiaciarek na ul. Odrowąża, mówiło się, że za komuny Tatulo skutecznie handlował czaszkami z kwater opróżnianych z tytułu zalegania z placowym”. I rzeczywiście – w końcowej części powieści zostaje on aresztowany za sprzedawanie „studentom medycyny doczesności z likwidacji grobów”.

Największy w Warszawie (113 ha) cmentarz, a zarazem jedna z największych nekropolii Europy musi oczywiście mieć własne upiory.

Koncept debiutanckiej książki Zygmunta Miłoszewskiego – horroru *Domofon* [2005] – opiera się na założeniu, że nawiedzony blok przy Kondratowicza został zbudowany na zlikwidowanej części Cmentarza Bródnowskiego, a w piwnicach znajdują się nawet nagrobki. Autor na końcu książki przeprosza czytelników za te zmyślenia, niezgodne z prawdziwą topografią i historią dzielnicy (patrz BRÓDNO). Na Cmentarzu Bródnowskim rozgrywa się także czwarty poziom gry, którą na dwunaste urodziny otrzymała Joanna, tytułowa bohaterka powieści Mariusza Szczygielskiego *Omega* [2009]. Trafia tam ze spotkaniem na pierwszym poziomie Dzieckiem, wydostawszy się z Domu z Mięsa na Zaciszu, gdzie walczyła z wampirami. Rozpoznaje cmentarz, gdzie odwiedzała grób swojej babci zwanej Babulą oraz drewniany kościół, gdzie chce się schronić – budynek jest jednak zamknięty. W znalezionej gazecie czyta o powstających z grobów umarłych. Niebawem sama też napotyka zombi – najpierw szóstkę. Wśród nich znajduje się Babula, potem ujawniają się setki żywych trupów, uciekają do „ogromnego grobowca przykrytego kopułą, na szczycie której kamienny anioł w powłóczyściej szacie dmie w długą trąbę”. Podziemnym przejściem przedostają się do kościoła, w którym napotykają na dwóch zmarłych jego proboszczów. Jako że zombi ścigani są przez nieumarłych, Omega wyciąga z plecaka laptop oraz ręczny skaner, digitalizuje żywe trupy i na pendrive wynosi z cmentarza.

Paweł Dunin-Wąsowicz

Anna Nasiłowska

Polonez stulecia

Dnia 11 listopada 2018 w Pałacu Staszica było cicho i dość pusto, odbywał się jedynie Kurs Kreatywnego Pisania. Postanowiliśmy wyjść i zobaczyć, co będzie działo się na Krakowskim Przedmieściu i Placu Piłsudskiego, by zapisać nasze wrażenia. Pod pomnikiem Kopernika zaparkował wózek z supermarketu, pełen tyczek i biało-czerwonego materiału. Sprzedający sprawnie, przy pomocy kilku ruchów zwykle tyczki zmieniał w niezwykle: były to drzewce do flag.

– Po ile? – zapytała kobieta z facetem-bykiem u boku. Były po trzydziści pięć złotych. On miał już narodową opaskę ze znakiem Polski walczącej; w metrze od kilku dni na ekranach wyświetlano filmik, w którym prawdziwi powstańcy, dziś dziewięćdziesięcioletni, apelowali, by pozostawić im ten znak jako świętość.

– Targuj się, a co! – namawiał on.

– E, jakoś nie honor! – wymawiała się ona.

Coś jej się widziało, że jej honor więcej wart niż pięć złotych do stargowania, albo że głupio tak się targować o flagę.

Dalej, koło bramy księgarni Liber, prezentował się dumnie wieniec żniwny – zwycięzca w konkursie na wieńce dożynkowe w Wierzchosławicach. Pani obok prezentowała sylwetkę Wincentego Witosa i zachęcała do pobrania wejściówek na film.

– Bezpłatne! Proszę, ile państwo sobie życzą?

Ale państwo wymawiali się, bo obiad czeka, a ja skręciłam na dziedzińiec Uniwersytetu. Trwała ostatnia próba koncertu, po scenie z ogromnym telebimem chodziła ubrana w ciepły płaszcz artystka i pytała do mikrofonu:

– Tak dobrze? A tak? O, może tak?

Odpowiedzi padały z boku, były niesłyszalne.

Odwrociłam się, naprzeciw mnie szła Azjatka w czapce z napisem „Polska”. Na Krakowskim natknęłam się na mężczyznę w założonej na kurtkę koszulce z nadrukiem zbroi. Na środku Królewskiej, obok domu bez kantów, leżała końska kupa, jedyny ale dobitny ślad po ułanach. Rzadki tłumek podążał na plac. Była już dwunasta, gdzieś spod Grobu Nieznanego Żołnierza słychać było dobrze nagłośniony hymn. „Faktycznie, śpiewają!” pomyślałam, a kobieta obok rzeczywiście zaśpiewała, w bardzo wysokiej

tonacji, którą podchwyciłam nieświadomie. Nikt obok nie dał rady pociągnąć, za wysoko. Dzwony biły południe.

Po prawej złocił się nowy pomnik Lecha Kaczyńskiego, odsłonięty dzień wcześniej. Realistyczna postać w wykroku miała okrągły brzuszek, zmarszczone spodnie i dość wydatny nos. Pomnikowy Piłsudski był o połowę niższy, dobrze spatynowany i oczyszczony przez gołębie. Minęłam się z mężczyzną w biało-czerwonej błazeńskiej czapce, ozdobionej dzwoneczkami; nie był to Stańczyk, raczej stadionowy patriota. Rozdawano właśnie okolicznościową gazetę. Jakaś kobieta zapytała:

– Nie „Wyborcza”? No, niech pani powie, nie „Wyborcza”?

Pozwoliłam, by pytanie zawisło w powietrzu, w nadziei, że spadnie i rozbije się. Miało być przecież bez konfliktów, tymczasem ona gotowa była ciągnąć za rękaw, domagając się potwierdzenia czyli zaprzeczenia, ale z tyłu już dobiegał rytmiczny krok warty honorowej, wracającej spod grobu Nieznanego Żołnierza, przeciskającej się przez tłum.

– Przepraszam! Przepraszam! – wołał dowódca i warcie zrobiono miejsce.

Zastanowiło mnie, czy „Przepraszam” jest regulaminową komendą; było nie tylko grzeczne, ale i skuteczne. Skręciłam znowu w Krakowskie Przedmieście. Naprzeciw szła grupa z flagą, na której rysował się podwójny krzyż.

– Skąd wy? – zapytałam, ale oni tylko rozłożyli ręce, bo nic nie potrafili powiedzieć, i pokazali znak „V”. A, Węgrzy. Na dziedzińcu UW huczało rockiem, a klub Indeks reklamował lunch: schab z kaszą lub krem z cukinii z chilli i imbirem, do wyboru, lokalnie albo globalnie. Nieczynny przystanek autobusowy zajęli rekonstruktorzy, dowodził mężczyzna w marynarce w jodełkę ściśniętej skórzanym pasem i w furażerze z orzełkiem. Mieli broń, długie karabinki i jeszcze rewolwery. Broń wyglądała na prawdziwą. Chyba byli grupą partyzantów. Oddalili się marszowo, tupiąc oficerkami, za chwilę zostali zatrzymani. Ktoś chciał sobie z nimi zrobić selfie. Minęłam dwoje Azjatów, on wystawił szalik z napisem „Polish fun”. Teraz szłam tuż za dwoma młodymi chłopakami, jeden z nich powiedział do drugiego:

– Dzwignąłem osiem razy i co? Flak! No to cisłem.

Nie było w tym konsekwencji, bo jak „cisłem” to i „dzwignę”, ale drugi nie zwrócił na to uwagi:

– Albo pijesz, albo... no i choćbyś skisł!

Nie usłyszałam albo co, ale nieważne, podążyłam dalej za dziewczyną w czarnej, plastikowej masce antysmogowej z walizką na kółkach. Za nią pojawił się czarny żółw z napisem „Policja”.

Dwóch ziomali o grubych karkach z opaskami „Polska walcząca” wymieniano się uwagami:

- Zobacz no, ile narodu wali na Krakowskie Przedmieście!
- Krakowskie Przedmieście to w Krakowie, weź nie ściemniaj! – odpowiedział drugi.

Wtedy pojawiła się samotna, lekko pochylna, siwowłosa postać w mundurze moro; to musiał być jakiś wysoki rangą kombatan. Na jego piersi kołysał się wojskowy krzyż zasługi z mieczami. Wyglądał lekko absurdalnie: był prawdziwy. Naprzeciw szedł facet w niebieskawym płaszczu mundurowym, pewnie nawiązującym do błękitnej armii Hallera.

Zeszłam do podziemia, chciałam zjechać, ale schody ruchome były nieruchome. Metro dowiozło właśnie kolejną porcję patriotów, okręconych złotem. „Szykują się na pomniki?” – pomyślałam. – „Aż tylu? Ileż to postumentów będzie trzeba, pewnie będą ich ustawiać po kilku, dla oszczędności”. I przypomniał mi się usunięty z Pragi pomnik, który w Warszawie nosił nieoficjalną, trudną do wymówienia lecz wdzięczną nazwę: „Czterech śpiących, trzech walczących”. Ale oni wracali z biegu, okryci złotą folią przeciw wychłodzeniu. Każdy miał medal zawieszony na biało-czerwonej wstążce.

Gdy około siódmej wieczorem pojawiłam się znowu na Krakowskim Przedmieściu, przede mną wyłonił się wędrujący napis: „Nadejdzie dzień, gdy wszyscy Polacy będą braćmi”. Tylko jeden człowiek niósł ten długi transparent. Miał skomplikowaną konstrukcję metalową, żeby hasło nie zaginęło się i było czytelne, to wymagało jakiejś inżynierskiej myśli, ale widąc dla tego, co napisał hasło, było ono bardzo ważne. Podążyłam za nim. Przed bramą Uniwersytetu trwał polonez, tańczyła grupa szwoleżerów z Księstwa Warszawskiego ze szlachciankami ubranymi w zgrabne kontusiki oraz grupa ludowa w pasiastych strojach łowickich. Potem do szeregu dołączali się kolejni tancerze, zapraszano widzów i wkrótce szwoleżer – przebieraniec tańczył posuwiście z przebraną łowiczką, udawana szlachcianka z udawanym powstańcem warszawskim, a za nimi wdzięcznie gięły się całkiem cywilne dziewczyny w zwykłych kurtkach.

Kupy końskiej na ulicy Królewskiej już nie było. Służby dyskretnie spełniły swoją rolę. Ach, jakże lubimy się przebierać! Pobyć tym, czym się nie jest, na tym polega święto, szlachcianko, powstańcu, partyzancie, na jeden raz.

Anna Nasiłowska

Kazimierz Świągocki

Gnothi seauton

Rozmowa poety z samym sobą¹

Jak dotąd widać, cała istotna problematyka twoich wierszy koncentruje się na pograniczu filozofii człowieka, teologii i filozofii religii. Powiedziałeś na początku naszej rozmowy, że twoja poezja nie jest religijna, ale tylko filozoficzna, metafizyczna. A jednak odejmując jej warstwę, czy raczej wymiar religijny, zaprzeczylibyśmy jej tożsamości. Widać to może najwyraźniej w wierszu *Ad Deum absconditum*, czyli *Do Boga ukrytego*.

Tytuł z pewnością nawiązuje do tradycji teologii apofatycznej (negatywnej). Jest w tym utworze zastanawiająco wyraźna deklaracja światopoglądowa proveniencji religijnej. Powraca tu znowu motyw ciała jako synonim całego bytu człowieka. Podmiot liryczny – wiem, że nie lubisz używać tego pojęcia i wyrażenia, ale skoro ten podmiot tak a nie inaczej autor zaprogramował, to jego słowa i myśli można traktować jak autora myśli własne. Więc ten podmiot liryczny pyta Boga o ostateczny los człowieka: „I co uczynisz z nim Światlisty, / gdy wniosę je w Twój ogień?”. A następnie sam sobie odpowiada: „Cokolwiek, Boże, z nim uczynisz, / cokolwiek mu się zdarzy, / w Twoim jest ręku świata finisz, / wszystko odbiciem Twojej twarzy”. Czy mógłbyś bliżej przedstawić i rozwinąć myśli zawarte w tych poetyckich frazach?

Rzeczywiście, w słowach tych zawiera się moje religijne i zarazem filozoficzne credo. Jest w nich wyraz zaufania do Boga i wyznanie wiary w Jego nieskończoną moc i mądrość, sprawiedliwość i dobroć. To On, a nie ja, wie, co się komu i czemu należy, więc i co się mnie, konkretnej pytającej jednostce ludzkiej należy. A zatem logicznie teraz idąc w tym kierunku myślenia, musimy przyznać, że nawet jeśli pisana jest mi (nam) nicość, to owa nicość jest dla nas dobrem. I nie dlatego, że jest nicością, tylko dlatego, że została dana przez Boga. Wszystko bowiem, co od Niego pochodzi, jest dobrem. Nic, co przezeń stworzone, nie posiada samo z siebie i samo w sobie

1 Czwartą część tekstu stanowiącego rozdział gotowej do druku książki pt. *Egzystencja, metafizyka i kultura w pisarstwie Kazimierza Świągockiego*. Wiersze analizowane w niniejszym tekście znajdują się w tym numerze „Podglądu” w dziale „Poezja” (ss. 146-150).

niezależnego własnego dobra, tak samo jak nie posiada autonomicznego, samoistnego bytu, lecz cokolwiek, co w nim jest dobrego, pochodzi zawsze od Stwórcy, tak dobro jak i byt, istnienie. Ta potęga łaski Bożej szczególnie mocno została wyrażona w następnych dwóch strofach. Mówi się tu, że nicość jest własnością Boga i należy do Niego tak jak „byt i czas” – dwie podstawowe kategorie ontologiczne, oraz „litość” – wskazująca na personalność Boga, na to, że jest On nie tylko przyczyną, siłą sprawczą wszechświata, lecz i Osobą kochającą swoje stworzenia – Opatrznością. Człowiek zatem skazany na nicość nie może niczego utracić, bo wszystko, co ma, jest nie jego, nawet byt jest mu tylko dany na pewien czas, a nie na zawsze. Więc nie może stracić „ciała”, bytu, bo nie jest to jego absolutna własność. Co więcej, nie może stracić – paradoksalnie – nawet nicości, bo też nie jest jego, tylko Boga jest nicość. Będąc więc w nicości, będzie tym samym u Boga. A jeśli by nawet nie było go w ogóle, absolutnie, ani w jakiegokolwiek przemienionej postaci bytu, ani w nicości, to i tak byłoby to dla niego dobre, gdyż zgodne z wolą Bożą. Nic, co z tą wolą jest zgodne, nie może nie być dobre.

Zastanawia mnie ten dwuwiersz o naturze nicości: „Bo nicość pije byt Twój do dna / i w światło się obraca”.

Tak, tutaj pozwoliłem sobie na własną interpretację pojęcia nicości oraz twierdzenia teologicznego, że Bóg stworzył świat z niczego, co można rozumieć – z nicości. Otóż w potocznym, ale często i w filozoficznym rozumieniu nicość występuje jako absolutny brak czegokolwiek. O tak pojmowanej nicości Rzymianie mawiali: *Ex nihilo nihil*. I mieli rację, bo to logiczne. Ale tylko wtedy, gdy nicość pojmuje się jako brak absolutny czegokolwiek, co daje się pomyśleć jako istniejące. Jeśli jednak mówimy, że Bóg stworzył świat z niczego, to możemy też nieco przeformułować to stwierdzenie i powiedzieć, że wywiódł go z nicości. A wtedy nicość jawi nam się jako w najwyższym stopniu tajemnicza rzeczywistość, która należy do Boga jako Absolutu, czyli tego, który zawiera w sobie wszystko – nie tylko byty istniejące, ale i byty możliwe, jeszcze nie istniejące i jak gdyby oczekujące na Jego stwórcze słowo: *Fiat!* Słowo „istnieć”, „istnienie” posiada w sobie nieskończoną głębię, która dla nas ludzi jest niemożliwa do choćby niewielkiego jej rozumienia. Nasze rozumienie tego słowa bowiem „modelowane” jest na doświadczeniu rzeczy i zjawisk „tego świata”, zmysłowych jego form i relacji między nimi, które odczytujemy naszym naturalnym umysłem, a ten jest wysoki tylko wobec rozumu innych istot tego świata, ale jest niczym wobec rozumu uniwersalnego wszechrzeczy i wobec Absolutu. *Creatio ex*

nihilo zatem nie jest żadnym paradoksalnym, trudnym do przyjęcia twierdzeniem, gdy „nicość” będziemy rozumieć jako absolutnie inne „coś”. Inne od tego wszystkiego, co teraz nazywamy bytem i istnieniem. Nicość także istnieje, tyle że inaczej niż cokolwiek, co nią nie jest.

W wierszu mówi się o niej tak, jakby to była niemal kraina szczęścia ostatecznego. Ona bowiem złączona jest z Bogiem w ten sposób, że czerpie z Jego absolutnego bytu jak gdyby soki żywota („pije byt Twój do dna”) i przechodzi do chwały istnienia nowego jako dobroczynne światło („i w światło się obraca”), czyli we wszystko to, co my nazywamy bytem aktualnie istniejącym, prawdziwym i dobrym. Stąd też może ostatnia strofa brzmi jak bardzo optymistyczny finał – błaganie Boga o ocalenie, ale błaganie wyrastające z rozumnej wiary i nadziei na Bożą miłość i litość, które gwarantują powrót do Niego, nawet gdyby miejscem przyszłego pobytu miały być ogrody nicości, bo przecież i w nich obecny jest majestat Boży. Zanurzyć się w aurze Boga – taki jest sens ostatnich słów tego wiersza: „a ciała mego pieśń jak w morze / w twe cisze się zapadnie”.

I pomyśleć, jak bardzo to kontrastuje ze smutnym zakończeniem bardzo smutnego wiersza *Po coś Boże*: „Złożony z światła duszy i z ciała ciemności, czemuż nie jestem, Boże pewny Twej miłości?”.

Owszem, to prawda, tym bardziej że w tamtym wierszu jest jeszcze jedno miejsce wyrażające dogłębny metafizyczny smutek. Jest to cała strofa poprzedzająca powyższe słowa: „Po coś, Boże, zapalił tyle gwiazd nade mną, / jasno było mi bez nich, a teraz jest ciemno. / I po coś mnie był wydał na świat z taką siłą, / przecież prościej, więc lepiej gdyby mnie nie było”.

Kłaniają się tu i Kohelet, i Leibniz. Ten pierwszy, gdy mówi, że lepiej się było nie narodzić, bo najlepiej mają ci, którzy się nie narodzili. A drugi znów ze swoim dwuznacznym, ironicznym pytaniem: „Dlaczego istnieje raczej coś, niż nic, bo przecież nic jest prostsze i łatwiejsze niż coś”. To „łatwiejsze” można przyjąć też jako „lepsze” (w wierszu – „lepiej”).

Prawda, że między wymową tych wierszy zachodzi niemal radykalna różnica. Ale to święte prawo poezji. Nie jest ona bowiem zobligowana do głoszenia spójnej, konsekwentnej koncepcji świata i człowieka. Wiersze powstają w konkretnych chwilach i zawierają w sobie nastroje tych chwil. A więc światopogląd zawarty w danym wierszu można przyjmować jako „chwilowy”, czyli taki, który może wystąpić w zmodyfikowanej lub całkiem zmienionej postaci w innych wierszach. Tak, ale na ogół jednak daje się wykryć w miarę jednolity – statystycznie rzecz ujmując i pojmując – obraz poglądów jeśli nie samego autora-poety, to przynajmniej tak zwanego

„podmiotu lirycznego”. Może jeszcze w innym miejscu naszych medytacji wrócimy do tego problemu.

No i tak eschatologicznie optymistycznym akordem rozważań nad strofami *Ad Deum absconditum* moglibyśmy zakończyć ten monolog przerywany przeze mnie pytaniami...

I cennymi, bo celnymi uwagami.

...gdyby nie to, że zapomnieliśmy o mottach, i to nawet dwóch, które poprzedzają ten wiersz. Jak się one mają do jego ideowej wymowy? Pierwsze z *Prologu do Ewangelii według świętego Jana*, a drugie znowu z *Leibniza*. Pierwsze: „A światłość Stwórcy świeci w ciemności, lecz ciemność jej nie przemogła”. Drugie: „Mądrość Stwórcy niczego nie czyni bez harmonii i bez racji”.

Nie mamy konieczności zagłębiać się w semantyczno-teologiczne otchłanie przytoczonych z *Ewangelii według świętego Jana* słów. Ale myślę, że sam obraz wielkiego światła otoczonego ciemnością nie jest odległy znaczeniowo od obrazu Boga „ukrytego” z mojego wiersza. Już sam jego tytuł usprawiedliwia przywołanie słów *Prologu do Ewangelii*, wszak Bóg ukryty (*Deus absconditus*), to tyle, co Bóg otoczony jakąś ciemnością, jak owo ewangeliczne Światło, symbolizujące przecież rzeczywistość Boga. *Deus absconditus* wprowadza nas w stan epistemicznego i epistemologicznego napięcia. To Bóg ukryty, niedostępny dla naszych zmysłowych, a także i rozumowych władz poznawczych. Jako taki może budzić lęk, że ciemności nie tylko oddalą Go od nas poznawczo, lecz i duchowo; że nie zrealizują się więzi personalne nas, ludzi, z Nim. Zamiast Boga, z którego bytem kojarzy się światło, mielibyśmy Boga zgaszonego przez ciemność. A wraz ze zwycięstwem ciemności nad światłem, świat utraciłby swego Stwórcę i tym samym pogrzyłby się w absolutnej nicości. Jednakże słowa *Ewangelii* mówią, że ciemność światłości „nie przemogła”. I w tym tkwi eschatologiczna nadzieja.

Dłaczego jednak w wierszu płynie szereg modlitewnych słów: „Przygaśnij nieco, zmień się w drzewo” itp.?

Otóż Bóg zakryty rodzi u człowieka nieugaszone pragnienie naocznego poznania Go. A to byłoby możliwe tylko wówczas, gdyby się objawił w postaci dostępnej jego zmysłowej percepcji. Jeśli to nie następuje, człowiekiem szarpie niepewność swego losu. Stąd dramatyczne pytanie, co ów zakryty Bóg uczyni ze „śpiewającym” dla Niego ciałem symbolizującym tu całego człowieka: „I co uczynisz z nim Świetlisty, / gdy wniosę je w Twój ogień? / Czy z martwej ciszy je oczyścisz, / czy rzucisz je odłogiem?”. Po

tym wielkim pytaniu pełnym wątpliwości następują słowa, będące aktem wielkiej pokory i poddania się woli Boga, o czym już wcześniej mówiliśmy.

Tak więc ciemność okrywająca Boga-Światłość jest ciemnością tylko dla nas, gdy pragniemy jakoś naocznie Go poznać, a poznać nie możemy. Nie jest to ciemność ontologiczna, lecz tylko epistemologiczna. Ona wynika z tego – paradoksalnie – że Bóg jest czystą światłością, ale jest to światłość osłepiająca człowieka. Dlatego dla niego Bóg jest „absconditus”.

A jednak z tym „ukrytym” Bogiem łączony jest w wierszu bardzo silnie człowiek.

Tak, bo człowiek to wieczny pielgrzym idący przez kosmos do Boga, który obdarza go życiodajnym światłem, ale światło swojej własnej istoty chowa przed nim za nieprzekraczalną linią horyzontu, aby człowiek ujrzawszy je, nie umarł przedwcześnie. Bo to Światło Wiekuiste.

Drugie motto to słowa Leibniza, mówiące o tym, że „Mądrość Stwórcy niczego nie czyni bez harmonii i bez racji”. Tu już nie ma mowy o ciemnościach okrywających Boga i stawiających człowieka w stan niepewności i ryzyka, a następnie dopiero ukazujących mu jakiś horyzont nadziei.

Zgoda. Tu w miejsce ciemności przychodzi jasność – jasność racjonalnego spojrzenia i odczucia wszelkiego stworzenia, czyli całego świata, jako rozumnego dzieła Boga. Rozumność jest tu metafizyczną cechą Stwórcy i objawia się w harmonii i racji, które są cnotami kosmosu – przeciwieństwem chaosu i przypadku. A jeśli tak, to człowiek nie musi już czuć się wygnańcem i błędzającym na zawsze wędrowcem po obszarach bezsensu, bo wie, że wszystko co istnieje, a więc i on sam, nie istnieje bez racji, że raczej stanowi konieczny składnik harmonii wszechistnienia. Tak więc można powiedzieć, że drugie motto do tego wiersza stanowi optymistyczne dopełnienie pierwszego i daje człowiekowi nadzieję pochodzącą już nie tylko z wiary, lecz i z rozumu – ludzkiego rozumu naturalnego, który człowiek otrzymał od swego Stwórcy. A będąc „na obraz i podobieństwo Boga” jest też użytkownikiem części rozumu Bożego, więc posługując się nim, zbłądzić nie może.

Spoglądam jeszcze na motto do wiersza *Drzewo drzew*: „Nad stanami jest i stanów stan”, wzięte z wiersza Norwida *Pielgrzym*.

Donośniej i donioślej oraz głębiej by ono brzmiało, gdybym utworzył je z całej pierwszej strofki Norwidowego wiersza: „Nad stanami jest i stanów stan, / Jako wieża nad płaskie domy / Stercząca w chmury...” Jest chyba dość istotna analogia między myślą Norwida zawartą w jego wierszu,

a którą zawiera mój wiersz. Ale zachodzi też między nimi różnica. Wiersz Norwida ma charakter raczej religijny, mój zaś – filozoficzny. Norwid mówi o tym, że człowiek na tej ziemi jest tylko pielgrzymem do świata wiecznego, który tak się ma do doczesnego, jak wieża świątyni skierowana wertykalnie w kierunku Bożej Transcendencji do płaskich zwykłych domów. Stan człowieka ma dwa wymiary – doczesny i wieczny. Wieczny jest niewzruszony, niezmienny – jest to „stanów – stan”, czyli miejsce transcendujące wszelkie inne stany w losie człowieka, które ze swej natury są zmienne i nie wyczerpują w żaden sposób możliwości ludzkiego życia, zbawczych aspiracji i przeznaczeń. „Stanów – stan” zatem jest tym transcendentnym miejscem, do którego zmierza ludzka egzystencja, szukając w nim ostatecznej ostoji, harmonii i pokoju.

W moim wierszu nie ma motywu ściśle antropologicznego, jak to jest u Norwida. Jest natomiast motyw ontologiczno-metafizyczny. Mówi się w nim o istnieniu bytu źródłowego dla wszystkich innych bytów. Miałby on być niezmienny sam w sobie, ale wiecznie twórczy jako „korzeń” wszechrzeczy. Wszystko miałoby się z niego rodzić i od niego pochodzić. On sam zaś z niczego się nie wywodzi, niczemu innemu nie zawdzięcza swego istnienia, a jedynie samemu sobie. Czyli chodzi tu o byt absolutny. Wiersz w ten sposób nawiązuje do obecnego we wczesnej filozofii greckiej problemu jedności i wielości świata. Świat jest jeden, choć przepełnia go niewyobrażalna mnogość rzeczy i zjawisk, które się na niego składają. I ta jedność ma ostatecznie sens sakralny, boski. Te myśli ściśle filozoficzne wyrażone tu zostały wyłącznie obrazami, stanowiącymi zarazem swoistą galerię symboli.

Pozostało nam już tylko jedno motto. Trochę dziwne: „Któż pojąć umie mowę?” – do wiersza *Mowa*.

Zaczerpnąłem je z wiersza polsko-żydowskiego poety Jakuba Zonszajna (1914–1962). Nie wiem dlaczego nazwisko tego twórcy tak całkowicie zniknęło z naszego życia literackiego. Na szczęście nie zapomniała o nim Wikipedia. Miałem kiedyś niewielki wybór jego wierszy. Podobały mi się. Książka gdzieś mi zaginęła. Wierszy jego później już nie spotykałem. Zostało motto. Jest ono rzeczywiście dziwne i swą dziwnością zaskakujące, bo uświadamia nam, że to, co nam się wydaje oczywiste, nie podlegające przedmiotowej refleksji, jest w istocie wyjątkowo tajemnicze. Wiadomo, że w tradycji żydowskiej słowo, mowa bywały przedmiotem spekulacji o charakterze religijnym, czy nawet mistycznym. W naszej tradycji chrześcijańskiej raczej nie („Słowo” z *Prologu do Ewangelii Janowej* nie należy do

porządku ludzkiej mowy. Jest samym Bogiem). Dlatego jest dla nas dziwne. Ale brzmi poważnie i skłania do pogłębionej refleksji, z której niełatwo się otrząsnąć i trudno zakończyć jakimś podsumowującym wnioskiem.

Do tej pory w naszej rozmowie zastanawialiśmy się nad naturą świata i losem człowieka w nim, w porządku, jaki nasuwały nam kolejne w motta zaopatrzone wiersze. A przecież rozważania nasze dokonywały się i dokonują w określonej mowie złożonej ze słów sygnalizujących rzeczy, myśli i problemy. Zaś o samej mowie nic nie mówiliśmy. Czym jest mowa? To wielkie i karkołomnie trudne pytanie. Bo i czymże ona w istocie jest? Powiedzieć, że narzędziem porozumiewania się, to powiedzieć rzecz tyleż banalną, co jałową. Czy można zrozumieć świat, jeśli nie rozumie się mowy, w której jakoś odnosimy się do tego świata? Właśnie pierwszy wers *Mowy* poddaje w wątpliwość możliwości ustalenia swojej tożsamości. A zatem nie wiem, kim jestem. Nie wiem, kto wyznaczył mi takie, a nie inne miejsce i rolę w tym świecie – bo tak chyba trzeba rozumieć drugi wers: „Któż imię dał ci i co ono znaczy?”. A świat ten jawi się jakby był rzeczywistością pozorną, pozbawioną stabilności i substancjalności: „Modliłem się do ściany, lecz popatrz – zniknęła”. A co pozostaje? – „śniegu dzwon”, czyli jakby rozproszone echo po jej istnieniu. Więc wszystko, co człowieka otacza, jest dziwne i nosi piętno ulotności i znikomości, a on sam czuje się czymś niezrozumiałym dla siebie samego. Owa niepojętość samego siebie wzmacnia się, gdy człowiek styka się z żywiołem mowy, nie jako narzędziem porozumiewania się z innymi ludźmi, ani w roli klucza do tajemnicy rzeczy, lecz z jej – mowy – substancją wewnętrzną, odrębną od świata – nie tylko zewnętrznego, ale i wewnętrznego; z mową jako rzeczywistością osobną, wzbudzającą niespodziewaną grozę nowej tajemnicy obok tajemnicy świata rzeczy i wewnętrznego świata człowieka. Mowa okazuje się poza tym siłą, niczym jakiś potężny nurt wody, który wypłukuje z nas i zabiera ze sobą te wszystkie pierwiastki naszego jestestwa, które zostały dotknięte słowami. Dotknięte, czyli nazwane, a jeśli nazwane, to jakby zakończone w swojej ontycznej roli, jaką pełnią wewnątrz naszego bytu. Po odegraniu tej roli znikają wraz ze słowami, które obwieściły im koniec i odejście. Stają się jestestwu ludzkiemu niepotrzebne. Ono się w ten sposób oczyszcza tak dalece, aż staje się „najczystszy istnieniem, / niepodzielną na słowa ostateczną prawdą”.

A więc może należałoby mowę tutaj traktować jako duchową siłę, która nas oczyszcza z tego, co składa się na ulotność naszego bytu i bytowania, na ich przygodność. Jako byty cielesne bowiem jesteśmy poddani przemijaniu.

Ale jest w nas jakieś residuum, które nie przemija. Do tego residuum unosi nas rzeka wypowiedzanych słów, wypełniająca czas naszego ziemskiego bytowania, zamieniająca się w zamknięty akwen mowy, w której już nie rozpoznajemy samych siebie – „mowy nie do wiary ciemnej”. Nie rozumiemy naszej mowy, nie rozumiemy samych siebie. Giniemy jako istoty mówiące, których istnienie naznaczone jest słowem, a zamieniamy się w „czyste istnienie” bez słów i bez tego, co one ze sobą niosą i czym nas obdarzają. Ono dopiero jest naszą „prawdą ostateczną”.

Tak bym dzisiaj, po ponad pół wieku, odczytywał ten tajemniczy dla mnie samego wiersz napisany, gdy miałem dziewiętnaście lat. W tym wierszu świadomy logos poezji ma charakter zaledwie embrionalny, zastępuje go instynkt. A odczytywać to, co powstaje za sprawą instynktu, to zadanie tyleż trudne, co niepewne, a nawet ryzykowne. Ale twory ludzkiej myśli i wyobraźni, gdy opuszczają swoich twórców, stają się własnością kultury i tych, którzy w niej uczestniczą jako czytelnicy, słuchacze czy widzowie i jako ci, którzy nie poprzestają na tym, co słyszą i widzą, lecz pragną jeszcze to dogłębnie zrozumieć. I właśnie to skłania mnie do snucia interpretacyjnych refleksji nad swoimi wierszami, które mnie opuściły po ich napisaniu lat temu niekiedy kilkadziesiąt, tak jak w przypadku omawianego teraz wiersza *Mowa*.

Kazimierz Świądecki

Jerzy Binkowski

Blask mowy w książce Wojciecha Kudyby „Imigranci wracają do domu”

Mowa polska jest domem

Wojciecha Kudybę poznałem kilka lat temu w Pelplinie, podczas kolejnego Pomorskiego Festiwalu Poetyckiego im. Księdza Janusza Stanisława Pasierba. Podobał mi się styl jego mówienia – analiza kontekstów literackich, argumentacja, dynamika i muzyka jego głosu. Zafascynował mnie powagą wypowiadanych słów, rozważą, dyskretnym a inteligentnym poczuciem humoru oraz rozległością poetyckiego pejzażu. Później z zainteresowaniem czytałem zbiór szkiców o twórcach-poetach formacji pokoleniowej 1950, *Generacja źle obecna* – Biblioteka „Toposu” (Sopot 2014, ss. 160). Szczególnie zainteresowanie wzbudzi we mnie szkice o Romanie Bąku i jego mocowaniu się z ciemnością oraz szkic o nieobecnej obecności poezji Jana Polkowskiego. Niestety, nie znalazłem tam ani słowa o nieobecnej nieobecności niżej podpisanego.

W 2015 roku trzymałem w dłoniach i „studiowałem” wydawnictwo Biblioteki „Więzi”, powieść Wojciecha Kudyby *Nazywam się Majdan*. Napisałem wówczas:

Styl Wojciecha Kudyby przypomina mi zachowanie tancerza, który na stopy wdział obuwie, charakterystyczne dla tzw. stepowania. Autor wystukuje zmienne rytmy, wiruje, akcentuje motyw wysiłku duchowego, aby to wszystko, co się dzieje – zrozumieć, zaś czytelnik nabiera pewności, że tej wybuchowej mieszanki zrozumieć nie sposób.

Odnoszę wrażenie, że również taki był cel autora: nie lękajmy się faktu, że niewiele rozumiemy, natomiast naszym obowiązkiem jest zachować w każdych okolicznościach, choćby najbardziej dramatycznych – ludzką godność.

Moja godność – Majdan.

W kolejnej najnowszej powieści podejmuje Wojciech Kudyba inny wątek współczesnych problemów społecznych. Tym problemem są IMIGRANCY, w szczególnym wydaniu: Polacy, którzy dla poprawienia swej doli, udali się do Niemiec. Polski imigrant zarobkowy w Niemczech, artysta plastyk – grafik komputerowy – Karol Tracz, po kilkudziesięciu latach oddawania się

zarobkom w korporacji – wraca do domu! Do Krakowa. Do Tarnowa wraca z Niemiec germanistka Alina Sznajder. Wracają do Polski.

Do Polski wraca również Alina Sznajder. Do Tarnowa. O, jak oni romantycznie nawiązują kontakt, jak rozmawiają! Powieść trwa tyle, ile trwa podróż pociągiem z Poznania do Krakowa, poprzez Leszno, Rawicz, Wrocław, Opole i Katowice. A dlaczego wracają?

Dla autora owe skromne „dekoracje”: przedział pociągu, migająca Polska za oknem, rytm wystukiwany przez koła pociągu, zmrok, noc i poranek, a przede wszystkim słowa, polskie słowa, mowa polska, która umożliwia opowieść wywiedzioną z samego środka tęsknoty.

Najdelikatniejszym, bo bardzo polskim motywem książki są zdania o tęsknocie za Kościołem rzymskokatolickim, jego liturgią, obyczajami. Świątowanie Bożego Narodzenia, przed wielkanocne Gorzkie Żale i Droga Krzyżowa, Wielkanoc, przyjęcie do Pierwszej Komunii Świętej, urastają do symbolu tego, co najpiękniejsze, najwspanialsze w Polsce, gdy przebywa się w środowisku mocno zlaicyzowanym albo luterzańskim.

Zainteresowanie tą książką, oprócz radości intelektualnej ze zmagania bohaterów powieści o głębszą jakość swego człowieczeństwa, zapewni nam nową motywację do dumy ze swej ojczyzny. Wojciech Kudyba interesująco, pięknie i wielobarwnie mówi.

Wojciech Kudyba to dobry pisarz katolicki.

Pytania o tożsamość

(...) Wpisał w swą poezję fundamentalne doświadczenie naszej współczesności: przeżycie nietożsamości „ja” i „jestem, dotknięcie nieistnienia; głos świadomości, której odebrano pewność bycia-w-świecie i pewność bycia-świata (...)

Pustka jest więc (...) obrazem świata, który nie wyposaża w pewność istnienia, nie oferuje poczucia sensu (...)

Nicość staje się (...) konstytutywnym elementem ludzkiej przestrzeni – „przedziwnie bolesnym” światem, który został nam dany i który musimy sobą ogarnąć.

Przebywanie w ciemności oznacza (...) zanurzenie we wszechogarniającej bylejałości i bezsensowności, rodzaj wegetacji bez światła i bez nadziei (...)

Słowa-klucze: (...) „chłód”, „szarość”, „popiół”, „choroba” (...) zawsze kierują o wiele dalej – ku uniwersalnej sytuacji ludzkiej tęsknoty za zadowoleniem, za sensem (...) Stałym komponentem egzystencji okazuje się poczucie samotności i słabości (bezsilności i zwątpienia) wyrażane niekiedy za pomocą sugestywnych obrazów choroby (...)

(...) Poczucie zagubienia to szansa dana człowiekowi, bowiem właśnie samotność i bezradność są drogą w stronę Innego. (...) Warto to podkreślić: i człowiek i Bóg pojawiają się w tej poezji nie w majestacie i mocy, lecz w słabości. Takiej jednak, która nie osłabia siły wyborów moralnych (...)

Rzeczywista wspólnota ludzi... rodzi się ze współczucia, z tego, że wspólnie stajemy przed nieuniknionym doświadczeniami żywymi: przed przeżyciem opresji, bólu, samotności, rozpacz (...)

(...) Kobieta bywa w kulturze Europy właśnie figurą możliwości naszego zamieszkania w świecie, egzystencjalnego spełnienia (...) zawsze stoi po stronie życia, staje się archetypem dążenia do relacji pozbawionych wymiaru przemocy (...)

Powyższe fragmenty są moimi wypisami z eseju Wojciecha Kudyby, umieszczonego w jego książce *Generacja źle obecna*, i stanowią treści charakteryzujące twórczość Jana Polkowskiego. Dostrzegam w tych słowach topografię wyborów moralnych i myślenia samego Wojciecha Kudyby, gdy pisał najnowszą swoją powieść pt. *Imigranci wracają do domu*.

Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie*

Stanisław Bałaszewicz stoi na lewym brzegu Berezyny. Wpatruje się w stronę zachodzącego słońca. Stoje za jego plecami. Słońce za chwilę zajdzie. Właśnie kryje się za głęboki i szeroki pas lasu biało-czarnych brzoź, na wysokim prawym, zachodnim brzegu rzeki. Słońce wchodzi w szczyrby lasu. Cień od lasu wydłuża się.

Florian Czarnyszewicz (1900-1964) napisał i wydał w Argentynie „Nadberezyńców” w 1942 r. Książka dotarła do mnie w 2018 r. Minęło 100 lat od czasu, gdy *porte parole* Floriana Czarnyszewicza – Stach Bałaszewicz,

* Florian Czarnyszewicz, *Nadberezyńcy*, Arcana, Kraków 2016, ss. 638

który urodził się w głuszy bezkresnych zabereżyńskich lasów, poświęca wszystko to, kim jest i wszystko to, co ma, nadziei życia po latach niewoli, w wolnej Polsce.

Autor *Nadbereżyńców* umieszcza na swej epopei następującą dedykację:

Miłym Ziomkom znad Berezyny trwającym w wierności Ojczyźnie, ten opis krzywd doznanych od władz i pobratymców, opis triumfów i bolesnych rozczarowań, co nas spotkały w okresie zmagania o umiłowanie nasze – poświęcam i pozdrawiam Was, gdziekolwiek jesteście.

Chutor to osadnicza jednozagrodowa posiadłość na słabo zaludnionych obszarach ówczesnej Rosji. W powieści chutor Rogi pomiędzy Berezyną a Dnieprem wypełniony jest polskością: językiem, zwyczajami, modlitwami i rytuałami religijnymi Kościoła katolickiego. W żywiole społecznego tygla, wśród różnych narodów, kultur i religii, całe życie głównych postaci powieści zintegrowane jest dumą i tym samym – zobowiązaniem: jestem Polakiem.

Niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus! Pozdrowił, zdejmując czapkę. Pochylił się do ręki starca i cmoknął w nią głośno. – Na wieki wieków – odrzekł starzec i pocałował leśnika w potylicę. Z kolei leśnik podał swą dłoń do ucałowania chłopcu. Poglaskał go po głowie, potem zapytał: – Jakżeż ty, chłopcze, hodujesz się? Ot akraz i gościńca ci żadnego nie mam (...)

Ten obraz witania się gościa i gospodarza chutoru, niech będzie ilustracją obyczaju i języka polskiego domu przed 100 laty. Wymieniony na początku Staszek Bałaszewicz jest wnukiem starego człowieka, który wypracował, wyharował, wraz z żoną i dziewięciorgiem dzieci, zasobne gospodarstwo. Najpiękniejsze w okolicy. Tak piękne i tak bogate, że wzbudzało zazdrość sąsiadów.

Długo nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego Florian Czarnyszewicz umieszcza na początkowych kilkunastu stronach powieści opis walki polskiej rodziny z napadającymi na nich bandytami z sąsiedniej wsi. Bogactwo Polaków – owoc ich pracowitości i wytrwałości, raziło oczy ludzi gorzej zorganizowanych i mniej pracowitych, a często pijaków, cwaniaków, nierobów i oszustów.

Dopiero docierając do ostatnich stron opowieści o losach Polaków na nadberezżyńskiej ziemi, dostrzegłem zamysł autora i precyzję konstrukcji epopei.

Bitwa w obronie domu i zagrody jest podstawowym odruchem każdego mężczyzny. Miarą jego człowieczeństwa jest obrona swoich Kobiet – matek, żon, córek i małych chłopców. Dziesięcioletni chłopcy, kilkunastoletni

młodzieńcy, dorośli mężczyźni i starcy angażują się w obronę domu, jak codziennie angażowali się w pracę zabezpieczającą szczęśliwe, bo pracowite życie. Każdy w domu miał do spełnienia konkretne zadanie.

Najazd planowano w niedzielę.

Nazajutrz wszyscy oprócz parobków i dzieci wstali wraz ze świtem, jak i w dzień powszedni. Niewiasty, wydoiwszy krowy, zapaliły w piecu i zakrzętnęły się koło śniadania, pastuchy wygnali swe stada na popas na parę godzin, a stary Bałaszewicz z synami zabrał się do śpiewania Różańca. Każdego świętecznego ranku odprawiano w Rogach jak nie Różaniec, to Godzinki, albo inne jakieś nabożne, odpowiadające porze roku, pieśni, gdyż mieszkając na takim głuchym odludziu, do kościoła nie każdy i nie zawsze mógł jechać.

Odprawiwszy Różaniec, zbudzili parobków i dzieci, zawołali z pola pastuchów, Stacha wysłali ku mostkowi na stróżowanie i zasiedli do stołu. Śniadanie przyrządziły niewiasty nadzwyczaj sute: bliny były jęczmienne, szatrowane, moczanka z jajkami z większą ilością skwarek i słonych żeberek, na zakąskę kluski kartoflane gotowane na samym mleku i mleko kwaśne na pół ze śmietaną i twarogiem. A wszystkiego było w bród.

Jedli, opowiadali wydarzenia z poprzednich bitek i przechwalali się, jak będą prali intruzów teraz. Aż izba grzmiała od gwaru i wybuchów śmiechu. Poddawali sobie animuszu.

Naturalną kolejną rzeczy jest obrona przed zakusami nieprzyjaciela. Do walki można się przygotowywać. Od walki mężczyzna nie ucieknie. Walka w obronie domu nie stanowi dylematu, nie rodzi wątpliwości, nie powoduje lęku. W takim domu wzrastał Stanisław Bałaszewicz.

Była ruska szkoła czteroklasowa, przyjaźnie, szkolne rywalizacje religijne między żydami, prawosławnymi i katolikami, urazy i sukcesy chłopięce. Potem młodzieńcze zakochania, miłości i niemiłości. Fascynujące uroczystości religijne w Bobrujsku, które stawały się najświecniejszą manifestacją przynależności do Kościoła katolickiego, do Polski. A kiedy do Bobrujska dotarł I Korpus Polski pod dowództwem generała Dowbór Muśnickiego, siły wojska wzbogaciły się młodzieżą zabereżyńskich polskich chutorów i zaścianków.

Florian Czarnyszewicz tworzy aurę entuzjazmu młodzieży polskiej, oddania, i ofiarności wobec wszystkiego, co może przybliżyć wyzwolenie od dominacji rosyjskiej. Bohaterowie książki fascynują rzetelnością, inteligencją, poczuciem humoru i wiarą: Polska jest spełnieniem marzeń pokoleń o życiu godnym życia.

Fascynuje zmienność akcji, wielobarwność a zarazem prostota języka, bogactwo odcieni znaczeń słów pośród wielu społeczności. Opisy przyrody przybliżają rzeczywistość i czynią ją zarówno przyjazną, jak i straszną. Wątek miłości i wierności utrzymuje czytelnika we współczującym niepokoju do ostatnich stron powieści, którą zachwycił się Czesław Miłosz, a Józef Czapski tak pisał w 1952 roku do Jerzego Stempowskiego:

Czy wiesz, że dziesięć lat temu wyszła książka po polsku w Argentynie, o której boję się ci pisać w za dużych superlatywach, bo tak namiętnie ją pokochałem. Pisana przez zagrodowego szlachcica znad Berezyny. Język słowotwórczy, dźwięczny, półbiałoruski. Konkretność wizji, miłość ziemi, drzew, chmur, obok której Reymont sztuczny jest i zimny, obok której myśleć można tylko o „Panu Tadeuszu”.

Jakże inaczej czyta się tego „polako-argentyńczyka” od Gombrowicza. Wydawać by się mogło, że forma u Gombrowicza jest taka „intelektualna”, „wyższościowa”, dystansująca autora od treści wypowiedzianych słów. Natomiast literatura w *Nadberezyńcach* jawi się jako arcydzieło rękodzielnictwa ludowego. Rękodzieło Floriana Czarnyszewicza unosi dramat Polaków, których traktat w Rydze pozostawił po bolszewickiej stronie, do rangi eposu narodowego.

Mógłbym być wnukiem Stacha Bałaszewicza – Floriana Czarnyszewicza, który nie znalazł dla siebie miejsca w odradzającej się Polsce. Polskę marzeń zawiózł w rozdartym sercu do Argentyny. W jakim stopniu jestem spadkobiercą jego marzeń?

W pięknym i uroczystym czasie setnej rocznicy odzyskania niepodległości, wspomnijmy o dramacie Polaków pozostawionych między Berezyną a Dnieprem.

Jerzy Binkowski

Jan Strękowski

„Cegiełki” Jana Krzysztofa Piaseckiego

Jan Krzysztof Piasecki to autor kilku zbiorów wierszy (debiut *Z dala od was*, 1989) oraz jednego, wydanego w 2003 r., zbioru opowiadań *Pierwsza wiosenna i inne opowiadania*. Od wielu już lat mieszka w miejscowości Zalesie w okolicach Sokółki, na podlaskiej prowincji, w pobliżu granicy z Białorusią, gdzie kupił gospodarstwo.

Pierwsze opowiadanie z wymienionego zbioru, *Pierwsza wiosenna*, zaczynało się od pomysłu... przeniesienia się na wieś, pomysłu, który jego bohaterowi wydawał się zupełnie nierealny:

„Pomyślał, że nie dla niego jest wieś, gdzie nie można się rozpuścić w anonimowości. Lecz później doszedł do wniosku, że to nic, bo i tak nie kupi tu żadnego domu, a dzisiejszy dzień spędza jak tkacz, który tka kilim o wyszukany wzór, by jutro cisnąć go w kąt, całkiem o nim zapomnieć i zabrać się do innego dzieła”. Wtedy myśl o wyniesieniu się z Warszawy była tylko grą, pozorem działania. W tym samym opowiadaniu kontynuował:

„I pomyślał, że ta jego gra ubiera się w ciało realności, że naprawdę powinien sprzedać swoje warszawskie mieszkanie /bo przecież może to uczynić, mieszkanie w Warszawie nie jest trudno sprzedać/ i kupić ten dom. Sprzedawać w tym sklepie żywność, mydło i powidło, w drugiej części domu mieszkać, czytać książki, uprawiać kilka grządek, urządzić piękny ogród, kupić psa, chodzić na długie spacerunki po tej nie odkrytej, podwarszawskiej enklawie. A może jeszcze raz ożenić się z jakąś młodszą od siebie, szczerą dziewczyną”.

No i wyjechał, kupił gospodarstwo na odległym od stolicy Podlasiu, na przysłowiowym końcu świata, tam gdzie diabeł mówi dobranoc. I nie tylko nie zginął, ale potrafił z tej nowej dla siebie nieznanej rzeczywistości zaczerpnąć coś świeżego. Nadal pisze, choć teraz obserwowaną niegdyś warszawską i podwarszawską menażerię zastąpiła inna – jego sąsiedzi, zasiedziali na tym terenie od pokoleń i tacy jak on przybysze z kosmosu, którzy z różnym powodzeniem realizują swoje pomysły porzucenia starego życia i rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Kiedyś obserwował grochowskich

obszczymurków, teraz okolicznych gospodarzy, rzemieślników, pijaczków. Warszawskiego fryzjera zastąpiły miejscowe lokale.

Tylko obserwator pozostał ten sam co w pierwszej książce.

W pierwszym świecie, choć wychował się w nim i dorastał, nie był u siebie. To nie znaczy, że tak chciał. Starał się stać się jego częścią, ale nie potrafił. Bohater *Cegiełek*, zaproponowanego do wydania zbioru opowiadań Jana Krzysztofa Piaseckiego – napisanego już w tej nowej rzeczywistości, też tego nie potrafi. Patrzy jednak na tę swoją przypadłość z większym dystansem. Jest nie tylko starszy, ale i w jakiś sposób pogodzony ze starzeniem się. Zarazem jednak pełen ciekawości świata, potrafi zwrócić uwagę na każdy drobiazg, sportretować nie tylko tych, z którymi ma do czynienia codziennie, ale i takich, których widzi przez chwilę, dostrzec to, co ta osoba w sobie nosi, co stara się ukryć, czasem nawet przed sobą.

Proza J.K. Piaseckiego jest egotyczna, skupiona tak mocno na swym bohaterze – narratorze, że wydaje się być na granicy tego, co czytelnik jest w stanie akceptować. A jednak trudno się od niej oderwać. A to za sprawą niezwykle silnego zmysłu obserwacji, umiejętności chwytania i notowania drobiazgów: zachowań, dialogów, czynności, obyczajów, przedmiotów. Jest to naturalizm w sferze psychologicznej i mały realizm w sferze obyczajowej. W latach 60. ubiegłego wieku pojawił się w polskiej prozie ten nurt, ale nie miał dobrej prasy. Większość jego przedstawicieli nie wychodziła poza notowanie drobnych przejawów życia. A jednak byli tacy, jak Kazimierz Orłoś czy Marek Nowakowski, którzy z drobiazgów potrafili zbudować szerszy obraz tamtej rzeczywistości, co było trudne z powodu cenzury.

Tę umiejętność analizy i syntezy ma też J.K. Piasecki. Potrafi budować z drobiazgów, z tytułowych „cegiełek”, z bocznych wątków, szczegółów, szczegółików, impresji. Robi to w sposób niezwykle plastyczny, obrazowy i interesujący. Może dlatego udało mu się to, co jest trudne do pogodzenia, połączenie prozy psychologicznej, egzystencjalnej z prozą obyczajową, a nawet... napisanie swoistego przewodnika po nieznannej szerzej Polakom krainie, w której zamieszkał. Po wschodniej polskiej prowincji wieku XXI. Jego proza jest osadzona mocno w miejscu, w którym mieszka jej autor, zarazem wychodzi poza to miejsce, przekracza je.

Nowy zbiór Jana Krzysztofa Piaseckiego *Cegiełki* składa się z jedenastu opowiadań, z których tytułowe liczy kilkadziesiąt stron i może być traktowane jak rodzaj mini powieści. To co je wyróżnia, to miejsce opisywanych zdarzeń, czyli okolice Sokółki, gdzie żyją bohaterowie opowiadań

Piaseckiego, a także on sam, ich autor. W opowiadaniu *Trzeci poeta* J.K. Pasecki pisze:

„*Trzeci poeta* to ja. Przyjechałem na Wzgórza, jakbym spadł z nieba. Wyrąbałem sobie miejsce wśród surowej rzeczywistości, którą oswajam wierszami, a niekiedy prozą. Wysysam esencje tutejszej przyrody i folkloru, łowię historie, klimaty, drążę istotę samotnej egzystencji, banicji z wyboru”.

Proza J.K. Piaseckiego „sama się czyta”. I warta jest uwagi czytelnika. Choćby dla takiego portretu (a jest ich w tej książce wiele):

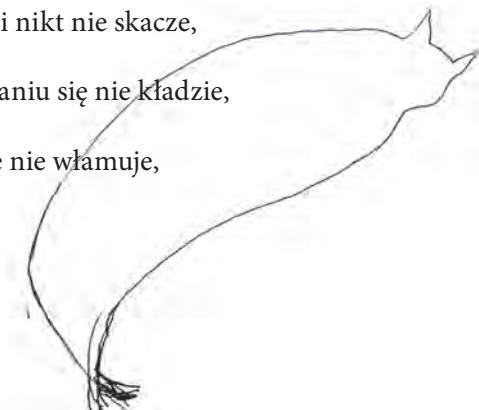
„Poetką jest Gienia, żoną doktora. Píše wiersze o przyrodzie i religijne. Kocha się w księdzu, zadedykowała mu tomik. Doktor zapłacił za wydanie” (z opowiadania *Cegielki*).

Jan Strękowski

Anna Bańkowska

Co z tego?

Że nie trzeba wciąż patrzeć pod nogi,
Co z tego?
Że już nikt nam foteli nie drapie,
Co z tego?
Że nie trzeba wciąż wpuszczać/wypuszczać,
Co z tego?
Że nikt szynki z kanapki nie kradnie,
Co z tego?
Że nikt nie straszy sikorek w ogródku,
Co z tego?
Że nikt ze srokami już się nie wyklóca,
Co z tego?
Że nikt już łapą nam w szybę nie tłucze,
Co z tego?
Że już nikt nigdzie sierści nie zostawia,
Co z tego?
Że po blatach w kuchni nikt nie skacze,
Co z tego?
Że nikt na świeżym praniu się nie kładzie,
Co z tego?
Że nikt do szafy już się nie włamuje,
Co z tego,
Skoro nie ma Kici.



rys. Autorka

Jerzy Binkowski

Jesienny jestem

Babie lato mi w głowie
i mgły okolicznych łąk

Dzięcioł czarny i sójka
Za-po-biegliwi jak wiewiórka

Stopy moje niepewne
wśród liści sennych-jesiennych

jesionu

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Trzy wiersze z Łodzi *

Wycieczka Łodzią

Pismacy jadą
z nosami u szyb,

rzeka podziemna odwija się falą
szorstkiego płótna.

A łódź płynie.

Pismacy jadą
z nosami u szyb,

wypatrują pięknej
nieznajomej z Sekwany,
włókniarki
po dziewięciu skrobankach,
ona (ono?)
chwytą się burty
spracowaną ręką.

Nie ma gdzie się rzucać.
Lepsze „bezpieczne” zapalki.

W Łodzi
gipsowe figury
na dnie
Żyd Polak Niemiec i Ruski
nie licząc psa.

* Wiersze ukazały się w antologii *Łódź. Tkanina z wadami* wydanej w serii: Biblioteka „Na Stronie”, Łódź 2015

Gramy!

Czarny aktor w stroju dowódcy floty
słucha arii syren,
głos
dociera nawet między kosteczkami
do wnętrza ziemi
drżącej
od kroku, tupotu, pulsu maszyn,
drga strzeliście kaplica,

garderobiany z krawcem,
też na czarno,
opaski mierzą
jeszcze nie
dowierzają.

Gładkie kobiety
płaczą spod sufitu
płatkami gipsu,

złote jabłka na czarnych stołkach.

Rusałki nad stawem fortepianu
przeglądają się,
przyglądają sobie,
podpierają podbródki
gzymsów,
rumieńce od witraży
ścierają,
odganiają
zajęczki od kryształów.

Przeglądają się artyści
w wyslizganych schodach,
ćwiczą jazdę,
spadanie już nie straszne
z gwiazd,

złapią się nici
z przędzalni,
pary z gwizdka
i dymu z komina,

jak piękne z Sekwany
nocą,
gdy
dotkną dnia –
ktoś im poda wiosło.

Wir
u burt
kręci się,
kręci.

Lorelajki
pochylone
zaglądają w
dębowe stoły,
przeglądają się w taflach.
Ryba na półmisku – w kręgu na wodzie
wypłynęła martwa
ze złotym rublem
jaja
w pyszczku.

Pismacy z czołami na szybach,
za oknem dychawiczny park,
pary pod pachy,
trallala i trallala,
carskiego walca
Ciuksza gra.

Przez to wszystko

Miałam napisać z Łodzi.
Było za ciemno.

Przefiltrowali nam kraj
przez przyczerzone szkło,
żeby nie był za jaskrawy.

Przez lniane płótno,
przez cegły
przecedzone
miasta.
Mikroby
przez nieszkliwioną porcelanę.
Opadły na dno,
czekają na trąbkę
do ataku.

Poprzez cegły
prze
powietrze
filtrowane
z komina powiewa.
Mżawka kwaśno
popatruje z góry.

Rozłożone na trybiki i członka
miasto
z żelaza,
domy
z endoprotezami
na użytkowanie wieczyste.

Przez przydymione szyby
prze
przefiltrowane,
cedzone

przez
wielokrotnie złożoną
gazę.

Przepuszcza ludzi,
przesącza światło
przez ciemność.
Jedziemy przez
czarne szkło.
Przefiltrowaliśmy świat
przez zaczernione okna
żeby nie był dla nas
za ostry.

Odsysało
odsączało się światło
miasta
rozrzedzone na obrzeżach
gęstniało w środku.

Przefiltrowaliśmy miasto przez cegły.

Tarliśmy cegłę na kakao
jak w dzieciennym sklepiku
z serkami tasznika i chlebkami ślazu, koperkiem rumianku.
Rosły w oazie, nie mogły zaszkodzić
jak i cukier z piasku i kakao z cegły.

Tarli,
starli nam
cegłę do krwi.

Olśnieni, obryzgani
miastem przecedzonym przez cegły,
przez cienkie płótno
jedziemy idąc,
kręcimy,
zapisujemy,

przyporządkowujemy,
odwracamy ulicę na właściwą stronę
– ten co wymyślał, projektował – nie wiemy kto,
znamy tego, co płacił.

Przecedzone przez szyby
niebem
odbija się nam
miasto.

Pałą się klisze
w głowie
puszczane za szybko.

Przepisowa waga

Jankowi Strękowskiemu

*Miałam napisać z Łodzi.
Było za ciemno.
Szyby dymne.*

Pozbierałam okruchy cegieł,
wsypałam do niebieskiej koperty
o pożółkłych brzegach.

Z trójkąta wyleciała
płowa przebitka,
fioletowe słowa
– program Koła Młodych
na najbliższy miesiąc,
że Zdzisław, Jacek, Witold i Ewa
będą coś czytać, opowiadać.

Wąski pasek papieru umknął
i frunął sam nad ulicą.

Pozbierałam okruchy cegły,
aby obciążyć kopertę.
Wrzuciłam do najbliższej
rzeki podziemnej.

Autobus szarpnął.
Rozerwałam kopertę.
Otworzyłam oczy.

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Ryszard Czesłuchowski

Wiersze *

Museu de Montserrat

kucasz przed świętym jeremiaszem caravaggia
zatopionym w myślach obok trupiej czaszki
fotografia ujmuje tylko twój czubek głowy
i całego półnagiego starca

poruszony salvadore dali wraz ze mną
roztrzęsiony słonecznie i mgliście zarazem
a potem szybko przebiegamy oczami
szukając zdjętego el greca
picasso degas sisley monet renoir pissaro
mrowie
a my jednak stajemy ponownie
przed caravaggiem
to jest malarstwo
geniusz i drań
wśród klasztornych
fallicznych szczytów

Zdzierając maskę

zdzieram maskę
naprawdę byłem szczęśliwy
w dzieciństwie jedynie na
ulicy śniadeckich
potem samo cierpienie
szara gorycz
jeszcze kilka mgnień anioła

* Utwory pochodzą z tomiku *Ulica Herberta* przygotowywanego na rok 2019

we mnie
gdy graliśmy w cymbergaja
piłkę nożną lub pływając
w jeziorze jezuickim
pierwsze lektury zakochania
morskie fale muzyka
zagłada w sercu
lepiej było się nie rodzić

Epitafia

najczęściej rozmawialiśmy o boskim wymiarze świata
zauważ w tym miejscu gdzie fale morza
do nas wołały
człowiek nie rozumie tego języka
tak samo jak szeptu mrówki
tobie do ucha

lub spojrzenia kota
w trakcie śmierci

Wracamy

zawsze przywozimy znad morza piasek
w kieszeniach butach myślach
wracamy do tych samych miejsc
ciekawość poznania nowego
z wiekiem przygasa
powroty do obrazów dzieciństwa
młodości stają się mocniejsze
czujemy się szczęśliwi że to co
było nadal jest w tym samym
miejscu

morze nie odpłynęło stare wzgórze
góra pole czy klif są ciągle

takie same nie przemijają jak my
jest się czegoś trwałego uchwycić

Ulica Herberta

od stycznia mieszkam na ulicy Herberta
zmienili mi nazwę z Kruczkowskiego
zabawne mieszkać na ulicy kogoś z
kim rozmawiało się przez telefon
w sprawach redakcyjnych

rano idę ulicą Herberta na przystanek
autobusowy słyszę jego głos w głowie
to bynajmniej nie omamy słuchowe
tylko małe natręctwo
mówił niewyraźnie przekazał słuchawkę
żonie omówiliśmy jego publikację w
naszym kwartalniku

takich rozmów z wielkimi umarłymi
miałem kilka jeszcze do Herlinga
dzwoniłem do Neapolu z Różewiczem
pogadałem zamieszczali u nas teksty swoje

kiedyś miałem sen siedzieli u nas w domu
przy okrągłym stole był oprócz tej trójki
Miłosz którego jedynego poznałem osobiście
nagle wszedł do mieszkania Kruczkowski

zapytał czy może się dosiąść Herbert mu na
to „miejsca zajęte – wypierdalaj komuchu”
Herling na to swoim tubalnym głosem
„Zbyszku po śmierci sobie wybaczymy”
Miłoszowi pękła szklanka z herbatą
z dłoni polała się krew na co Różewicz
syknął kiedy mnie wypuścicie z Auschwitz.

Korfu, sierpień 2018

Atrakcje

nigdy nie byłem w Oświęcimiu
wszedłem w internet
przeczytałem
atrakcje. zwiedzanie. bilety

włosy i buciki pomordowanych
dzieci zrezygnowałem
pojadę do Sztutowa
tam bliżej morza
lepsze atrakcje

Obrzydzenie

Łóżko weszło we mnie
zamiast kości mam metalowe pręty
a sam stałem się poduszką pełną krwi
jacyś obcy ludzie siadają na mnie
kładą się w butach
trzeszczę skrzypię hałasuję
niepokój każe zagłuszyć ciszę coraz
to nowymi dźwiękami lecz sam
przyznaję one są puste
brzydzę się drugiego człowieka
smrodu mowy wyglądu
mam znowu mdłości niczym w
w bibliotece z sartrem
na ulicy widzę rozrzucone ludzkie
ekskrementy wzdrygam się ze wstrętu
kiedy widzę wasze spocone podniecenia
nie dotykajcie mnie nie siadajcie
na mojej poduszce
w tanich knajpach wylizują resztki miłości
zostawcie je odejdźcie jak najdalej ode mnie

Joanna Jagiełło

Tutaj

Leżałyśmy na trawie, kolana żrebaków, myśli soczyste.
Gryzłyśmy naszą młodość i całe wypełniałyśmy się światłem.
Miałyśmy pokonywać wąwozy i morza, przeskakiwać
horyzont lekko, jak w grze w gumę. Pić kawę z jasną pianką
w konfetti srebrnych kropel wody z fontanny di Trevi.
I wciąż od nowa zdobywać nieskończoność.

Teraz piję kawę w ogródku Amatorskiej. Cukier
lekko chrzęści w zębach, a ja patrzę godzinami
jak w łyżeczce odbijają się autobusy i ludzie.
Potem leżę na trawie w Parku Skaryszewskim.
Lekko wilgotne żdzibła, zapach ciepłej ziemi, mrówka.
Słońce kładzie się spać codziennie trochę wcześniej,
a ja już potrafię je do snu ukołysać.

Dzwonię do przyjaciółki. Mówi, że jabłka
obrodziły pięknie w tym roku, pies utyka na lewą łapę,
i jeszcze, że znalazła prawdziwka obsypanego igliwiem.
Nie mówi, że nie byliśmy w mieście miłości
i nie otworzył się przed nami bezkres oceanu.
Ani, że wszystko jest tutaj, bliskie, niespieszne.

Czego nie było

Dni stały się krótsze. Za to godziny, minuty, wydłużają się, dając
przestrzeń myślom. Pomiędzy żyłkami, liniami papilarnymi
liści narastają całe światy, tęsknoty za tym, czego nie było. Mieszkania,
w których mogliśmy mieszkać, z widokiem na Pałac albo na park,
ulice miast po których nie chodziliśmy. Pomiędzy dniem,
jeszcze ciepłym, a czernią nocy, nieśmiały zmierzch. Kryje go
zasłona niewypowiedzianych słów, deszcz, który nie padał,
niepotrzebne parasolki. Wszystkie te dzieci, które mogłam

ci urodzić. I wszystkie te wiersze. To, co było, co tak panoszyło się
w koronie z sierpniowego słońca, chabrów i maków, odchodzi
razem z latem, niestrudzenie wierząc w nieskończoność. A ja patrzę
przez koronkę liścia na nasze nieistniejące życia, jak w fotoplastykonie.

Jeszcze

Na skrzypce Cię zagram. Na mandolin brzmienie.
Na fortepianu dźwięki, jak palce po kręgach.
Na harfy sennej rzeczne, zamyślnie strumienie,
Na C i E. Na ostro i miękko.

I czekać będę twojego dotyku. Jak struna napięta
spragniona chociażby jednego akordu. Pocałunku dłoni,
błogosławieństwa opuszka twego palca. Jak święta.
Jak gitara, której dawno nie dotykał nikt. Bo po nic.

A ty mi powiesz, że dźwięk najpiękniejszy to cisza.
Jakby w krainie na niby zamilkły i żaby i ptaki
i słońce i deszcz. I kwiaty i drzewa.
I szept, jakby liść już wiedział, że spadnie.
A jeszcze śpiewał.

Eugeniusz Kasjanowicz

Pieśń otwartej dłoni

Andrzejowi Ługowskiemu

Kiedy przysiadasz się do stołu
pozostaw nóż złych myśli
trzeba chlebem łamać się
podzielić się miłością i nadzieją

tobie sen lekki jak obłok
i wędrowanie w otwarte przestrzenie
góry lasy drogi i bezdroża
z otwartą dłonią – bez noża

deszcze słońce piachy i kałuże
poznałeś złe wiatry i burze
poznałeś dobre wiatry i źródła
więc zatrzymaj się – do jutra

tobie blask ognisk i ciepło
z torbą przez ramię jest lekko
a w niej kawałek chleba
do niego noża nie trzeba

więc zostaw nóż złych myśli
niech promienny ranek się przyśni
i przyjaciel odnajdzie ciebie
kiedy będziesz w największej potrzebie

Opartowo

Adamowi Grytnerowi

Tutaj tylko
oczy Jeziora Rajgrodzkiego
i słysząc
głęboki oddech ciszy
czasem wiatr przebiegnie
jak delikatne dźwięki gitary

jacht nas kołysze
niczym biały obłok
kochamy Adamie
tę ciszę
a później do brzegu
taki nasz los
choć orkiestra świerszczy
dostojnie nas wita
i porywa
do dworku
na wieczorną biesiadę
gdzie poezja i muzyka
dopełniają czary życia
a nad ranem
nasze głosy
niewyspane
biegną ścieżką
w pięknym lesie
bryczką zaprzęzoną w konie
pośród sosen świerków
klonów...
to są chwile
ukradzione
codziennościom żmudnym
trudnym...
jednak życie
wiatr nam niesie
znad jeziora

Profesorowi dr. hab. n. med. Henrykowi Zielińskiemu

Nie wiem co bym teraz robił
gdybym nie przyszedł
na spotkanie z Panem
Profesorze...
Może stałbym się jesiennym liściem
rzucanym przez wiatr
albo płynąłbym obłokami
które przypominają chorym
białe fartuchy lekarzy
może błędziłbym
pośród niebieskich lasów
szukając drogi
A przecież tutaj niedaleko
prowadzony niewidocznym promieniem
odnalazłem Pana przyjazne serce
Majowe słońce świeciło przez okno
chorzy szurali kapciami
po korytarzach szpitala
a ja zasypiałem na stole operacyjnym
ufając Bogu
i Panu
Później słowa
unoszące się między nami
zapachem kawy
i śpiew ptaków za oknem
oznajmiły że zaczyna się nowe życie
Wiosna
w pełni podaje mi
Twoje otwarte dłonie
Profesorze

Eugeniusz Kasjanowicz

Andrzej Książek

To co fizyczne i meta-fizyczne

Dookoła wszystko jest płynne.
Przechodzi z jednego w drugie odmienne
inne. I wraca do jednego.
W tej powodzi utonęły narody
i tętniące życiem miasta.
Nie dotarły do brzegu
niektóre futerkowe zwierzęta
grzęznąc w mule.
I tylko ten ptak szczebioczący
na gałęzi jest jak chwila.
Trwa wiecznie.

To samo i tak samo

Ono przychodzi i odchodzi.
Mija się
z Prawdą i Kłamstwem
Pięknem i Ohydą.

Ono przychodzi i odchodzi.
Zostaje pustka.
Niektórzy mówią
o niewielkiej części rajskiego ogrodu
który ktoś zostawił w nas
na pamiątkę.

To bywa, ale nie jest, nie istnieje

Zieleń traw bywa o tej porze soczysta
bardziej zielona niż
zwykle.

Ślimak wspina się na szczyt swoich
możliwości.
Mrówka niesie kawałek spróchniałego
drewna. Ciężar kilkakrotnie
przekracza ciężar jej ciała.
Chmury za chmurami.
Myśli za myślami.
Wciąż tyle zdarzeń informacji
ze świata żywych i zmarłych
Zmysły nie są w stanie.
Umysł odmawia wolnej woli
posłuszeństwa.

Ponad czasem i ponad przestrzenią

Który jesteś
wiatrem muskającym
wilgotne usta kochanków. Kroplą
deszczu spadającą na
wysuszoną glebę.
Jednością w wielości
ludzkich spraw przygniatających
swym ciężarem na co dzień.

Który jesteś
albo
jeżeli cię nie ma
trzeba cię wymyślić.
Powołać do życia.
Od zaraz. Bez –
zwłocznie.

Spór

kto ma rację w sporze
między dobrem którego tyle co

na lekarstwo.
A którego to lekarstwa domaga się
tak wielu chorych.
A zalewającym złem które jest jak
wylew krwi do mózgu?

A może nikt nie ma racji.
Jest to wciąż ta sama rzecz
która raz błyszczy w słońcu.
Innym razem rzuca
cień na przeciwległą ścianę.

Zen

Nie muszę mieć.
Nie muszę biec.
Nie muszę być szczęśliwym.
I tak mi jest dobrze.

Andrzej Książek

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Trzy wymiary

W przestrzeni nicości
nie ma świętych objawień.
Są symptomy mądrości,
głębia pychy,
nienawiść.
Próżność na kwadratach kłamstwa,
co łyzy krokodyla wylewa
nad ofiarą zniewolenia.
W próżni małości nie ma nic.
Co najwyżej nagość materii.
Pustka wszechbytu, zero istnienia.
Giggs omija je z daleka.
Choć mógłby zmienić
czas, krzywą cierpienia.
Z chaosu wyłonić byt, tęsknotę, jasność.
Mocy nadać sens.
Demony strącić z gór
do piekieł wieczności.
Zetrzeć na pył
i w ogniu
stopić potępienia.
W przestrzeni świętości nie ma nic ...
prócz miłości, prawdy, spełnienia.

Warszawa, dnia 01.07.2018

Hymn o miłości

Ciągle wierzę w siłę miłości,
czystą, namiętną, prawdziwą,
bez poklasku, pychy i złości,
majem pachnącą, wrażliwą
Tę, co usta w promienny uśmiech składa

i oczom błękitnego dodaje blasku,
 myśli stęsknione same w słowa układa,
 by serca gorące budzić o brzasku
 Nie słucha ego, ni miedzi brzęczącej,
 jest cierpliwa, ufna, wierna,
 na dobry i zły los, gdy z łzy płynącej
 duszę potrafi czytać miłosierna.
 Szalona, bez zbędnych analiz lub rozsądku
 każdą chwilę wolną chce wypełniać sobą,
 bez słów mówić, to także jest w porządku,
 gdy czujesz jej dotyk, a ona zostaje z Tobą.
 To wtedy, gdy szusujesz po alpejskich stokach,
 Giewont i szczyt Rysów z nią zdobywasz w Tatrach,
 a głowy szalone zanurzać chcesz w obłokach,
 i twarze w zachwycie w górskich smagać wiatrach.
 Gdy plaży brzegiem idąc zapatrzeni tylko w siebie
 Z nią stąpasz, czujesz zimne fale i rozgrzany piasek,
 Z wody wychodzisz nago, Ty dla niej, Ona dla Ciebie
 zziębnięci, drżący lecz czyści, szczęśliwi bez masek.
 Ciągłe wierzę w siłę miłości,
 wzajemną, niegasnącą, płomienną, potężną bez miary,
 Niech ona da nam w radości,
 choć raz poczuć siebie, bo bez niej wszystko bez sensu i wiary...

Kamyk

Dlaczego kamyk z Góry rzucony
 po drodze w lawinę się zamienia,
 niepokoju źródłem,
 krzewem staje się zwątpienia?
 Dlaczego jednym dajesz i pomnażasz,
 drugim jak puchar niesiesz, wręczasz,
 by odebrać po chwili. Bo niegodni?
 Próżni, pychą grzeszą i zawiścią?
 Czy ich złudnym karmisz pożądaniem?
 Że próba? I nie wiedzą, że nie dla nich?
 Dlaczego, gdy lampkę zapalasz w tunelu,
 pozwalasz mgławą łudzić się nadzieją,

oczami duszy już klucze wręczasz do bram raj,
 by ją zgasić znieńcka, w ciemnościach pograć?
 Rozum odbierasz do piekieł na wieczność wtrącając.
 Dlaczego bawisz się nami...?
 I iść nam każesz po omacku?
 Gdy wszystko tak błyszczy się,
 uwodzi, kołysze...?
 Dlaczego nie weźmiesz za rękę,
 nie uniesiesz na ramieniu?
 Non abbiate paura,
 gdy śladem tablic idziesz w kamieniu...

30.03.2012

Na jawie i we śnie

W szufladach wspomnień zamknięty dzień,
 noc przychodzi ukradkiem. Trwa chwilę.
 Ucieka przed brzaskiem.
 W krainie snu otwarte drzwi,
 pojawiaś się, spojrzeniem zakreślasz horyzont,
 odchodzisz, wracasz... TY?
 W drodze do Edenu nie ma autostrad,
 pustynne trakty, dukty usłane kolcami wśród róż.
 Cienie przechodzą, mijają twarze rzeźbione w kamieniu,
 jasne od blasku świateł.
 Płyną w otchłani bez słów.
 Do wiecznej zmarzliny...?
 Do światła chcesz biec.
 Z mocy Złego wyrывasz się.
 Opuszkami palców dotykasz (jej) ust.
 Już nie chcesz śnić.
 U boku stajesz.
 Chcesz żyć, chcesz być.
 To znowu MY!

Warszawa 30.09.2018

Wiesław Mandryka-Bukowiński

Jerzy Marciniak

Pieśń milcząca

Pamięci Anny von Freyer z Lund

Salve Regina
każde słowo milczeniem się kończy
i milczeniem zaczyna

każda litera płaczącą

pieśni pogrzebne
czarnymi tonami śpiewają
jesteś
naszą łzą po bezdrożach się toczącą

czekała na wnuka

przywieźli go zaraz po urodzeniu
biel i czerń
spojrzenie w spojrzeniu

nad ranem zasnęli

pieśni
anielski chór
w białych sukniach i białych chustach

wnuk się obudził
Ania nie

odchodząc
imię jego miała na ustach

byłaś białą białością
i taka odchodzisz

drogą
ze szpalerami lilii
białych
jak pierwsze przebiśniegi na śniegu

my zostaliśmy sami
uboższy
idący powoli żałobnie
w opustoszałym szeregu

Salve Regina
pieśń brzmi rozbiega się w górę unosi
trwa
na ustach męża na wargach syna

mrok
jasnym płomieniem płoną białe świece
i
czarny cień odrywa się od czarnego cienia
jak dusza co się od ciała odłącza

Salve Regina
odchodzisz drogą która nie ma końca
a
twoją twarz ta pieśń śpiewem przypomina

chwała Ci chwała
żałobnicy rozejdą się będzie noc
a
pieśń nadal będzie brzmiała

Salve Regina
w modlitwie męża miłości syna
Salve Regina

Amen

Jerzy Marciniak

Piotr Müldner-Nieckowski

Kartka po czterdziestu latach

(wstęp do metodologii badania mózgu)

Po czterdziestu paru latach wreszcie znalazłem tę kartkę,
na której przed snem zapisałem pomysł
na opisanie uproszczeń dokonanych przez wielkiego Darwina,
a przez tych czterdzieści ponad lat zapisałem dwieście
osiemdziesiąt osiem innych opisów uproszczeń Darwina,
który nie dał sobie rady z pomysłem na rozwiązanie,
które mi przyszło do głowy osiemnaście lat temu,
i teraz w stanie senilnym wpadłem na pomysł
o wiele lepszego opisu uproszczeń tego Darwina,
niż wtedy, gdy byłem w stanie zupełnie juvenilnym,
albowiem teraz na tej kartce znalazłem zapis
tak naiwnie i skrajnie dziecinnie nienaukowy,
że się go wstydzę, milczę i martwię, że mój organizm
jako idealnie cybernetyczna maszyna fizykochemiczna
nie potrafił wytworzyć idealnie tego samego opisu
co wtedy,
tylko jakiś diabelski chochlik musiał się wmieszać
ze swoją pozamaterialną interwencją,
kiedy już wiem ze stuprocentowym poparciem logiki,
że moim organizmem,
który nieuchronnie się kiedyś zestarzeje,
rządzi mechanizm napędu ze świata duchowego,
gdyż inaczej myślałby mechanicznie
dokładnie tak samo jak wtedy,
gdy byłem o wiele młodszy i głupszy,
ale przecież jest to ten sam świat,
o którym wiem tylko tyle,
że mój mechanizm odbiera sygnały
od żony, nie mniej od córki i matki,
bardziej od syna albo brata,
które to znaki każą robić dokładnie to, czego oni chcą
w danej chwili, ani przedtem, ani później,
tylko właśnie akurat idą te sygnały przez eter

teraz,
 ale również ci bliscy odbierają sygnały ode mnie,
 całkowicie indywidualnie moje,
 których nie produkuje maszyna mojego ciała,
 tylko robię to ja osobiście i osobowo
 tak jak lód daje zimno wokół siebie,
 czyli odbiera kontekstowi ciepło,
 a ogień ciepło tak od siebie oddala, a jednak jest ciepły,
 ba, parzy jak twoje dążenie do osiągnięcia przyjemności,
 sam widok ognia jest wrzący, sam widok lodu półprzezroczysty,
 z bąblami powietrza, które niewidoczne wcale nie jest puste,
 o czym jednak sza, bo jeśli się obcy połapią,
 to mnie policja niedowiarków obedrze ze skóry,
 gdyż broni swojej antyreligii jak niepodległości,
 tak jak kiedyś chciano spalić miłośników Kopernika,
 ale im się nie udało.

2015

To ma być takie jak

To ma być takie, jak ma być, jak kazali.
 Trójkąt ma być trójkątny, jak powiedzieli,
 grzyb ma bezwzględnie pozostać grzybem,
 las ma rosnąć do góry, rzeka płynąć do morza.
 Dlatego zakasujesz rękawy, zjadasz pajdę chleba
 i bierzesz się do roboty, do roboty, do roboty,
 która w pewnym momencie pęka
 jak skorupa jaja, z której wylęga się ptak,
 otrząsa się z łusek swego poprzednika gada
 i zaczyna mówić językiem twojego bohatera –
 ta powieść jest już naprawdę twoja,
 kwadrat jest okrągły,
 nic nie jest takie,
 jak ci kazali,
 bo to ty robisz,
 ty śpiewasz, co ma być, co będzie,
 kiedy wejdiesz na górę.

Piotr Müldner-Nieckowski

Mariusz Olbromski

Wiersze z Aidy, Stawiska i nie tylko

W Wu-Kad-Ce

Nie patrz różo zaprzyszłych wiosen
wzrokiem Meduzy, kiedy spojrzenia
ich płoną, policzki lekko całują.

Nie wzdychaj, nie fukaj nagle
jak dawny parowóz
stacje tak szybko lecą, czy biegną

jedna za drugą
jedna za drugą

a oni znad toreb w tym tłoku nagle
ulatują: żółtodziobe Ikary...

Komorów, Tworki pół-szepty – oszaleli
pół-słówka, toną, bo się obejmują.

Nie jęcz mapo mądrości
kobiet doświadczona
już Otrębusy, Podkowa. Wsiedli
już w parku gwieźdnym,
(uspokój się, uspokój)
zapewne:

krzyżówki
krzyżówki rozwiązują
krzyżówki rozwiązują...

Zjawy w Aidzie

Z legend wstają nowe legendy.
W Aidzie ożywają dawne cienie:
Jarosław, Anna, Liebert i Baliński,
Marii Morskiej błękitne spojrzenie.

Tu, gdzie stąpali, słysząc tamte głosy.
I pieśni – barwne ptaki – szlagiery.
Krążą wśród licznie zgromadzonych,
wtopionych w dawne – nowe sceny.

Noc prószy gwieźdną tajemnicą...
odsłania zjawę Marii i jej dzieje,
które spadają szybko jak meteor.

W obrotach nocy jeszcze raz się jawi,
co młyny boże dziwnie miewa.

(po spektaklu „Wczorajsze historie”)

Powroty Krzemieńca

Kluczami myśli wraca Krzemieniec,
szmaragdy wzgórz w muślinie mgieł
blaskami słońca misternie przesnute.
I mury Bony lśniące złocistą koroną
w wołaniu dzwonów licznych świątyń
rankiem – obrazy zmienne piękna –
rozbłyskające lśnieniem wielu luster.

W świątyni pomnik zadumany czeka
na chóry, na modlitwy, na mszę świętą,
na nowe kwiaty w dniu urodzin i na nas
co roku licznie znów przybywających.

Co było dawne – przyszło w nasze życie.
Co tak odległe jest już – teraz bliskie,
kiedy stąpamy w dworku Słowackiego,
arce, zdumieni, że to nam się zdarzyło,
w pieśni głębokiej i przedziwnej.

List z Paryża

Urszuli

Znowu nad Sekwaną jak wtedy
barwy tulipanów, wiśnie japońskie
i stateczkami krążącymi
jest Sekwana rozśpiewana,
a nad nią mosty – drżące struny.

I wschody słońca jak z Moneta,
złote wachlarze nad Notre Dame
blaski i barwy sunące falami.
Pełno jest zakochanych
na bulwarach, w kafejkach
uśmiejchów, gestów,
okrzyków po nurtach lecących.

Luwr odkrywa znów wzruszenia,
jak wtedy, tak wspaniały i męczący.
I tylko naszych dłoni, rozmów nie ma,
a cały Paryż przebogaty, bez nich
tak inny jest, uboższy.

Mariusz Olbromski

Alicja Patey-Grabowska

W sieci słów

Omotaleś mnie
siecią pajęczą
słów utkanych
z kolorowej tęczy
słów utkanych
z mgły i promieni

Jak się wyrwać
z dziwnej niewoli
która kusi
i barwą mami?

Czy przyszłość
będzie bezpieczna?
Czy słońce zajdzie
za chmurami?

W środku sieci
jak w oku cyklonu
jest cisza
i słońce wciąż świeci

lipiec 2018

Zawrócić czas

Obrócić czas
o sto osiemdziesiąt stopni
jak wskazówki zegara
o dwanaście godzin

Dopiero urodziliśmy się
Jesteśmy w kołyskach
a nasze uczucia

kołysze wiatr

I rzeka płynie
do swojego źródła
zamienia się w strumień
i wsiąka pod korzeń

Zawrócić czas
czy można?
O tak! –

Zakochani
słowem Kocham
zmieniają rzeki bieg

Sonet o północy

„Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga
Łam, czego rozum nie złamie”
Rodzi się w sercu kochanie?
a dana kiedyś przysięga?

Czas płynie jak w rzece woda
kierować się rozumem
każdy uczony umie
A czegoś stracić szkoda

Dobrze więc schować rozum
w zakamarki ukryte
cieszyć się każdą minutą

Zapomnieć o tym co było
Nie myśleć o tym co będzie
Przyszłość i tak przybędzie

4 III 2018

Nowy Rok

Krzysztofowi S.S.

Ta jedna chwila –
lot motyla
błysk meteoru
na niebie

I nie wiem
jak ważny ten moment
dla mnie
A może i dla ciebie?

Może coś zmieni
w układance?
A jeśli nie
to wspomnienie
będzie jak obraz
w niezwyklej bajce
dla mnie
i dla ciebie?

Już rytm wybija
Nowego roku
zegar –
to moje serce.

Bo przyszłość w mroku
tonie we mgle
przyniesie radość
rozterkę?
Więc pijmy chwilę –
dobre wino
Przynajmniej ona
wiadoma

Wino czerwone
jak krew i miłość
w zarodku
czy będzie spełniona?

2 I 2018

Podręcznik ekonomii

Między nami
podręcznik ekonomii
błyszczący jak sztylet
Tristana i Izoldy

W nim treść ekonomiczna
Nie ma zysku - umowy
aby splotły się w jedno
dwie ciała połowy

Więc leży ten podręcznik
w naszej wyobraźni
o zysku i stracie
My w wielkiej bojaźni

By nie stracić miłości
a także przyjaźni
o jeden dotyk więcej
o jeden pocałunek

Jaka to będzie suma?
i jaki rachunek ?

Wróbel i śnieg

Lecą gwiazdki z nieba,
migocą na ziemi.
Srebrne śnieżki
jak brylanty
iskrzą się
i mienią.

Myśli szary wróbel
na gwiazdzistym śniegu:
– Jak wysoko pofrunąłem, aż pod samo niebo.

Alicja Patey-Grabowska

baśka ER

* * *

jestem uparta w życiu i umieraniu
niczym jaszczur zrzucam skórę
i się odradzam pogubiona na
ścieżkach losu ja dziwaczka
zagubiona w codziennej rozpacz
zbieram samotne losy innych
sama dla siebie już niepotrzebna
jakbym oddawała serce nikomu
i wszystkim a może tylko
przemieniam lot klepsydry
z dołu do góry
tak pracuje mój umysł w obłądzie

Mam sześćdziesiąt lat
w ruinach Akropolu i wciąż żyję
w Koloseum są moje szczątkowe
myśli wtedy wierzyłam że świat
należy do mych narodzin
Amsterdam dawał ukojenie
żywicą haszu a ja zgubiłam się
na rogu swej ulicy i stuletniego
kościoła to był mój pogrzeb?
pamiętam wciąż ten ostatni
oddech mam taka żywa
nigdy wcześniej nie byłam

Krzysztof Saturnin Schreyer

Cienie

Mrok ciężki wszystko ogarnął
a oni w księżyc wpatrzeni
z tyłu się świeci latarnia
a z przodu taniec dwóch cieni.

W tych cieniach skryta istota
prawdy dla dwojga widocznej.
Gdzieś w górze poświata złota,
a wokół ciemno i mrocznie,

przed nimi tylko kontury
głów nachylonych do siebie
i dziwnie wiotkie figury –
jak w hebanowym drzewie.

Wyraźny cień czarny ręki
stopiony z cieniem podobnym,
ruch harmonijny i pewny –
ten duży, a drugi drobny,

spleceni łukiem i rytmem,
w jedności, czyżby przelotnie?
Cień w licznych lampach to ginie,
to mnoży się wielokrotnie.

Jaki stąd wniosek magiczny?
Co kryje się za tym obrazem?
Dla mnie jest on oczywisty –
już zawsze będą iść razem.

Chłapowo 22 VI 2018

Rozkosze dzieciństwa

(Nr 1)

Kałuże na podmokłej łące,
wokół dzieciaki harcujące.
Wodują statki kolorowe,
żaglówki, jachty i handlowe,
z papieru, kory lub z tektury,
a słońce błyska spoza chmury
i świat niezwykle jest i wielki,
z piór białe szybko mkną żagielki
jak na globusa wielkiej plamie
już w Ameryce, już w Panamie...

A na uliczce asfaltowej
w dzielnicy miasta kolorowej,
gdzie krawężniki i chodniki
w zawrotnym tempie mkną strumyki
i właśnie tuż przy krawężniku
wyścig niezwykle trwa patyków.
Ich właścicieli rój smarkaty
zgrabnie prowadzi te regaty
i w wyobraźni ma wioślarzy,
a każdy o zwycięstwie marzy.

To nie zmyślenie, bo tak było,
tym się cieszyło i bawiło,
bo w czasach tych przedpotopowych
nie znano gier komputerowych!

13 X 2017

Oboje

Pod skrzydłem, pod łabędzim
taje zdrętwiałe serce
oddech twój bliski, ciepły,
porusza włosów łany,
leżę, lecz w tęczę lecę...
Twe czary mnie urzekły

i jestem zakochany
z pamięcią, bez pamięci?

Twych palców duch przemyka
cieleśnie choć bez wagi
i biegną nuty drżące
po niewidocznej strunie
czułości cichej, nagiej.
I ciepłem falujące
te dwie się tulą do mnie
i słyszę szmer strumyka

południe, ojciec, matka
i łódka. Bezpieczeństwo
rozgrzana słońcem kładka
tatarak, oczy twoje
zielone, bez szaleństwa
w beczasie my oboje.

Jak trudno się oddzielić
jakby z ołowiu ciało
i słucham twego serca
wciąż mało ciebie, mało
jak się na wieki wcielić
ty we mnie, a ja w ciebie?
Nie wiesz? Ja także nie wiem.

21 XII 2018

Jesienna symfonia

Zaczęła jesień barw symfonię,
na pięcioliniach wiatrów granie,
mienia się złote nuty brzozy,
ochrą akordy brzmia dębowe
a w tle memento głuche zimy.

A my idziemy i patrzymy,
w głowach melodie kolorowe
i czas gdy miłe były mrozy
i deszcze szare listopada –
galeria dźwięczna lśniących wspomnień,
bo pierwsze były to spotkania.

Listopad, miesiąc zwykle bury,
dla nas w zamglonych lampach błyszczał,
srebrzyły się jesienne chmury,
stukała pantoflami cisza,
kiedy pod rękę i nieśmiało
szliśmy tanecznie, choć padało.

Teraz gdy roztańczona jesień
złote akordy w niebo niesie,
zdumione serce drży i płonie,
bo słucham ich przy mojej żonie

4 XI 2018

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Seipp

Tryptyk bolesny

Część III

Gnoza bezsensu

Część I

Pamiętnik

wrzawa
wrzawa
wrzawa
skręt w prawo
podświadome zgłębianie tajników
a jednocześnie oczywistość zwykłej żądz
polowanie
na trzech myśliwych i
brak zwierza
(choć kto wie
podobno nie była garbata)
wiara góry przenosi napisano ale
w co
gdzie
i po co
pierdol bąka byłoby tu bardziej na miejscu
ale wtedy nie ma ucieczki
ani wiary
ani kłamstwa
pozostaje wymieniona już oczywistość
plus tzw. ufność tradycyjna
(coś à la: zdrowa jesteś?)
i jeżeli wszystko zmierza do
kolekcjonowania wspomnień tylko
to dlaczego aż tyle niebezpieczeństwa
nieważne prawdziwego czy nie
ale bolącego

bo w gruncie rzeczy cała ta
 S Z A N S A
 uświadamia ci tylko własną klęskę
 i im częściej nazywasz to szansą
 tylekroć jest to zwykły powrót do
 przegrywanego życia
 własnego
 i czyjegoś
 i na Chrystusa Pana Najjaśniejszego ja się pytam:
 jak to w ogóle jest możliwe

Część II

Możliwość skutków politycznych

bzdura
 rada państwa nie przestanie istnieć
 tylko dlatego że np.
 ktoś się pomylił
 lub ktoś zaufał
 w końcu chodzi tylko o
 obrzydliwe zepsute dziecko
 obrzydliwe (ergo)
 prawdziwe (ergo)
 piękne
 prawdziwe i piękne
 jeszcze nie kłamię
 (czy kłamię?)
 ależ to już w ogóle nie twoja sprawa
 jesteś tylko maleńkim punktem
 który dziś
 wydaje się pewnym osiągnięciem
 czymś w swej zwykłości
 lepszym
 pojawiaasz się na moment
 dla chwili przyjemności
 i znikasz
 przestajesz istnieć
 i jeżeli tak właśnie ma wyglądać twoja

S Z A N S A
to żal mi cię

Część III **Czy oskarżony przyznaje się do winy?**

chłopie
masz kawał pięknego życia za sobą
dorosły człowiek
nie powinien zajmować się takimi sprawami
po prostu
jechać i znikać
właśnie
(bo sugerujesz to ale niejasno)
ty wprowadzasz
i to od samego początku
W Y Ż S Z Y P O Z I O M G N O Z Y
już od samego początku
kłamiesz
kłamiesz
kłamiesz
kłamiesz
kłamiesz

Część IV **Powracając do tematu**

ile czasu tkwię w tym wszystkim
świadomość upływu lat
powoduje dreszczyk że
już czas najwyższy
S Z A N S A
na co?
!!!!!!!!!!!!!!
na Rany Przenajświętsze Chrystusa
czy ty rzeczywiście ciągle jeszcze
wierzysz
że możliwe jest jakiegokolwiek

najbardziej niewinne choćby
 P O R O Z U M I E N I E
 przeszło dwa lata od awakaku
 plus największy zawód twojego życia
 chyba że chodzi o -----
 to jest możliwe
 (ten wiersz po dwóch latach milczenia)
 wtedy na pewno
 warto by zaryzykować nawet tzw.
 W S Z Y S T K O
 (i wreszcie dochodzimy do sedna)
 ale mnie Chrystusie Nazareński przecież na to
 nie stać!
 (ergo)
 rozpacz
 zamknięcie się błędnego koła
 bezsens wstępujący
 bezsens wszechogarniający
 bezsens ogłupiający
 i mały człowieczek w środku
 co robić
 nie wiem
 przysięgam
 po prostu nie wiem

Część V

Maszyneria śliska a śmierdząca

rozważę teraz możliwość
 zaangażowania emocjonalnego
 (miłość poświęcenie czułość)
 stwierdzam: nie znam
 wypalony na
 W Y Ż S Z Y M P O Z I O M I E G N O Z Y
 ze zdumieniem zauważam brak
 szczęścia
 dążenia do szczęścia
 potrzeby szczęścia

(ergo)
jestem człowiekiem nieszczęśliwym
(ergo)
jestem człowiekiem chorym
szukam korzyści
wygłodzony
brudny
i wściekły
rozwalam świat dla paru srebrników
zajebany utylitarysta
O S K A R Ż A M
cisza
J A O S K A R Ż A M
cisza
i jakby chichot
na Rany Chrystusa
synu
czy już zgłupiałeś tak kompletnie
tak beznadziejnie
nie ma żadnej
S Z A N S Y
nie możesz liczyć że nagle
ktoś
wyciągnie do ciebie rękę
nieuzbrojoną
w geście zrozumienia
stąd to wszystko
miłości
długoletnie żony
śliczne dzieci
dywan kominek i wielki kudłaty pies
rodziny
uśmiechy
spotkania o zacięciu artystycznym
mądre rozmowy
a w środku smród
strach
kiszki i ból

serce i samotność
genitalia i miłość
ucieczka trwająca aż do końca
ale przeważnie niezbyt długo
przerażająca wspinaczka
bezpardonowy wyścig
na sam szczyt ludzkich możliwości
a potem

.....
spierdasz się
powoli
schodek po schodku
po drodze mijają cię inni
chwilowe znajomości
przyjaźnie
miłości
od schodka do schodka
tracąc wzrok
potem słuch
wreszcie resztę sił
czekasz na ten moment
i wreszcie domacasz się
dna wspaniałego
swojego własnego
na dotyk
na smak
na pamięć

Część VI

O Boże ty nasz!

być albo nie być jest pytaniem
o koszt
zmęczyłem się
mam was dosyć
nikt mnie nie będzie sądził
wyrok już zapadł
kiedy osiągnąłem apokalipsę takiej Genesis

w której nie ma już nic:
 milion ścieżek
 w milion milionów możliwości
 o milionie milionów milionów
 trudnych do przewidzenia skutków
 najprościej będzie jednak
 zarżnąć się wreszcie
 chociaż wiadomo że nawet to
 jest z góry zaplanowane
 wykształcenie
 wiedza
 analiza intelektualna
 wprowadza nas tylko na
 W Y Ź S Z Y P O Z I O M G N O Z Y
 który całe to błędne koło zamyka
 w matowym i lepkiem
 bezsensie czułym i pachnącym
 gnojowisku
 czystym i błyszczącym
 śmietniku przegniłym
 rozkosznym że aż bolesnym
 smrodzie sfermentowanym
 cudzie wszystkich cywilizacji
 głównie oblepionym
 najwyższym stopniu człowieczeństwa
 o Boże ty nasz

1980

Jerzy Seipp

Konrad Sutarski

* * *

Dzień po dniu obserwuję pełzanie ziaren piasku ich
wysilek
kiedy wdrapują się na telegraficzne słupy na cokoły
uporczywie przycupują pod ścianami kamienic czy
w pęknięciach dróg
przenoszą się na skrzydłach wiatru szukając nowych
siedlisk jak gromady
wędrownych cyganów

Nieraz widać jak rozszczepione na drobiny pyłu
ożywają stadami wirusów
chmarami komarów niby cienie zarazy
wciskają się między włókna mięśni pod garby
gruczołów rzucają wpływ
przez rwące tętnice
przestają zadowalać się ocieraniem się o ludzką skórę
zatrzymywaniem karawan
formowaniem morskich wybrzeży
odrywają się od ziemi uczą obywać bez tlenu łączą
z pyłem kosmicznym budują mgławice

Po wiekach wracają na kruszejący glob
i znów zasypują nas niepostrzeżenie
przybierając maski biurokracji smogu i nieurodzaju

* * *

Wszystko odbywa się teraz inaczej
jak gdybyśmy znajdowali się gdzieś w gęstwinie poza
wydarzeniami
wtopieni w linię horyzontu po brzuchy po niknące
głowy

Nasze nawoływania o zgodę wytrwałość czy może
o dobrobyt rozbrzmiewają niby pomruk
wzbijających się samolotów
lecz szamoce się z nimi tylko wiatr
na lasy strąca miesza z porzuconymi puszkami
po konserwach po turystach z liśćmi
żółknącej jesieni

A przecież jesteście jakże blisko
aż słycać nasze sapanie w murach biurowców
fabrycznych dymach w odpryskach soli i siarki
w nadziei tłumów
pod burzliwymi literami transparentów
z rękoma na syzyfowym głązie istnienia bez masek
i obłudy

* * *

To chmury i wiatr stale nam o czymś przypominają
to nie wybite nie potrute ptaki szybujące owady toczące
się wody brunatniejących rzek
Jakieś znaki nam dają jakby wiecznej nadziei rozpaczy
uporu
– spuszczając deszcze
gubiąc pióra
brzegi rozmywając
wbierając szumem liści kołębanych na drzewach

Wiemy o tych sygnałach
Wychwytyjemy je rejestrujemy na równi ze szmerami
kosmosu
przekładamy na perforowany język maszyn cyfrowych
by zespolić w struktury przydatne ludzkim pojęciom
wolności i współżycia

Trudno jednak osiągnąć postęp w badaniach
Szpule taśm zapisu zastajemy co rano rozplątane i opadłe

na aparaturę pomiarową na podłogi
postrzępione i zwiędłe
jak gdyby noc całą łopotały dziurawymi skrzydliskami
o ściany pomieszczeń aż do utraty sił wyjścia
szukając

Młodzi posiwiali już przyjaciele

Młodzi moi przyjaciele
co tak posiwieliście już
i zbieracie się do pożegnań
jak dzikie gęsi na przygasających łąkach
w odległym blasku zimnego już słońca

w jakże znamienitych żyliśmy to czasach
kłamstwa pełnych pogardy i zbrodni
myśleliśmy jednak że dni na gwieździstsze zmienimy
buntując się przeciw nieprawiu
oburzając na pogromy narodów
krew im posyłając i słowa pociechy

Wierzyliśmy że odzyskujemy to także
co wolnością zwie się no i prawem
jakiż świetlisty był nam ten fajerwerk marzeń
w furkocie historii gdy wiatry pierzchały
i lamenty cichły
w dzwony wielkie biliśmy tańczyć poczynając
choć był to tylko złudny taniec cieni

Co zostawiamy po sobie na burzliwym świecie
znów pełnym wstrząsów i wędrówek ludów
w zgiełku strzępiących się obrzeży lądów
w skowycie delfinów kochających człowieka
Nawet dla lasów brak już miejsc spokoju
a pola stają się pełne genetycznych zboczeń
Czy są jeszcze oazy gdzie ptaki szybować
i gdzie śpiewać mogą

Na nic nasze wskazówki rady i zaklęcia
bo ziemia coraz obłądniej wokół słońca krąży
2016

NOTA

Stacje ludzkiego sprzeciwu

W bieżącym roku, po książce historycznej *Zarys dziejów Polski z powiązaniami węgierskimi* ukaże się mój tom esejów i poezji, noszący tytuł *Stacje ludzkiego sprzeciwu*. Eseje w nim zawarte to refleksje *O roli i zadaniach poety w XXI stuleciu* oraz *Zagrożenia niesione przez globalizm i islam, głód i przeludnienie*. Pierwszy z nich został opublikowany przez lubelski „Akcent” (2018/1). Wiersze ułożone zostały w trzech rozdziałach: *Apokalipsa dni dzisiejszych* (wojny, globalizm i islam), *O tym co nas otacza* (Degeneracja środowiska naturalnego, biurokracja), *Gdy kur piał o sukcesach* (Komunistyczna przeszłość). Książka ta to poetycki niepokój o los chrześcijańskiej Europy. Jej zewnętrzną ciekawostką jest to, iż ukazuje się jednocześnie w trzech wersjach: tom polskojęzyczny, tom węgierskojęzyczny oraz podwójny, dwujęzyczny. Zanim przyjadę z nim do kraju na spotkania literackie, przesyłam z Budapesztu przedmowę napisaną przez znanego krytyka literackiego Zoltana Jánosiego oraz parę wierszy również tam zamieszczonych.

Konrad Sutarski

Jánosi Zoltán

Księga wierności i pełna obaw

Od dziesiątków lat, od 1965 roku żyjący na Węgrzech, teraz 84-letni Konrad Sutarski, organizator programów, później dyrektor Ośrodka Kultury Polskiej w Budapeszcie (dziś Instytutu Polskiego), stojący na czele Muzeum Polskiego (dziś Polskiego Instytutu Badawczego i Muzeum) oraz działający w innych rolach, także jako poeta, prozaik, interpretator historii w służbie polsko-węgierskiej przyjaźni, przekazuje do wiadomości

publicznej we wspólnym materiale tej książki zaniepokojenie o los dwóch narodów – i Środkowej Europy – skupiający się na perspektywie historycznej w dwóch większych rozprawach naukowych o losie, czasie, pamięci, o znaczeniu „ojczyzny” i w wierszach napisanych w przeciągu pół wieku. W młodym człowieku – którego ojciec przebywał w obozie w Starobielsku, a zginął w Charkowie, w rzezi powiązanej z mordem katyńskim, już w dzieciństwie, potem zaś na skutek gorzkich doświadczeń nagromadzonych w wieku dorosłym – rozwinęła się szczególnie silna wrażliwość na zagadnienia wolności, narodu i związanego z tym przyszłościowego obrazu odpowiedzialności za nie. W tomie tym przekazywane czytelnikowi dzieła obydwu rodzajów literackich uwypuklają owo przekonanie z ogromną wewnętrzną siłą tej wrażliwości. W rozprawach o tematyce historycznej pytania człowieka o etycznej twarzy kształtującego historię i jego odpowiedzialności za losy ludzkości poeta ten interpretuje z poziomu współczesnej nam Europy, a szczególnie Europy Środkowej – przy czym w kręgu tym stworzone utwory literackie przyjmuje jako część owej odpowiedzialności i jako jej możliwość – zaś na te pytania nauki historyczne, później natomiast sama przyszła historia Europy będzie musiała sformułować odpowiedź.

Czy słuszne, potwierdzone, bądź też mogące zostać potwierdzone przez historię interpretacje odkryć, tez i wypływających z nich wniosków dawnych i dzisiejszych zdarzeń, czy też istnieją dziś już inne rozwiązania, propozycje opierające się na prądawnych i dawnych źródłach historycznych doświadczeń? W jakiej mierze może określać wspólna polsko-węgierska przeszłość tworzenie wydarzeń współczesnych, by razem zarysowywać obraz przyszłości, zazębiający się z wcześniejszymi wartościami? Czy może zapowiadać dzisiejsze przeczucia niebezpieczeństw i zakreślać w czasie już dziś możliwe obszary działania? I piszący dzieła literackie twórca dlaczego – i w jakiej mierze – musi na nowo i na nowo występować w sprawach społecznych, by analizując zachodzące zmiany odpowiadać na nie na terenie żywo zmieniającej się historii?

Wysiedlony podczas wojny światowej z mieszkania wraz z matką, dający w 1956 r. krew węgierskim rewolucjonistom, demonstrujący w ich obronie swoimi wierszami Konrad Sutarski, jeden z polskich tłumaczy Miklósa Radnótiego całkowicie otwarcie opowiedział się za sprawą niepodległości, podobnie jak Balassi, Petőfi, Krzysztof Kamil Baczyński, a także inni, życie dla niej poświęcając. Swoją poezją – którą na język węgierski przełożyli wybitni przedstawiciele współczesnej liryki węgierskiej – i patrząc na daty

powstawania tych wierszy, coraz bardziej wstrząsających – wydawałoby się wygnanych już, według niektórych teorii, wcześniej z literatury – a wyrażających zadania społeczne, niejednokrotnie wprost odezwy, wynikające z twórczego nakazu. W owym wieku następującym po postmodernistycznym, w którym po eksperymentach, igraszce, ironii, intertekstualnych czy innego rodzaju manipulacjach tekstowych, po pamphlecie poetyckim i odmiennych poszukiwaniach dróg twórca ten ponownie skupia się na poetyckim kształtowaniu moralnej i myślącej obecności i na nią kładzie z powrotem nacisk, jako na istotę aktu tworzenia – i umysłowości. Tom Konrada Sutarskiego zwraca się ku przyszłości i o przyszłości mówi nawet wtedy, kiedy zanurzając się w dzieje wieków dawnych, wskazuje linie sił, tereny zakazanych bądź dostatecznie nie uwypuklanych wniosków, analizuje twórcze rysy twarzy i sytuacji swojej ojczyzny oraz Węgier.

Jerzy Śleszyński

25 lutego 2018 roku

Niesie mnie dzisiaj słońce
które akurat wychynęło
i kieliszek
Primitivo di Manduria
ze śladem słodczy
której nie ma w życiu

czuję że mógłbym
założyć buty i nawet wyjść
na chrupki śnieg
na próżno
na pohybel prostakom
odczuwając radość

przypominam sobie opowiastkę
o Baruchu Spinozie
który wygrał w sądzie z rodziną
żeby udowodnić
że głowa w chmurach i ideały
to nie przekleństwo i nie wyrok

Świat odchodzi

Świat odchodzi
od rozumu

bo rozum jest tak przeraźliwie szary i nudny
czasami jest tak bardzo pofałdowany i nie do pojęcia
a potem głowa boli i jeszcze to poczucie niższości

świat odchodzi
od prawdy

relatywizm przelewa się i zalewa jak wezbrana rzeka
względne jest nawet prawo Pitagorasa
każdy sam sobie jest sterem i autorytetem w każdej dziedzinie

świat odchodzi
od piękna

modernizm musowo jest nieoczekiwany i nieestetyczny
każdy nowy prąd musi porażać jak drętwa
każda nowość z uśmiechem depcze prace poprzedników

świat odchodzi
na zasłużony odpoczynek

kilka bomb albo epidemii albo kryzysów i realność
rozsypie się jak domek z kredytowych kart
warto będzie zapomnieć i uczyć się wszystkiego od nowa

Kazimierz Świągocki

Ad Deum absconditum

Mądrość Stwórcy niczego nie czyni bez harmonii i bez racji
(G.W. Leibniz, *Nowe rozważania dotyczące rozumu ludzkiego*)

Od wody wieje wiatr, nalewa
samotność we mnie noc i dzień,
i upodabnam się do drzewa,
które w zimowy idzie sen.

Dla ciszy ciało swe otwieram.
Ty jeden, ciemny Boże, wiesz,
że jeśli ciało gdzieś umiera,
to cisza w Tobie rodzi dreszcz.

I wchodzisz we mnie owym dreszczem –
mój lęk dla Ciebie bramą.
I nie wiem, Boże, jak Cię zmieszczę,
a wiatr i śnieg już idą za mną.

Nad ciemną ziemią wschodzisz smugą,
gdzie serce moje Cię zasiało.
Ja – wód głębokich, wiatrów sługa
w Twe światło niosę ciało.

Przygaśnij nieco, zmień się w drzewo,
stań się na chwilę wiatrem.
Słyszysz, jak ciało moje śpiewa
u wrót Twych, Mundi Pater?

I co uczynisz z nim Świetlisty,
gdy wniosę je w Twój ogień?
Czy z martwej ciszy je oczyścisz,
czy rzucisz je odłogiem?

Cokolwiek, Boże, z nim uczynisz,
cokolwiek mu się zdarzy,
w Twoim jest ręku świata Finisz,
wszystko odbiciem Twojej twarzy.

Więc nic nie zginie, nawet gdy
obróciłbyś je w nicość,
bo nicość także Twoja jest,
jak Twój jest byt i czas, i litość.
Nie mogę przeto nawet ciała
utracić, bo nie moje.

W Twym dobroczynnym cieniu z ognia
nawet nicości swej nie stracę.
Bo nicość pije byt Twój do dna
i w światło się obraca.

Niech więc to światło, Wielki Boże,
zakwitnie we mnie sadem,
a ciała mego pieśń jak w morze
w Twe cisze się zapadnie.

1982, 2011

Drzewo drzew¹

Nad stanami jest i s t a n ó w – s t a n
(C.K. Norwid, *Pielgrzym*)

Gdy słońce gasło ogromne nad puszcza
i wiatr z ziemi odrywał mroczniejące góry,
drzewa wzniosły do nieba korony
i zapłakały głosem wielkim:
Słońce, ach, Słońce, czemu nas opuszczasz!

Wówczas nad puszcze wypłynął śnieżny anioł chmur
i rzekł: nie płaczcie, światła ziemi nie zbraknie,

¹ We wcześniejszych wydaniach wiersz nosi tytuł *Z biblii leśnej*.

albowiem jesteście z Królestwa Zieleni,
gdzie Słońce ciągle wraca do źródeł kolorów.

Bo nie z tej puszczy jest królestwo wasze
i nie z tej wody, którą pije korzeń
i nie z tej ziemi, którą woda zrasza,
nie z tego światła, co wam świeci co dzień.

Jest bowiem Słońce-słońc i wiatrów-Wiatr
i drzew rozlicznych jedno Drzewo.
I jeden Korzeń żywi nas. I jest
Ziemia spokoju za tą ziemią,
gdzie ten sam Konar wiecznie trwa,
choć wciąż się w puszcę zmienia.

1962, 1983

Mowa

Któż pojąć umie mowę?
(J. Zonszajn)

Jakże tu dowieść swojej tożsamości?
Któż imię dał ci i co ono znaczy?
Modliłeś się do ściany, lecz popatrz zniknęła.
A już za tobą idzie śniegu dzwon.

Wieczorem słowa rosną jak zbiegające włosy,
przynoszą mowę nie do wiary ciemną,
odbijają nas w sobie i z sobą unoszą
to wszystko, co na trwoni i zostaje w znaku.

Aż stajemy się w końcu najczystszy istnieniem
niepodzielną na słowa ostateczną prawdą.

1962

Po coś Boże

Pamięci Profesora Leszka Kołakowskiego

Po coś, Boże, zapalił tyle gwiazd nade mną,
wszystkie zgasną, gdy umrę i odejdę w ciemność.
Twa rozrzutność gwiazdzista dla mnie niepojęta –
dla mizernego ciała taka uczta święta?

Po coś, Boże, zasadził tyle drzew na ziemi,
dla mnie jedno wystarczy, co nie rodzi cienia
i rośnie tam, gdzie duch mój wypuszcza korzenie,
a z nich idzie pieśń ciała w czasy i przestrzenie.

Po coś, Boże, utworzył tyle ptaków polnych?
Moim polom by starczył jeden ptak, lecz wolny.
Moim lasom, co rosną w głębiach mego ciała,
wystarczy, aby wilga deszcz wyśpiewywała.

Gdybyś mnie był uczynił owadem w powietrzu,
może bytów nadmiaru tak bardzo bym nie czuł.
Zawieszony w nieważkiej eteru przestrzeni
czułbym się bardziej bratem, niżli wrogiem cieni.

I nigdy bym swym skrzydłem tak jak przeszłość kruchym
nie podwładał niebiosów, by głos Twój wysłuchać.
I nigdy bym na Ciebie nie podnosił larum,
dlatego żeś mnie stworzył niedorzeczną marą.

Lecz istniałbym, jak we śnie istnieją pojawy,
przychodzą skąd nie wiedzieć, biją do bram jawy,
jawa przed nimi bytu otwiera podwoje,
a one dotykając, dzielą byt na dwoje.
I byt tak rozdzielony idzie na rozstaje,
gdzie zarówno trwa wiecznie, jak wiecznie powstaje.

Tak bym i ja się uczył na jawie i we śnie,

jak powstawać i ginąć, a istnieć równieśnie.
 Lecz zrodzon z prochu ziemi do nieba wciąż wzlatam
 jak wiatr nieświadom siły, która nim pomiata,
 jak kometa, kosmosu błędząca ofiara,
 w której wszystko spłonęło, został los i wiara.

Po coś, Boże, zapalił tyle gwiazd nade mną,
 jasno było mi bez nich, a teraz jest ciemno.
 I po coś mnie był wydał na świat z taką siłą,
 przecież prościej, więc lepiej, gdyby mnie nie było.

Złożony z światła duszy i z ciała ciemności,
 czemuż nie jestem, Boże, pewny Twej miłości?

Czestków, 28 sierpnia 1994; Mława, sierpień 2009

Kazimierz Świągocki

Grzegorz Walczak

Z cyklu „*Hellada zastygła w mit*”¹

Strefy tajemne

Co cię, co mnie wabi, Odysie,
że znów w rejs się wypuszczasz daremny
przez śpiew Syren poza horyzont,
poprzez lotne Natury krawędzie?

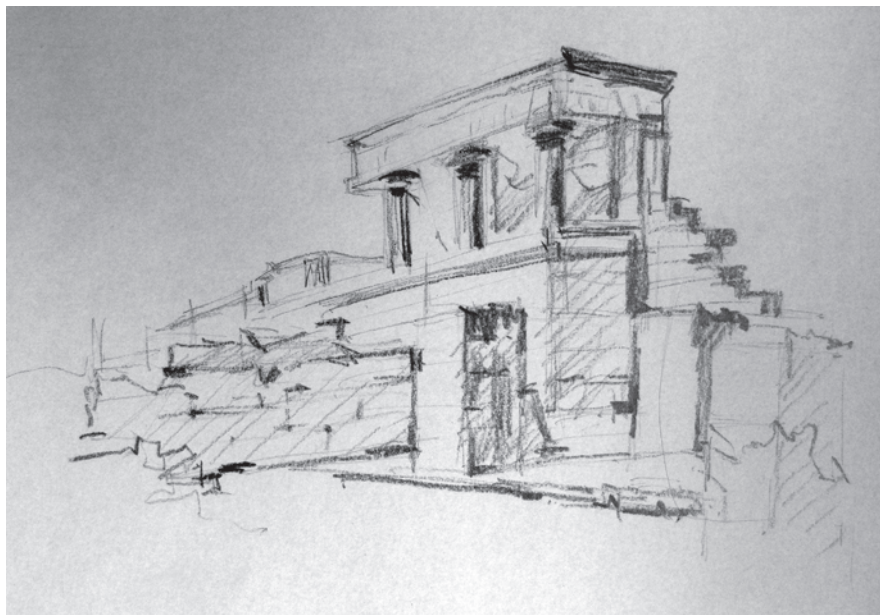
Przewoźnicy twoi-moi Feacy
przez zwodniczy dla zmysłów powab
przeprowadzą nas, gdzie kres jest, a kairos
znaczy – *moment*, gdy wszystko od nowa?

Czemu znowu opuszczamy Itakę?
Tyle lat się do niej powraca.
Nie pomoże mi żaden psychagog.
Ty przekazesz mi wiedzę, tułacz.

Tajemnicy kto dotknie – stracony,
zginąć musi lub ciągle się błąkać,
szukać Syren – wiecznego poznania,
Tejrezjasza wypełniać proroctwa.

Opętany, czym zgasisz pragnienie?
Przecież droga się nigdy nie kończy.
A te nasze odkrycia daremne,
chwilę tylko się iskrzą pod słońcem.

¹ Rysunki *Pegaz i Knossos*: Małgorzata Kowalska-Petalidou



Staroksięga Morza

Chwalmy Dionizosa
pod niebem egejskim.
Niech porwą nas wino,
namiętność i pieśni.

W czółnie swego ciała
kolebać nas będą
w miłości wytrwale Bachantki,
nim Helios

odnajdzie w odmętach
swój wóz zatopiony,
by wznieść się o świcie
ponad nieboskłony.

A my kuśmy bogów
dziewiczą ofiarą,
by wiatry zesłali
żaglowcom Achajów.

O świcie ruszamy
po runo i sławę,
po Troje mityczne,
w podstępną wyprawę,

by wnuk Eneadów
po czynach i znakach
tajemnych mógł poznać
przesłanie i nakaz

staroksięgi Morza,
co krwawi od wieków,
co sławi zdobywcę,
nie mędrca, w człowieku.

Knossos

Dziś zarzucimy swą kotwicę
 przy Heraklionu nagich skałach.
 U minojskiego władcy spisek.
 Uśpimy czujność Minotaura
 i ścieżką, którą nam sir Evans
 tu wyczarował, pomkniemy boso.
 Jego śladami chodziłem nieraz
 i poprowadzę was do Knossos.

Stworzę wam gwiazdy bez promieni,
 muzykę bez użycia gamy,
 architekturę światłocieni
 i w wyobraźni miasta bramy
 wzniosę, bom mistrzów podpatrywał
 i Dedalowy znam labirynt.
 Ariadna była mi życzliwa
 I Zeus będzie mi życzliwy.

Tak wkraczam coraz głębiej w przeszłość,
 w minojskie wille się zakradam.
 Dzisiaj zamieszkam z Joycem w Festos,
 Jutro z Byronem w Agia Triada.
 Ot, dla zabawy, płoczej magii
 – kaprys mój z lekka poetycki –
 ożywić martwy kamień chciałbym.
 – Kamień zbyt krągły, wiersz zbyt płytki.

Mnie to nie szkodzi, póki oczu
 czas nam swym bielmem nie pokryje,
 póki możemy się podroczyć
odi profanum^{* 2}z świętym bykiem.
 Kto z własnym rytmem się boryka,
 i z sercem, co mu w piersiach ciąży,
 choćby na chwoście z fresku byka
 niechaj się spieszy, może zdąży.

Grzegorz Walczak

2 *Odi profanum et arceo* (gardzę pospółstwem i unikam go) – rzymska sentencja znana m.in. z Horacego *Pieśni III*, 1, 1

Janusz Andrzejczak

Nibychatka

Dowiedzieli się o nim nieliczni, przeważnie starsi mieszkańcy pobliskiej wioseczki. Kobiety przynosiły coś do jedzenia, panowie – a to toporek, a to kilka zdrowych desek, kilka metrów sznurka, gwoździe, młotek, zwój drutu. Nikogo o pomoc nie prosił, sami przychodzili. Był kilka razy w domu swojej dobrodziejki, ale nigdy jej nie zastał. Nocami wypatrywał gwiazd, i księżycy, które ulatywały z komina jej domu, ale to się już niestety nie zdarzało. Wypytywał o nią.

Coś się panu przywidziało. Tam od lat nikt już nie mieszka! – odpowiadali zdziwieni, że komuś w ogóle może do głowy przyjść, że ktoś tu może mieszkać.

Poładał w domku co się dało, poupychał mchem szpary w belkach i czekał zimy.

Pisał, rozmawiał sam ze sobą i modlił się.

Modlił się na przebudzenie, modlił się na pracę i wędrowkę, modlił się na sen.

Nie żalił się i o nic nie prosił. Dziękował.

Dziękował za ciszę, za dookolne piękno, za wszystko co niedobrego zdarzyło się w jego życiu, dzięki czemu znalazł się w miejscu gdzie był.

Wyruszał na wędrowki. Cały jeden dzień poświęcił na poznanie okolic.

Okazało się, że pas brzeziny nie był zbyt głęboki. Po pół godzinie drogi pojawiały się świerki i sporadyczne sosny, runo stopniowo stawało się coraz bardziej miękkie, aż pojawiały się w nich kępy soczystego mchu: rokitnika i innych, skończywszy na torfowym. I było coraz wilgotniej, wilgotniej, aż zaczęły pojawiać się miejsca wypełnione wodą i olszyna. Dalej już rzecz jasna nie szedł.

Przyjdę tu zimą, gdy będzie lód.

Zauroczył się niebieskawym odcieniem brzoź. Choć minął już prawie miesiąc od kiedy tu zamieszkał, nieustannie coś go ciekawiło, zadziwiała, sprawiała radość.

Któregoś dnia, koronami dmuchnął silny wiatr. Z brzoź zaczęła opadać nieprzeliczona ilość złotych monet. Pozbierał ile się dało i wysypał je do starego, wyszczerbionego dzbanka, który już miał wyrzucić podczas

sprzątania w domu. Na jego dzień, jaśniejąc w czasie dnia i świecąc w nocy, był już jeden szczerozłoty dukat.

Aż pewnego poranka zauważył, że ktoś powstawał szyby we wczorajsze kałuże, natomiast trawy, kępy trzcin, pnie drzew i wydeptane przez niego ścieżki, przyprószone były bielą czegoś, co przypominało rozsypany cukier.

Zimno – zauważył.

Trzeba przygotować wreszcie opał. I tak jest za późno, by zdążyć wyschnąć. Pełno tu drewna leży, stoi suchymi kikutami. Olcha, brzoza, sosna, świerk... Tylko wziąć siekierę i rąbać!

Wrócił do swojej budki, wziął siekierę i poszedł w las.

Ale ja głupi! Co leży, co stoi, nie nadaje się do palenia. Samo próchno!

No i co mam zrobić? Przecież nie będę wycinał żywych drzew!

Wrócił do chałupki zrezygnowany. Siadł na progu, podparł ręką brodę, zapatrzył się.

Niebo było gwiaździste. Patrzył na nie zdumiony, bo tak naprawdę, takiego nieba nie znał. Znał niebo letnie, bo łatwo w ciepłe noce sięść sobie, a najlepiej położyć się w trawie i patrzeć, patrzeć, patrzeć... I myśleć dokładnie to samo i tak samo, odkąd istnieje rozumny człowiek:

Co tam jest?

Czy jest tam jakiekolwiek życie?

Czy to ma kres?

Kto i po co to tam pozawieszał?

Kiedys miał atlas nieba. Chodził z nim wśród wielu, wielu nocy i szukał na niebie konstelacji, gwiazdozbiorów, gwiazd. Identyfikował ich nazwy, nie dowiadując się o nich właściwie niczego poza nią.

Spojrzał na późnojesienne niebo.

Podobne do Wielkiego Wozu – Pegaz z Andromedą. Ryby, Wodnik, Baran, Trójkąt, w zenicie – Kasjopea. Perseusz i, zdaje się, Cefeusz. Wodnik, chyba Delfin...

Patrzał dalej...

Byk, Woźnica, Orion, Bliźnięta, Zając... No i Andromeda!

Szczególnie jej, Andromedzie, się przyjrzał. Od góry, w dół.

O Boże! Przecież to dym z komina! Z babinkowej chatynki!

I ruszył w jej kierunku.

Doszedł, patrzy, a przed chałupką telewizja stoi!

Gdy tylko się pokazał, zaraz go obstarpił: jeden pan z kamerą, drugi ze światłem oraz pani z mikrofonem.

Co jest panu wiadome na temat mieszkającej tu staruszki?

Czy pan ją zna?

Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

Oniemiał. Nie wiedział po co tu oni, co się dzieje.

Nic nie wiem. Jestem tu, by się dowiedzieć. Co się stało?

Proszę pana, to my tu jesteśmy od zadawania pytań – arogancko odpowiedziała młoda kobieta.

Na taką odpowiedź odwrócił się i ruszył z powrotem.

Nie minęło kilka minut, gdy usłyszał za sobą samochód.

Odwrócił się i pierwsze, co zobaczył, to nadzwyczajnej wyrazistości Mgławica Andromeda z komina starowinki, następnie światła wozu transmisyjnego telewizji. Samochód jechał za nim. Niebawem wyprzedził go i zajechał mu drogę. Wyskoczył z niego mężczyzna.

Będziemy o panu film robić – powiedział kamerzysta.

Ale kim ja jestem, by o mnie film kręcić? Ale nawet gdybym był nie wiadomo kim, nie chcę, nie życzę sobie, nie wpuszczę przed dom.

A bo pan jest jedyną osobą, która ostatnio widziała i kontaktowała się z tajemniczą panią. A sam pan widzi – tu wskazał ręką na jej dom – tam dzieje się coś niezwykłego. Nikogo tam nie ma, a pali się w piecu, ktoś do niego dokłada, ale nikogo nie widać. I ten dym z komina!

Ależ ja nic nie wiem! Raz ją widziałem... – zamyślił się – no, może kilka razy, ale nawet nie jestem pewien, czy to ta sama osoba.

Niech pan wsiada, podwieziemy pana do domu.

Oszołomiony wsiadł. Gdyby miał czas na myślenie, na kalkulacje, nigdy by tego nie zrobił, ale stało się.

Gdy dojechali na miejsce, światła auta oświetliły domek.

Po obu jego stronach stały jakby chatynki z drewnianymi daszkami. Pod każdym daszkiem, równiutko ułożone były drwa, wielkością wprost do pieca. Na całą zimę.

Proszę nam coś o sobie powiedzieć – zaczęła kobieta z mikrofonem.

Nie mam nic do powiedzenia.

Przecież widzimy, że żyje pan inaczej niż wszyscy. Wygnało coś pana?

Wy mnie wygnaliście.

Jak to my? Przecież widzimy pana pierwszy raz w życiu!

Pewnie tak jest. Ale ja, widziałem was codziennie. Tysiącami.

Proszę mówić dalej.

Nie ma o czym.

O pani, która mieszka w tamtej chacie.

O tej pani nic powiedzieć nie umiem. O pewnej chatce mogę wam opowiedzieć i więcej nie powiem już ani słowa.

Z glinianego dzbanka wyjął kartkę i usiadł na progu swego domku.
I czytał...

Opowieść o chatce

Na styku lasu i rozległej rozkwiecionej łąki, mieszkała sobie chatka. Miała dla siebie tylko dwie izby i niewielkie pomieszczenie, w którym nstawiała sobie wodę na kaflowej kuchni. Należała do niej również maleńka drewnutnia, w której gromadziła drewno na opał i kilka prostych narzędzi do napraw swoich ścian, okien i drzwi, a zwłaszcza dachu krytego strzechą.

Mieszkała sobie chatka w tym miejscu już prawie sto lat i była szczęśliwa. Uwielbiała otwierać powieki okien ze świtem i zamykać je, gdy słońce wtaczało się w las. Gdy nastawała ciemność, uwielbiała wrzucać do pieca polana i patrzeć jak z komina w czarną noc wylatują gwiazdy. Lubiła wówczas przesiadać się z Dużego gwiazdnego Wozu na Mały i z Małego na Duży, i odwiedzać po kolei wszystkie znaki zodiaku.

Tym gwiazdnym zabawom przyglądał się zazdrosny, zawsze zimny księżyc.

Pewnego razu wzięła go taka złość na jej szczęście, że stał się aż czerwony. Tak się przy tym nadymał, że zupełnie zapomniał co ma do roboty na nocnym niebie i zniżając swoją na nim wędrówkę, osiadł na kominie. Gdy zorientował się gdzie jest, próbował się poderwać, ale akurat chatka rozpałała w piecu. Gwiazdki iskier zaczęły dotkliwie go kłuć, szczypać jego zimne plecy. Zaczął się wiercić, kręcić i rozciągać, by uchwycić się zakończenia komina i odbić od niego prosto w nocne, rozgwieżdżone niebo. Tymczasem im bardziej chciał, tym głębiej wpadał w komin.

Gdy z pieca wypelzła srebrna mgła, chatka aż otworzyła ze zdumienia okna i jedyne drzwi.

I tak już jej pozostało.

Księżyc tymczasem czmychnął przez jedno z okien, pozostawiając za sobą swoją smugę, poświatę.

Nie wiadomo skąd, natychmiast pojawiły się pajęczki i zaczęły uplatać z niej pajęczyny.

Stare zasłonki i firanki w oknach dawno ze starości opadły, a w ich miejsce pojawiły się tkaniny utkane z pajęczyn.

A chatka?

Chatka na początku próbowała rozpalić w piecu, ale pogubiła się we mgle, nie trafiła do drewnutni i nie miała czym rozniecić ognia.

Od maja do końca sierpnia jeszcze dawała radę, bo było jej ciepło. Gdy nadszedł wrzesień, gdy spadła temperatura i pojawiły się chłodne deszcze, zawilgły jej ściany, zbutwiała drewniana podłoga i w dachu pojawiły się pierwsze dziury.

Wielki Wóz z Małym Wozem na próżno podawały jej dyszle, by mogła się po nich wspiąć. Zziębnięta, mokra chatka nie miała na to sił. Zaczęła chorować. Kaszel i kichanie postrącały wszystko, co miała na ścianach. Pospadała też reszta słomy z dachu. Dnia któregoś chatynka zasnęła.

Obudziła się brzezina.

Jej pnie utkane były z księżycowej mgły.

I tak już, na pamiątkę tej historii, pozostało po dzień dzisiejszy.

A teraz proszę stąd odjechać.

Pojechali, zostawiając za sobą mgiełkę samochodowych spalin.

Janusz Andrzejczak

Tamara Bołdak-Janowska

Ktoś tu mieszkał

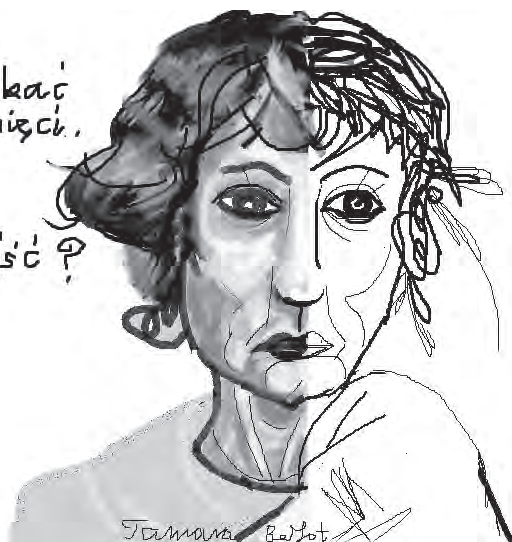
Krótką rozmowa połoźnicza Tamary Bejot i Tola Szaleńczyka

Bejot: Mam tę samą myśl, podobną do uczucia, czy to w Olsztynie, czy w Narejkach, i wokół Narejek, i wokół Olsztyna: ktoś tu mieszkał. Chodzi o to, że widzę owocowe drzewka, resztki sadów tam, gdzie teraz mamy park czy las. Razem zbieramy śliwki, jabłka, gruszki z tych drzewek i twierdzimy, że są nieziemsko smaczne, dziś niespotykane, bo to stare odmiany, wyrugowane u nas z rynku. Zbieramy spady. Czasem delikatnie potrząsamy gałęzią, aby nie uszkodzić. Są tacy, co łamią gałęzie. Czerwone duże późne jabłka o czerwonym miąższu. I te słodkie o przezroczystym jak szkło miąższu. Ty w tym roku smażyłeś sobie z nich dżemy, dodawszy niczyich śliwek i gruszek. Wchodzę do Parku Centralnego, znowu widzę owocujące resztki sadów, i znowu myślę: ktoś tu mieszkał. W okolicy Narejek już w moim dzieciństwie było podobnie: wokół ruin dworów rosły niczyje jabłonie, grusze, morwa, czereśnie, wiśnie, porzeczk (białe, czarne, czerwone, żółte i różowe), i drobny słodki agrest. Wtedy nie myślałam o tych miejscach: ktoś tu mieszkał. Starzy ludzie pamiętali właścicieli dworów. Jeden uciekł w czasie wojny za granicę (Niemcewicz z Gobiata), inni gdzieś się podzieli, też w czasie wojny. Wtedy nie miałam poczucia, że czegoś istotnego żał, że tamci ludzie i ich dworki ulegną całkowitemu zapomnieniu i las je zarośnie, szczególnie i na wieki wieków. W lasach pod Olsztynem ktoś kiedyś mieszkał, bo z nagła widzę fundamenty, część piwnicy, i resztki sadu. Pewnie tu kiedyś nie było lasu, teraz wskoczył. W jednym miejscu stoją resztki ścian i ścian wewnętrznych, i wciąż widać, gdzie były pokoje, a teraz w tych pokojach (dokładnie pośrodku) widzę rosłe brzozy o grubym pniu. Teraz one są mieszkańcami. I nie pomyślą: ktoś tu mieszkał. Widzisz podobnie?

Tolo: Moje siedemdziesięcioletnie oczy nie mogą widzieć inaczej: ktoś tu mieszkał. Mieszkał, znaczy był u siebie. I spokojnie czekał, aż sad dojrzeje, i nie musiał się oglądać bojaźliwie, jak ja, za siebie, czy ktoś mnie obserwuje, kiedy zbieram niczyje owoce w Parku Centralnym. Ja, cieniutki nauczycielski emeryt, mogę być brany przez obserwatora za ostatniego biedaka, bo po co ten dziad to tutaj zbiera, dziś wszystko można kupić, i dla zabawy ten ktoś może mnie kopnąć, zwyzywać. Otóż nie wszystko można kupić i nie takie, jak kiedyś było, a bywało nadzwyczajne. Te dziś

Zamieszkać
w czyjejś pamięci.

Mogę?
Mogę wejść?



niczyje stare śliwy, grusze rodzą owoce o dawnym smaku, przechowały go. Aż przypomina się dzieciństwo. U nas była cała masa owocowych drzew, przeróżnych, wymienię potoczne nazwy jabłek: landsbergi, grafensztajny, boskopy, zajączki i tak zwane zielone – te ostatnie były późnojesienne, zimowe. Leżało ich tyle pod drzewami, że jako chłopczaki prowadziliśmy z kolegami prawdziwe wojny na jabłka, aż pryskało. Za kilka koszy i worków samych spadów kupowało się szkolne wyprawki i solidne skórzane teczki. Dojrzałe landsbergi były kwaskowe, soczyste aż się perliły i nie społkałem nigdy później ich smaku w żadnym z nowoczesnych jabłek.

BeJot: Bo to na ogół amerykańskie mutanty. Nie używa się nazw. Jest kilka nowych, ale ich się nie używa. Te nowoczesne jabłonie są nieodporne, trzeba mocno opryskiwać. One rodzą co roku, a tamte stare rodziły na ogół co dwa lata. Dla zysku zmusza się drzewo do rodzenia co roku. Nie będzie odporne. Nie będzie rodziło odpornych owoców. Trzeba użyć dużo chemii. U nas były jeszcze kosztele i antonówki. I ta dziwna odmiana: słodkie antonówki. Bardzo słodkie.

Tolo: Tak, tamtych nie opryskiwało się. My też mieliśmy antonówki i kosztele. Słodkich antonówek nie znam. I rzeczywiście tamte drzewa rodziły co dwa lata. Raz te, raz inne. Zajączki były dwubarwne, podłużne i miały w sobie goryczkę dzikości. Grafensztajny promieniały od czuprynki w tonacji zachodzącego słońca. Boskopy były ciężkie, matowe, zdawało się: z dyskretnym uśmiechem. Pamiętam, miały smak lekko kwaskowy. Mama

mówiła o tym jabłku: Piękna z Boskoop. Ze starych śliw pamiętam renklody i oczywiście węgierki. Te prawdziwe małe węgierki, które się łatwo suszyło. Miały w sobie goryczkę. Smakosze cenią tę goryczkę w jabłku czy śliwce.

BeJot: U nas były takie duże słodkie śliwki, które nazywaliśmy wozdziankami. Teraz takie mamy w Parku Centralnym. Papierówek i malinówek też już u nas nie ma w sklepach. Mamy je w tym nowym parku. W Aurze widziałam antonówki i ich nazwę, ale nasze były większe i żółte, a te takie małe i zielone.

Tolo: Nasze hasło „Ktoś tu mieszkał”... Oczywiście rodzice mieszkali, jeśli chodzi o znane nam miejsca, ale to tamten stary wiek. Długi wiek...

BeJot: Te twoje landsbergi to Reneta Landsberska. W Polsce uważana za zabytek przyrodniczy. A przecież wyhodowano ją w Polsce w 1840 roku. Nikt już nie mówi „reneta”.

Tolo: Wieki całe nie słyszałem nazwy „reneta”.

BeJot: A to takie piękne słowo. W Polsce nie ma w handlu tej starej renety, a w Niemczech jest. A ta „Piękna z Boskoop” pochodzi z Holandii i nadal jest w handlu w Niemczech, Belgii, Holandii, Danii. U nas coraz rzadziej uprawiana. A te grafensztajny w Polsce nazywane były grafsztynkami, to potoczna nazwa, ale jaka piękna! Nie ma już jej. Może jeszcze gdzieś u tradycyjnych sadowników ją spotkasz. W obiegu handlowym nie ma. To jabłko wyhodowano w Danii w XVII wieku. W tym miejscu mamy jakiegoś twardego mutantą albo nic. Nawet nie staramy się nazwać jabłka w nowoczesnym wydaniu. I nie ma w sklepach ani jednej z tych starych nazw. A coraz częściej nie ma żadnych nazw. A co to są te jabłka zajączki?

Tolo: Owalne. Podłużny kształt.

BeJot: Były u nas takie. Nagle przypominam. W języku prostym: zajczykawy łob. Albo krócej: zajczyki. Była kiedyś polska potoczna nazwa: zajęcze łby. I tej nazwy nikt już w sklepie nie użyje, choć podłużne jabłka czasami znajdziesz. Nie patrzysz na nazwę. Jabłko to jabłko, to czy tamto. Taka jabłoń, która rodziła te zajączki-zajczyki, była w Polsce kiedyś nazywana książęcą jabłonią, a samo jabłko jabłkiem księcia lub książęcym. Na stronach tradycyjnych sadowników widzę, że te jabłka nadal są w handlu w Niemczech, w Anglii. Czy my musimy aż tak wyrzekać się tego, co było piękne, żeby doskakiwać do mutantowego eksportowego współczesnienia? W czasie naszej rozmowy przypominamy stare piękne nazwy, piękne owoce, hodowane bez chemii. I nie w sklepach je znajdziemy, tylko w Parku Centralnym i gdzieś w lesie. Ot, masz nowoczesność, która



skraca, przycina, wyklucza, chowa, zapomina. Dobrem jest różnorodność w każdej dziedzinie, najlepiej wiekowa własna. Musi być coś, co jest i jest. Inaczej żyjemy terazniejszą chwilą bez pamięci i troski o jutro. Musi być coś, co jest i jest, abyśmy po lekkomyślnym porzuceniu rzeczy, kochanej dawno temu, jedynej takiej, niepowtarzalnej, mogli do niej wrócić, ujrzyć nasz głupi błąd. Jeśli nie mamy do czego wracać, nie mamy nic. Szybko wędnącą chwilę. Rzeczy jednorazowego użytku. Łaknienie nieustannej zmiany na „coś innego”, a więc rośnie nam góra śmieci.

Tolo: W Niemczech są jeszcze tradycyjni sadownicy i stare nazwy. Dobrze zarabiają, choć ich drzewa rodzą nieforemne owoce. Czasem zupełnie niekształtne. Ci sadownicy hodują je nie dla zysku, tylko z miłości do rzeczy prawdziwych. Oni kochają swoje sady i kochają odbiorców. Współczesne jabłka nie są dla smakoszy. Ot, jabłko. Każda odmiana smakuje tak samo. Uśredniony sort. Podobno dziś mamy w sklepach tylko dwa rodzaje jabłek i trochę mutantów z tych dwóch podstawowych. Jednakowy smak i wygląd. Wszystkie twarde. Może na rynku byłyby te stare odmiany? Pewnie też nie wszystkie. Na rynek nie chodzimy. Bardzo tam wszystko drogie. Dla Niemca nie za drogo, a dla nas tak.

BeJot: Rozmawiamy o ubiegłym wieku z renetą, a była jeszcze szara renetą, złota renetą... Warszawa w sadach ursynowskich ma te stare kochane jabłka. Te byłe sady, te resztki z nich to jest moje centrum, a nie margines. Margines dla mnie to uśredniony sort w marketach. Ale odbiegnijmy od jabłek w stronę ludzkiego umysłu, ludzkiej kondycji. Obudziłam się z myślą, że jest takie zdanie czy taka myśl, której nie powtórzysz: dożyję nowego wieku i przekroczę go. Tego zdania po przekroczeniu nowego wieku już nie powtórzysz. Tej sytuacji, kiedy masz do życia pół wieku i jeszcze dojdzie ci parę ładnych lat w nowym wieku, już nie doświadczysz. Mówię tu o linii generalnej, bo oczywiście nie każdy urodzony na początku czy nawet w połowie wieku dożyje nowego wieku i przekroczy go, ale niech nas prowadzi linia generalna i nasze życiorysy. Ani ja, ani ty, nie wypowiemy takiego zdania. Bylibyśmy śmieszni, gdybyśmy je głosili. W takim zdaniu mamy zero nadziei na wstępie. Teraz co innego mamy w umyśle: doświadczamy naglej krótkości naszego życia. W trwodze to rozumiemy. W trwodze liczymy lata, jakie nam pozostały po przekroczeniu nowego wieku. Mało.

Tolo: Pokrewne doznanie miał nasz przyjaciel z Niemiec. Mówił: gdybym urodził się o kilka lat później, nie byłbym z pierwszej połowy ubiegłego wieku. Trzy lata mi brakuje do pochodzenia z połowy ubiegłego wieku. Gdybym urodził się w pięćdziesiątym, a nie w czterdziestym siódmym, nikt by nie powiedział: pochodzisz z pierwszej połowy ubiegłego wieku, a w takim stwierdzeniu czuję pogardę.

BeJot: Przy czym to nie znaczy, że jest się człowiekiem ubiegłowiecznym w myśleniu, i że jakoby babcie nie znają się na komputerach. Znają się i są współczesne z myśleniem. Odrzucają jedynie gadaninę, bełkot w kulturze, bełkot dziennikarski, bo od ludzi pióra po staremu wymagają kunsztu, bogatego słownictwa, pracy, myślenia, i unikają uzależnienia od maszyny, a więc wiążą epoki. To bardzo cenne, to skarb ludzkości, ci starzy czy starzejący się ludzie o nieutraconym umyśle. Tacy ludzie widzą więcej. Utracone czy tracone dobro widzą. Złą umysłową zmianę widzą.

Tolo: Kiedy dziś ogląda się stare filmy sprzed kilkudziesięciu lat, z lat sześćdziesiątych czy siedemdziesiątych, to widzi się umysłową zmianę, o której mówisz i zmianę jako taką. Weźmy choćby „07 zgłoś się”. Jak się to na nowo ogląda, a wciąż dobrze się ogląda, to się jednak widzi, że ten serial kryminalny, wciąż urzekający sprawną konstrukcją, dowcipnymi dialogami, jedno stracił na pewno: nagle odkrywamy, że jego język traci myśzką, i nie o to chodzi, że dziś mamy policję zamiast milicji, bo to są ustrojowe techniczne przemiany, ale niektóre powiedzenia, żarty odeszły do lamusa.

I jeszcze coś: spostrzegamy, że nawet w kryminale było wtedy więcej miękkości sytuacyjnej, no i ta naiwność, że zło zostanie pokonane w danym miejscu raz na zawsze. Taką naiwność dziś zamieniono na chłód, cynizm, niewyobrażalną twardość i niewyobrażalne okrucieństwo. Jeśli się jest z tamtego wieku, to się widzi stawanie się różnicy, jej działanie się w kierunku: jest gorzej. Ktoś później urodzony może być nieświadomy działania się różnicy w takim kierunku. Uzna, że nowoczesny kierunek jest generalnie dobry. I może tamte filmy tamte książki odbierać nie w pełni. Wtedy zbrodnia była zbrodnią, wywoływała oburzenie, domagała się ujęcia sprawcy, a dziś analogiczna sytuacja uruchamia co innego w umyśle: oczekuje się reakcji większego przestępcy, a następnie jeszcze większego. To krwawa gra, a nie film, nie sztuka ruchomego obrazu, nie kryminał. Zestresowany umysł chce się odreagować, a nie ma dziś niezestresowanych umysłów. Ceni się straszne baśnie Tarantino. Ketchupowe jatki. I w śmiech.

Bejot: Owa różnica dzieje się na naszych oczach jedynie w kierunku: jest gorzej?

Tolo: Ależ nie. Złem jest, że co jakiś czas jesteśmy ciągnięci w jedynie słuszną stronę, a kierunki sobie zaprzeczają. Nowy wiek oszałamia rozpędem, rozmachem, ale i rozproszaniem, ujednolicaniem, uśrednianiem. Dziś nikt nie przekroczy dawnych mistrzów w kulturze, kompozytorów muzyki klasycznej czy dawnych mistrzów literatury. Epoka nie jest w stanie siebie określić. Filozofia też zawodzi, bo nie umie zdefiniować współczesnego człowieka.

Bejot: Tu się definiowaliśmy przez kochane jabłka. To był dobry punkt oparcia.

Tolo: A właśnie. Epoka znosi punkty oparcia i przyjaciół.

Bejot: Legenda głosi, że kosztela była ukochanym jabłkiem królowej Marysieńki. Pewnego razu królowi przyniesiono skąpy kosz tych jabłek, i on zawołał: kosz tylko? A miał je zanieść królowej Marysieńce. No i królewski okrzyk „kosz tylko” dał nazwę jabłku. Mamy legendę, nie mamy jabłka.

Tekst i rysunki: Tamara Bołdak-Janowska

Tamara Bołdak-Janowska

Przygoda

Przydarzyło mi się coś niesłychanego. Wychodzę z osiedla. Po obu stronach mam żywopłoty, nie tak dawno przyszyte, ale dość wysokie. Sięgają mi do szyi. I nagle słyszę głośne kwilenie. Przeciągłe, najzupełniej ludzkie, niemowlęce. Po chwili przechodzi w kwit prosięcia, urywany, i bardzo głośny, właściwie w urywany wizg. Już nie pojedynczy, bo stadem dołączają takie same. Co to jest do diabła? Kto to? Co to? I nagle dopada mnie stado ptaków. Drą się tym kwikiem, wizgiem. Otaczają moją głowę, wpłatają się we włosy, które mam bardzo sztywne, gęste, i je sobie w tym roku wyhodowałam do ramion, rezygnując z letniej fryzury na zapalkę.

Nie mam czasu przyjrzeć się, co to za ptaki, bo zaczynam się im wyrwać z całych sił. Wieję! Naprzód! Tylko kątem oka zauważam, że są młode, że jeszcze nieumiejętnie latają, ale latają, i że są ciemne i dość duże. Kawki? Gawrony? Chyba gawrony, bo kawki tak nie rozciągają swojej ptasiej mowy, jak te, żeby wychodziło rżnące ucho breeee i meee! I Brzaaaa! I grzaaa! Nie umiem określić tego przerażającego dźwięku. W życiu nie słyszałam takiego ptasiego! Zanim otoczyły mnie, pomyślałam, że to jakieś przerażone ssaki tak się drą. Tymczasem nadlatują inne, już się naprawdę nie przyglądam, jakie, chyba te same, tylko dorosłe. Uderzają we mnie ze wszystkich stron. Z przodu nadlatują wprost na twarz. W końcu wydostaję się spomiędzy żywopłotu, z tej chmary wścieklej, wybiegam na ulicę, czując ból w obu kolanach, bo laskę trzymam pod pachą, bo przecież nie będę opędzać się nią od tego nieoczekiwanego stada, przecież nie będę zaraz zabijać tych niepojętych ptaków. Omal nie zderzam się z kobietą, prowadzącą za rękę małą dziewczynkę. Mówię do kobiety: Widziała pani, jak mnie zaatakowały ptaki, całe stado, słyszała pani, jak się darły? Wiem, że widziała, bo się oglądała. Kobieta uśmiecha się, ale nic nie mówi. Odzywa się dziewczynka i mówi z obcym akcentem: Moja mama nie rozumie po polsku, ona Węgry. A, to cudzoziemka. Dziecko trochę po polsku mówi. Pytam kobietę: Do you speak English? – Yes – odpowiada. Birds! – krzyczę. I see – odpowiada. W jednej chwili ptaki powracają, zaczynają fruwać nad nami trzema. Drzemy się: Birds! Birds! Podrapały mi przedramię. Krwawię. Zaczynam się wycierać, poślinioną chusteczką, bo ślina łagodzi rany. A te

rany są niewielkie, ale od razu pieką. Jakby mnie kot podrapał. No nie. Czegoś takiego nie przeżyłam nigdy.

Nagle wszystko ucichło i zniknęło. Rozglądamy się. Nie ma ptaków. Nie ma wizgu. Gdybym była przesadna, pomyślałabym, że to znak, że zdarzy się coś złowrogiego. A może coś miłego? Coś bardzo, bardzo miłego? Jeśli tak, do dla trzech osób. Dla mnie, dla cudzoziemki i jej dziecka.

Już mogę spokojnie iść po swoje zakupy do Aury, po coś przecenionego, tam zawsze coś dobrego taniego znajdę, coś ekstra taniego, bo moja cukrzykowa dieta bez tych przecenek byłaby bardzo droga, a po drodze wstępuję do miłej ciuchowni w piwnicy pod bankiem, w którym odbieram nasze minimalne emeryturki, a w tej ciuchowni zawsze znajdę jakąś bawełnę za dwa złote. Na sztuczne włókno jestem uczulona. W ciuchowni spotykam Monikę. Tę samą Monikę, którą już raz opisywałam w „Czasopisie”, tę, która lubi Podlasie i stamtąd przywozła podlaskie „tu o”, i nie może od tego „tu o” się uwolnić. Opowiadam jej o ptakach. Mówię, że napadły na mnie ptaki nie-Hitchcocka, a może samego Hitchcocka, bo były niemal identycznie wściekle. Opowiadam z takim przejęciem, że przybiega personel w osobie młodego miłego mężczyzny, i też wysłuchuje mojej opowieści. W końcu wszyscy zaczynamy się śmiać, bo naprawdę jest z czego. Monika mówi: Może to gałąź odpadła i runęło gniazdo z młodymi? I stąd to przerażenie i wściekłość ptaków? Cała ptasia rodzina się zleciała? A jakie to były ptaki?

A ja nie wiem! Duże, ciemne, młode, potem stare – tyle wiem. Spylałam, jak mogłam najszybciej. Wiem na pewno, że nie były to ani szpaki, ani sroki. Może im się moje ogromne włosy pomyliły z drzewkiem, gniazdem albo jakimś bardzo owłosionym zwierzęciem? A może przez to, że wzięłam laskę, malowaną w realistyczne i bardzo kolorowe węże, i zanim ją wzięłam pod pachę, to te węże śmigały kłębkami po trasie? I było wrażenie w ptasim oku, że węże się kłębią?

Dzwonię do córki i jeszcze raz opowiadam o tej przygodzie z drącym się i atakującym mnie ptactwem. Córka zauważa: Cóż. Teraz przyroda się zmienia.

I też się śmiejemy.

Właściwie to wcale nie było śmieszne.

Wracałam z obawą, że może znowu zostanie napadnięta w tym samym miejscu przez to samo stado wściekłych ptaków. Może nie wdrapały mi w skórę jakiejś ptasiej choroby. Ale nie ma ani jednego ptaka pomiędzy żywopłotami. I nie słychać ani jednego ptasiego głosu, ani tamtego niemowlęco-świńskiego wizgu.

Po raz trzeci opowiadał Tolowi, już w domu, tę surrealistyczną historię. Może to były szpaki, młode, dorosłe, bo inne bardziej by cię podrapały? – pyta Tolo.

Nie, nie miały żółtych dziobów. Po tym, jak w opowiadaniu już doszłam do miejsca, w którym przypuszczam, że może ujrzały we mnie jakieś kuldate zwierzę, Tolo żartuje: Pewnie diabła w tobie zobaczyły. Pofarbowwałaś sobie włosy na czarno i masz je gęste.

Potem sprawdzam w Internecie, co to mogły być za ptaki. Może kwiczoły, bo to one kwiczą, i stąd ich nazwa?

W podobny sposób dawno temu na naszym podwórku za Narejkami kury zaatakowały żabę. Narobiły podobnie rozwścieczonego jazgotu, zbiegły się wszystkie i dziobiąc żabę, wypędzały ją z podwórka. Ale to wszystko działo się nie w powietrzu, tylko jak to u kur, na ziemi, wtedy pod krzakami bzu. Coś obcego musi zostać wypędzone, siłą tego dokonamy, siostry i wodzu nasz, kogucie. A sio! Won! Jazda stąd! Te kury widocznie uznały, że podwórko to ich centrum.

Te ptaszyska spomiędzy żywopłotów pewnie uznały to miejsce za swoje centrum, a mnie za intruza. Pojawszy, że tak nie tak, odleciały w lepsze miejsce, bez czarnowłosych diabłów i bez lasek w hiper-realistyczne węże.

Kto wie, czym nas jutro zaatakuje rozwścieczona Ziemia. To ona jest dyrektorem/wodzem/boginią naszego ogólnego centrum. I ma naprawdę dość ludzkich trujących biznesów.

I to jeszcze nie wszystko, co się zdarzyło tego dnia.

Wracałam przez Park Centralny, żeby przysiąść z zakupami na ławce w cieniu. Coś widzę na jednej z ławek. Z daleka. Coś jak połyskujący szalik, zwinięty w rybi pysk. Zwinięte miękkie szaliki z reguły są jak ryba z pyskiem. Podchodzę bliżej. Ryba! Ktoś tu zostawił rybę! Wygląda jak szczupak. Duży pysk. O, nie! Za dużo tego dobrego na dzisiaj. Nie sprawdzam, czy prawdziwa, czy plastikowa, do nastraszenia kogoś. Kuśtykając, spyłam jak najdalej od tej ławki. Niech tę rybę weźmie sobie ktoś inny. Do domu! Może to jakiś znak dla kogoś od mafii?! Uciec jak najdalej stąd, a tej ryby nie tykać.

Coś złowrogiego wisiało tego dnia w powietrzu. Można to czuć? Można na sobie poczuć, jak ta złowrogość wsunie się w ptaki albo rybę jak w swoje rękawiczki i rzuci się na głowę i do oczu człowieka, oniemiałego z powodu tej właśnie barwności dnia.

W domu wszystkie zadrapania mocno powycierałam spirytusem. Nie mogłam spirytusem wytrzeć z oka widoku ryby na parkowej ławce. Co to było?!

Wieczorem w niemieckiej telewizji mówią o prostytutce, o handlu ludźmi. Mowa o tym, że tak zwana społeczność międzynarodowa, wszędzie, gdzie się znajdzie, ma dla siebie burdele nawet z ośmioletnimi dziewczynkami. To znaczy są tam prostytutki w wieku od ośmiu do osiemnastu lat. Tolo: Ładna mi ta nasza europejska cywilizacja. No powiedz sama, co to ma być! Europa jest zakłamana! Ach, te „wartości europejskie”! No, ale chociaż w niemieckiej telewizji czasem powiedzą coś, co powinno być powiedziane. Tylko czy się wreszcie ktoś serio zacznie bezwzględłą walkę z handlarzami ludźmi? Przecież to hańbi Europę. To przerażające!

Tak. To przerażające.

Te wiadomości z niemieckiej telewizji przesłoniły ptasią napaść na mnie.

Tamara Bołdak-Janowska

Krzysztof Choiński

W zawieszeniu

(fragment powieści „Polski los”)

Mglista i deszczowa jesień przyniosła ze sobą smutek i niepewność jutra. Ogłoszenie o Polskim Korpusie Posiłkowym i dymisja Komendanta wywołały wrzenie, zaczęli składać podania o zwolnienie z szeregów ludzie z piękną kartą bojową, przekonani o utracie nadziei, a nawet o bezsensie całego wysiłku dwóch minionych lat.

Bronisław jeździł dwukrotnie do Krasnegostawu. Szpital zwijał się i Maria, która od pewnego czasu nie opierała się już prośbom narzeczonego, stanęła ostatecznie przed problemem dalszego przydziału. Była straszliwie zmęczona, miała dość pracy ponad siły, zapachów szpitalnych, tej mieszaniny wyziewów fizjologicznych i ostrych woni środków dezynfekcyjnych, rozpaczy nad łózkami konających, nieprzespanych nocy, wreszcie i atmosfery ciągłego nadzoru, odętych twarzy szarż, przyjeżdżających jako członkowie rozmaitych komisji i inspekcji.

Bronisław, uwikłany w podwójne obowiązki, nie przestawał myśleć, jak by jej pomóc. Kobięcy Oddział Wywiadowczy przestał istnieć, w innych służbach brakowało punktów zahaczenia. Aż tu nagle nawinął się przypadkiem Krystian Warecki, który przyszedł z kolejnymi rozkazami, w towarzystwie Witelskiego. Kiedy już omówili to, co najważniejsze, zaczęła się rozmowa o przeformowaniu agend Departamentu i o nowych problemach, jakie to stawia przed organizatorami różnych biur. Padła nazwa „Komisja werbunkowa Polskiego Korpusu Posiłkowego” i wtedy Bronisław doznał olśnienia:

– A nie znalazłoby się tam miejsce dla pewnej panny, która ma dość szpitalnej harówki? – spytał mimochodem.

Krystian zastanowił się.

– Może mógłbym pogadać z jednym takim... Dasz mi adres i nazwisko? Byłoby dobrze, gdybyśmy tam mieli kogoś swojego.

– Czy to się wiąże z jakimiś zadaniami? ... – Korowski zawiesił głos.

– Na razie nie. Po prostu tak, na wszelki wypadek.

Maria przyjęła propozycję z ulgą. Tęskniła już za jakąś stabilizacją, o ile to było w ogóle możliwe w warunkach wojennych. Poza tym zaplanowała

sobie wyjazd do rodziców, odkładany już kilka razy. Postarała się więc o przepustkę i wyjechała. Bronisław znowu wsadził ją do pociągu, zaopatrzwszy w kanapki i butelkę zimnej herbaty, po czym ze zdwojoną energią przystąpił do realizacji zadań.

W czasie najbliższego wyjazdu zgłosił się po ważny raport do swojego stałego „kontaktu”. Był to miłkliwy człowiek, superarbitrowany po ciężkiej ranie odniesionej pod Łowczówkiem. Na widok Bronisława uśmiechnął się półgębkiem, co było u niego czymś niezwykłym, i powiedział:

– Tu jest przesyłka. A dla was mam coś szczególnego.

Korowski podniósł brwi. Tamten podał mu arkusz papieru, na którym widniał tekst napisany po rosyjsku.

– Oryginału oczywiście nie mogłem wziąć, ale bezczelnie przepisałem to dla was – wyjaśnił rzeczowo. – Wpadło w ręce naszego zwiadu. Natknęli się na grupę sztabowców, nocujących w jakiejś wsi i zgarnęli sporo dokumentów.

– Wzięli języka? – spytał machinalnie Bronisław.

– Nie, tamci uciekli im przez okna. Była strzelanina, potem Moskałe przepadli gdzieś w chaszczach.

Korowski zaczął czytać i w trakcie lektury przysunął sobie krzesło. Miał przed sobą drobiazgowy formularz personalny, zredagowany przez kogoś, kto wiedział o nim wszystko. Nagłówek brzmiał „Jeży – Bronisław Korowskij”, potem szły dane dotyczące miejsca i daty urodzenia, imion rodziców i tak dalej. Życiorys zawierał wszelkie szczegóły od czasu wyrzucenia ze szkoły, pracę w hucie, przynależność do PPS-u, aresztowanie, śledztwo, proces. Tyle mógł oczywiście autor znaleźć w aktach Ochrony albo Warszawskiej Izby Sądowej, o ile zdążyli wywieźć papiery. Wiedział też o uwolnieniu z więzienia radomskiego. Ciekawsze było to, że znał dokładnie stan służby legionowej, łącznie z datami przeniesienia do Oddziału i powrotu do magazynów, wraz z motywacją ostatniej zmiany. Dalej pojawiały się uwagi groźne: „Spowodował aresztowania kapitana Umarowa, który przebywał w misji na tyłach wroga i został rozstrzelany przez Austriaków 11 czerwca. Uniemożliwił wykonanie zadania grupie lejtnanta Zacharowa, przerzuconej pod Tomaszów”. I obfita charakterystyka: „Umie się maskować... Małomówny... Podczas przesłuchań wywija się jak piskorz... Wygląd nierzucający się w oczy – wzrost... oczy błękitne... włosy rzadkie, ciemno blond... najczęściej ostrzyżony na zero... nosi okulary... czasem kuleje z powodu żyłaków...”. Wreszcie ostatnie zdania:

„Od pewnego czasu bywa nieregularnie w Krasnymstawie. Niezwykle niebezpieczny skutek nieformalnych powiązań z wywiadem”.

Korowski zamyślił się. Pierwsza refleksja, która nasza go na samym początku, dotyczyła imienia: podstawowe dane pochodziły najwyraźniej z jakichś dokumentów Ochrony, bo przypisano mu imię podwójne, rzecz w polskich aktach stanu cywilnego nieistniejącą. Nie wiedzieli za to, że występuje obecnie pod drugim imieniem. Dlaczego? Cała reszta dowodziła jednak starannego zbierania informacji. Był zatem dla nich ważny, aż tak ważny?

Rozmówca widząc, że Bronisław skończył lekturę, odezwał się chrypliwie:

– Uznałem, że musicie o tym wiedzieć. Radziłbym wam spać od tej pory z pistoletem pod poduszką, bo oni potrafią porywać ludzi ze środka biwaku. A co dopiero na tyłach, gdzie czujność jest z natury rzeczy osłabiona.

– Dziękuję wam, kolego – odrzekł Korowski.

– Ale ciarki chodzą po skórze, co?

– Ba, mnie zastanawia, od kogo mają tyle szczegółów.

– No właśnie. Gdyby Oddział funkcjonował jak należy, ktoś powinien zająć się tą sprawą. Tymczasem po kolejnej reorganizacji przeszli pod Naczelną C. i K. i wszystko utonie w bałaganie i w intrygach.

Bronisław schował starannie złożony papier do kieszeni, podziękował, zabrał meldunek i wyszedł. Po drodze zastanawiał się nad źródłem przecieków. Centralny Urząd Ewidencyjny raczej odpadał, bo jego faktyczny przydział z wiosny poprzedniego roku nie został zarejestrowany w karcie. A zatem szpicel był wśród kolegów z Oddziału Wywiadowczego? Czy w batalionie? W żandarmerii? A może wyżej?

Wskutek dręczących go myśli podróż przeszła mu prawie niezauważona i o mały włos byłby przegapił stację docelową. Po powrocie był tak milczący i roztargniony, że szef zapytał:

– A co tam? Coś się nie powiodło w sprawach osobistych?

Wszyscy już bowiem wiedzieli o zaręczynach. Odburknął na odczepnego coś o bólu głowy i wymknął się do Bogusława. Witelski wysłuchał relacji, przeczytał kopię dokumentu, po czym potarł nos z irytacją.

– To stanowi dowód, że mają swoich ludzi wszędzie – rzekł ponuro. – Sprawa jest skomplikowana jak cholera. Nie mogę się przyznać, że widziałem ten elaborat, zaraz wdrożyliby śledztwo, kto mi go dostarczył. Formalnie rzecz biorąc, jestem tylko szefem posterunku żandarmerii.

Spróbuję zapaść wędkę przez... No, mniejsza z tym. Tobie zalecam ostrożność, jak ten nasz człowiek. Myślałem, że cię zabezpieczyliśmy w stu procentach – zakończył gorzko.

Zaledwie Maria zjechała z Rzeszowa, gruchnęła właśnie wieść o „Akcje 4 listopada”. Ludzie gromadzili się przed płachtami papieru rozlepionymi na ścianach domów, słupach ogłoszeniowych i parkanach, czytali w milczeniu, a potem się rozchodzili. Dwa lata wojny pozostawiły ślad w postaci powszechnego zmęczenia. Wiadomości o uroczystych obchodach i pochodach w Warszawie zostały przyjęte obojętnie, krążyły na ten temat przywożone ze stolicy dowcipy. Wśród legionistów stacjonujących w mieście i przewijających się tutaj dla załatwienia spraw służbowych panował nastrój sceptyczny, a nawet wrogi wobec tej oczywistej manipulacji.

Nieoczekiwanie okazało się, że Maria jedzie do Kozienic.

– Jak to, do Kozienic? – krzyknął Bronisław. – Przecież stawałem na głowie, żeby cię dali tutaj!

– Wiesz co, Broneczku? – odrzekła – mnie jest wszystko jedno, byle zyskać trochę spokoju. A to w końcu nie tak daleko.

Zasępił się, ale zaraz poweselał.

– Co tam! Korzystajmy z chwili, chodź, zapraszam cię na ciastko i kawę.

Zaledwie Bronisław zamówił w kawiarni dwie filiżanki ersatzu i szarlotkę dla narzeczonej, w progu stanął Witelski z jakimś wąsaczem z naszywkami podporucznika i na ich widok zamachał dłonią, a potem energicznie przepchnął się między krzesłami. Jego towarzysz łypał okiem na Marysię, co nastroiło Bronisława wrogo. Trzasnęli obcasami, Bogusław przedstawił tamtego jako podporucznika Tyglińskiego; cóż było robić? Korowski wykonał zapraszający gest, usadzając przybyszów po drugiej stronie stolika, czego zaraz pożałował, bo przybysz wbił ślepią w pannę.

– Przepraszam, że wam zakłócamy miłe tête-à-tête – powiedział Witelski, kładąc czapkę na blacie – ale są nowe wiadomości i musimy je obgadać. Stary rozwija działalność polityczną, zgodził się pono wejść do Rady Stanu.

– To nie na nasze głowy – rzekł spokojnie Bronisław. – On wie, co robi.

Rozmowa krążyła wokół wiadomości gazetowych i różnic, jakie było widać między ocenianymi nowinami a przekazami ustnymi.

– Plotka, moi drodzy, to potęga – zakonkludował Witelski. – Gorzej, że tu ryją pod nami i nie wiadomo, jak to się skończy. Spodziewam się przeniesienia lada dzień, teraz to już prawie pewne. Szykują nam roszydy.

– A obywatel porucznik jest z Pierwszej? – spytała Maria.

– Po co zaraz tak oficjalnie! – zgorszył się intruz. – Kolega Tygliński i tyle. Nie, ja jestem z Trzeciej Brygady.

Wśród rozważań na temat dalszych losów Legionów i niemiłej nazwy Korpusu Posiłkowego, Bronisław myślał w gruncie rzeczy tylko o tym, jak by tu utrzyć nosa natrętowi, adorującemu bez żenady jego narzeczoną. Tymczasem Tygliński z jakichś nieznanych powodów osiadł w Piotrkowie na dłużej i próbował zdobyć względy Marii w sposób dość obcesowy. Przez trzy dni, które pozostały do jej wyjazdu, zjawiał się kilkakrotnie pod błahymi pretekstami na kwaterze dziewcząt ze służb pomocniczych, narzucał się z rozmowami o literaturze i trudno było go wyprosić. Maria traktowała nieproszonego gościa ironicznie, parę razy udowodniła mu nieznamość tematu, ale to nie skutkowało. W końcu Korowski urwał się ze służby i zastawszy konkurenta na gorącym uczynku, poprosił go na stronę. Wyszli przed budynek. Tamten widać domyślił się, o co chodzi, bo przybrał drwiący wyraz twarzy.

– Szanowny kolego – powiedział Korowski spokojnie, choć gotował się w środku – przyjęte jest wśród ludzi cywilizowanych, że emablowanie cudzej narzeczonej nie należy do zachowań towarzysko poprawnych.

Tygliński wziął się pod boki:

– A zatem?

Bronisław przysunął twarz do jego twarzy i wycodził przez zęby:

– A zatem, ty dupku żołądny, jeżeli nie odczepisz się od Marysi, dostaniesz po ryju.

– Co, co, co?! – rozindyczył się natręt. – To jest obraza starszego stopniem! Ja cię pod sąd... Ja cię zaraz...

– A gdzie masz świadków? – spytał Bronisław.

– Jakiś kontrolerzyna, gryzipiórek magazynowy ma czelność mnie, żołnierza frontowego... To niesłychane!

– Za to wy zaciągnęliście się wtedy, kiedy już wszystko było gotowe. A ja jestem w Legionach od pierwszej godziny.

I nie podejmując dalszej rozmowy, Korowski wrócił do pokoju panien, gdzie Maria powitała go z niepokojem:

– Broneczku, była jakaś scysja?

– Et, nie warto mówić! Kazałem mu odczepić się od ciebie.

– Jezu, Maria, zadarłeś z szarżą! Nie rób tego, ja sobie dam radę!

– Słuchaj, moja miła, nie pozwolę, żeby ktoś ci się narzucał. Mogę nawet pójść pod sąd, ale nie pozwolę!

W odpowiedzi tylko westchnęła. Poznała go już dostatecznie, żeby wiedzieć, że gdy raz zatnie się w jakimś postanowieniu, nie da się zawrócić z drogi.

– Ale proszę cię, nie wracaj już do tego. Ja i tak jutro wyjeżdżam. Oby tylko on nie rozdmuchał całej sprawy.

– A tam, niech go diabli! – Bronisław wzruszył ramionami i wyjrzał przez okno.

Tygliński znikł sprzed domu. Następnego dnia, kiedy Marii nie było już w Piotrkowie, przyszedł Witelski i od progu ryczał ze śmiechu.

– Aleś splantował tego bubka! Niech cię nie znam!

– Co, poskarżył się? – spytał Bronisław z pozoru niedbale, ale w głębi duszy, po wieczornych przemyśleniach, nieco zaniepokojony.

– Próbowałem, ale ja rozmawiałem z nimi wcześniej. Powiedzieli mu, że spory osobiste zwierzchności nie obchodzą, a obraza szarży powinna być potwierdzona przez świadków. Dziś rano zresztą musiał wyjechać. Tylko proszę cię, Bronek, unikaj na przyszłość takich spięć, bo nie zawsze będę mógł sprawę zakłajstrować.

Korowski podziękował w duchu losowi, że nie spotkał Tyglińskiego ponownie, bo byłaby z tego jeszcze gorsza historia. Przyrzeczenia jednak nie złożył – czy to można przewidzieć, co się wydarzy?

Rzadkie wizyty w Kozienicach stały się jasnymi promyczkami w szarości żywota służbowego. Maria odżyła trochę, była pogodniejsza i usiłowała podnieść Bronisława na duchu. W ich niepewnej sytuacji życiowej znajdowała zawsze jakieś dobre strony, a od czasu do czasu snuła marzenia o wolnej Polsce, która wyłoni się z chaosu wojennego. On zaś, choć dręczyły go wątpliwości, nie spierał się, a nawet mawiał z rzadka:

– Może i masz rację. Nadzieja umiera ostatnia.

Krzysztof Choiński

Jacek Durski

Aby zbliżyć się do Ciebie...

Aby zbliżyć się do Ciebie, opiszę Ci dzisiaj swój zwykły dzień. Zaczyna się dokładnie o siódmej. Po umyciu się, czyszczę okulary. To cały rytuał. Dla drugiej osoby trochę śmieszny. Potem jem lekkie śniadanie, połykam kilka tabletek, parzę drugą herbatę lipton i idę do jednego z dwóch pokoi pracy, najpierw do mniejszego, gdzie komputer. Odbieram pocztę. Jeśli jest coś pilnego, to przygotowuję plik i odpowiadam. Potem idę do dużego, do drugiego biurka i rozmawiam ze sobą. Po kilkunastu minutach gadania „dochodzę” do środka pisanego wątku i zapisuję, co mówię. Pracuję długopisem. Raz po raz wchodzę do drugiego pokoju i wpisuję to, co mam w rękopisie do komputera, drukuję stronę i na powrót z kartką do dużego i tam długopisem pracuję nad wydrukowanym. Poprawiam czarnym i czerwonym, i znowu wpisuję do komputera, drukuję i znowu. I tak nachodzę się cały dzień. Do dwudziestej, dwudziestej pierwszej. Z przerwą na coś lekkiego z talerzem, i na przejrzenie poczty, którą listonosz przynosi mi na górę. Wczoraj na przykład przyniósł mi między innymi pismo „Woliera” (o ptakach), dwa egzemplarze, które przysłano mi z redakcji, ponieważ w nich mój tekst ten SMS o tragedii na *Wystawie gołębi w Katowicach* dali na rocznicę tragedii, przedrukowali elegancko z pisma literackiego „Topos”, pierwszy raz miałem w ręku „Wolierę”, kreda, kolor. Nie lubię ptaków, z fauny uwielbiam ssaki roślinożerne, konie, słonie. Gadam tak do siebie w pracowniach, chodzę, piszę i robię herbaty. Po dwudziestej jem coś dużego i odwałam korespondencję zawodową (na której mi zależy), potem do dwóch, trzech młodych czytelniczek, tych, które tego dnia najmocniej mnie podziwiają. I jeszcze do kilku Pań w „odpowiednim wieku”. Mając nadzieję na Coś wielkiego, a przynajmniej dużego. Po dwudziestej trzeciej puszczam na youtube jakiś program naukowy (astrofizyka, biologia, historia), ale tak właściwie to myślę o mojej pracy, pijąc herbatę za herbatą, myśląc świecie, o ludziach, o nieskończoności. O żywych, zmarłych i o bohaterach moich książek.

Analizuję różne byty we mnie, ich relacje. Relacje ja, a inny człowiek, ja, a inni ludzie, relacje między ludźmi. Dużo myślę o Tablicy Wartości, i o moich bliskich i znajomych na Niej. Dlaczego jedni obsuwają się na Niej,

a inni idą w górę. Kładę się o pierwszej, po układam w głowie pracę na jutro. Chciałbym, aby nie było nocy, żebym mógł dalej pracować. A rano, zaraz po obudzeniu, zawsze się modłę za zdrowie moich najbliższych i swoje.

W nocy idę zawsze raz sikać i zawsze przychodzi mi jakiś pomysł podczas tego sikania. Prawdziwa iluminacja. Zapisuję to szybko, na kartce. Dawniej pisałem na ścianie flamastrem. Po ciemku. Cywilizuję się, mieszkając w komforcie. A poza tym nie ma już miejsca na ścianie. Obraz przy obrazie. I zasypiam. Rzadko już teraz, bo raz na dwa, trzy miesiące śni mi się coś potwornego. Z tamtych lat. Z dzieciństwa. Nie mogę się obudzić, strach, tylko strach, uczucie, że nie obudzę się, krzyczę, szamotam się w pościeli.

Pracuję tak po pięć, sześć dni, nie wychodząc z domu, (nie mam gdzie, do kogo pójść w Sosnowcu), czuję, że zaraz dostanę pierdolca, że zwariuję z pewnością. I ruszam w Polskę, to jest do Katowic. Tam mam wielu znajomych ze środowiska literackiego, albo w miesiącach „widniejszych” ekspressem do Warszawy. Na dzień chociaż. Na Starówkę. Najchętniej do Domu Literatury. Często tym dniem w Warszawie jest moje albo czyjeś spotkanie literackie, albo jakieś sympozjum, konferencja. Czasami też jakaś firma zaprasza mnie gdzieś na kilka dni. „Na wystąpienie”. Ale jadąc „na coś takiego”, pracuję tylko do wieczora. Po kolacji balanga z czytelniczkami. Nie piję alkoholu, więc dobrze się czuję nazajutrz, nawet jak jestem niewyspany. I wracam po miłym, do Sosnowca, do kochanej pracy, i znowu piszę i piszę.

Czesław Hajduk

Pan Abraham

Pan Abraham mieszkał we własnym drewnianym domku odziedziczonym po swoich rodzicach. Z zawodu był krawcem. Znał dobrze swoje rzemiosło i wykonywał je sumiennie. Od swoich klientów na uszycie zamawianej przez nich odzieży żądał tylko tyle materiału, ile było konieczne, toteż nigdy nikt nie powiedział, że ubiera swoje dzieci w ubranka uszyte z cudzej tkaniny. Za swoją pracę pobierał uczciwe, niewygórowane wynagrodzenie.

W 1941 roku nasze miasteczko znalazło się pod niemiecką okupacją. Wkrótce potem jego żydowscy mieszkańcy musieli opuścić swoje domostwa i zamieszkać w specjalnie przygotowanym dla nich getcie. Było ono ogrodzone kolczastym drutem i nie wolno im było wychodzić poza nie. W getcie musiał zamieszkać ze swoją rodziną także pan Abraham.

Pewnego zimowego wieczora pan Abraham przyszedł do mojego ojca. Miał na sobie jakąś połataną kurtkę. Na jego ramieniu nie było białej opaski z żółtą gwiazdą Dawida, jaką obowiązani byli nosić wszyscy Żydzi. Oznaczało to, że pan Abraham opuścił getto ukradkiem przez jakieś tajne przejście i udawał Aryjczyka.

– Witaj, Abramie – zawołał mój ojciec. – Jak ci się żyje?

– Oj, marnie – jęknął pan Abraham. – Stłoczono nas po czterech, pięć rodzin w jednym mieszkaniu. Jest nam ciasno jak śledziom w beczce. W takich warunkach nie da się zachować czystości ani uniknąć swarów. Na początku pobytu w getcie każda rodzina miała jakieś zapasy żywności, ale teraz już prawie nikt ich nie ma i większość z nas przymiera głodem.

– Czy wy nie macie żadnych przydziałów żywności? – zapytał mój ojciec.

– A mamy – odpowiedział pan Abraham. – Tygodniowo jeden bochenek chleba na całą rodzinę. Poza tym na dobę jedną łyżkę buraczanej marmolady, pół szklanki mąki i ćwierć kilo ziemniaków na jedną dorosłą osobę. Na dzieci żadnego przydziału mnie ma. Czy po takim zaopatrzeniu można nie głodować?

Moja matka wyjęła z kredensu napoczęty bochenek chleba, pokroiła go na grube pajdy i położyła na stole. Potem napełniła duży kubek mlekiem i postawiła go przed panem Abrahamem.

– Poczęstuj się – zachęciła gościa.

Pan Abraham bez sprzeciwu zabrał się do jedzenia. Początkowo jadł łapczywie, jakby bał się, że ktoś może sprzątnąć leżący przed nim chleb. Potem jednak opamiętał się i zaczął dokładniej przeżuwać poszczególne kęsy, i połykać je w wolniejszym tempie.

– Powiedz mi, Abramie, jak mogę ci pomóc.

– Mam po swoim dziadku rosyjską złotą monetę. Strzegłem jej jak żrenicy w oku, bo taka moneta czasem pozwala Żydowi w getcie wykupić się od śmierci. Jednak już dzisiaj mojej rodzinie zagraża śmierć już nie tylko z rąk esesmana, ale i z głodu. Moja żona ledwo powłóczy nogami, a moje dzieci już nawet nie mają siły płakać. Głód już nam tak dokuczył, że postanowiłem swój jedyny złoty skarb zamienić na jedzenie. Pomóż mi w tym.

– Pomogę ci, Abramie – zapewnił mój ojciec. – Teraz dam ci bochenek chleba, kanekę mleka, oselkę masła, rożek sera, mendel jajek i ziemniaków tyle, ile zdołasz ze sobą zabrać. Dzięki Bogu mogę podzielić się jedzeniem z głodnymi, a swoją złotą monetę zatrzymaj u siebie. Może przyda ci się na jeszcze gorsze czasy.

Wzruszony pan Abraham dziękował moim rodzicom za poczęstunek i za dar żywności, i wzywał Boga, aby pobłogosławił nasz dom. Pan Abraham uradowany powrócił do getta.

Od tej pory co pewien czas odwiedzał mojego ojca, prosił go o pomoc i za każdym razem proponował mu swoją złotą monetę jako zapłatę za otrzymaną żywność. Mój ojciec zawsze obdarowywał go produktami spożywczymi, ale jego złotego skarbu nie przyjmował.

– Zostaw to na czarną godzinę – mówił.

Pewnego razu pan Abraham znowu odwiedził mojego ojca.

– Józefie – powiedział – znowu potrzebuję dla swojej rodziny czegoś do jedzenia. Prosiłem cię o pomoc już wiele razy. Zawsze mi pomagałeś. Usiłowałem ci choć trochę odwdziaczyć się swoją złotą monetą, ale ty nigdy nie chciałeś jej przyjąć. Teraz prosząc cię o żywność, nie mogę już zaproponować ci w zamian swojej złotej monety.

– A co się z nią stało? – zaciekawił się mój ojciec.

– Niedawno wyprowadzono z getta na stację kolejową kilku młodych Żydów. Nosili tam worki zboża z magazynu do wagonów.

Worki były ciężkie. Pewien Żyd potknął się. Niesiony przez niego worek upadł na ziemię, rozwiązał się i trochę zboża się wysypało. Wówczas nadzorujący pracę esesman zaczął biec do niego i wymachując pałą, groził, że go zabije. Młody Żyd przestraszył się i rzucił się do ucieczki. Esesman przekazał dalszy nadzór nad robotnikami jakiemuś koledze, a sam z pewnym białoruskim policjantem zaczął pościg. Żyd jednak uciekł. Esesman po powrocie z nieudanego pościgu zażądał od Judenratu, aby sporządził mu listę dziesięciu zakładników.

– Za jedną ucieczkę zginie dziesięciu zakładników, zapowiedział esesman. Judenrat żadaną listę sporządził i umieścił na niej również i mnie. Wówczas moja Chaja udała się do esesmana i zaproponowała mu złotą monetę za skreślenie mojego nazwiska z listy zakładników i esesman się zgodził.

– Jak to dobrze, że nie pozbyłeś się swojego skarbu – stwierdził mój ojciec.

– Dobrze? Tego to ja nie jestem taki pewien – odpowiedział pan Abraham i ciężko westchnął. – Esesman z listy zakładników skreślił moje nazwisko, ale umieścił na niej nazwisko innego Żyda. Zamiast mnie zginął inny człowiek. Musiał on zejść z tego świata przede mną, bo nie miał złotej monety. Czy jednak posiadanie złotego krążka daje mi większe prawo do życia. Czy ja mam prawo jeszcze żyć, wiedząc, że ktoś zginął zamiast mnie? Gdy o tym rozmyślam, to jakieś niewidzialne kleszcze zaciskają mi serce tak mocno, że nie mogę znaleźć dla siebie miejsca. Powiedz mi, Józefie, co ja mam ze sobą zrobić?

– Abramie – odezwał się mój ojciec po dłuższym namyśle. – Twoja Chaja walczyła o twoje życie. Miała do tego nie tylko prawo, ale i obowiązek. Dała esesmanowi złotą monetę, nie za umieszczenie na liście zakładników kogoś innego, lecz za skreślenie z niej twojego nazwiska. Na liście zakładników to esesman umieścił inne nazwisko z własnej woli. Jakaż jest w tym twoja, albo twojej Chai wina? Ani ty, ani twoja żona nie powinniście obciążać się winą esesmana.

– Naprawdę tak myślisz, Józefie?

– Naprawdę – zapewnił go mój ojciec.

Tego dnia jak zwykle pan Abraham odszedł obdarowany żywnością, ale jego ożywione ruchy i roześmiane policzki świadczyły, że doznał ulgi w swoim sercu.

* * *

Pewnego razu moja matka wysłała mnie z kanką mleka do mleczarni. Gdy znalazłem się przed nią, zobaczyłem, że ulica przebiegająca obok jest obstawiona przez uzbrojonych funkcjonariuszy. Byli to esesmani, białoruscy policjanci i litewscy żołnierze Plechaviciusa.

Stali oni na przemian co kilka kroków wzdłuż krawędzi dalszego chodnika. W rękach trzymali broń gotową do strzału i skierowaną w kierunku ulicy. Natomiast środkiem jezdni co kilkanaście sekund od strony getta przechodziła jakaś rodzina żydowska. W pewnym momencie ujrzałem na jezdni pana Abrahama, ale on mnie nie spostrzegł, gdyż siedł nie rozglądając się na boki. Twarz miał zaczerwienioną i pokrytą potem. Na rękach niósł dwoje kruchych dzieci, które obejmowały go za szyję. Pan Abraham czule przytulał do ich małych buziek swoje policzki i co chwila którąś z nich całował. Patrząc na niego, zrozumiałem, że chciał im dać od razu tyle czułości, ile każdy ojciec powinien przekazać swoim dzieciom w ciągu całego swojego życia. Obok pana Abrahama szła jego żona. Pani Chaja była blada i zapłakana. Podążała ku swemu przeznaczeniu, nie spoglądając na jezdnię. Z bezmierną rozpaczą przytulała do swoich wychudłych piersi najmłodsze swe dziecko i z najczulszą macierzyńską czułością obcałowywała jego główkę. Między rodzicami dreptała mała, może sześciolatka dziewczynka i kurczowo trzymała się jedną rączką spódnicy matki, a drugą nogawki swojego ojca. Z drugiej strony pana Abrahama jego starszy synek, bojaźliwie stąpając, czepiał się obydwoma rączkami marynarki swojego rodzica.

Pan Abraham, czuły mąż i kochający ojciec, prowadził swoją rodzinę prosto ku zagładzie. Ileż było w nim bezsilnej rozpacz. Na jego widok serce podeszło mi pod gardło, a w moich oczach pojawiły się łzy. By nie spostrzegli ich niemieccy oprawcy, odwróciłem się i biegiem powróciłem do domu, i tam dopiero rozplakałem się na dobre.

Tego dnia hitlerowcy zlikwidowali w naszym miasteczku getto. Zamordowano wówczas dwa tysiące czterysta osób.

Czesław Hajduk

Wiesława Oramus

Trochę o fragmencie obrazu

Odrażające było to miejsce; jakiś staw, bajoro, kloaka o nieregularnych kształtach, niewiadomej głębokości, wypełnione mazią, nad którą unosiły się cuchnące opary. Pulsowało odrażającym, ale na swój sposób fascynującym życiem. Przyciągało wzrok.

Myślała, patrząc na niego, co w nim wyzwoli, co się zacznie, gdy wbił łopatę w kępy trawy obrastającej brzegi. Było to ważniejsze pytanie niż to, dlaczego to ona znalazła te narzędzia w szopie, dlaczego szła z nimi nad bajoro, dlaczego podniósł się wtedy, wyjął jej z rąk? No i dlaczego, po co tam leżał.

Wykluczył ją z tego, co zaczął, chociaż nie ze swego życia, mogła być z boku, poza jakimiś wyznaczonymi przez niego granicami.

Był sam, gdy zaczął od wyrównywania brzegów, jakby chciał mu nie tylko nadać kształt koła, ale i idealnie oszlifować wnętrze, zamienić to w tubę, nieckę, misę?

Wszystko zniweczył pierwszy deszcz. Musiał więc zaczynać od nowa. Z nowymi siłami czy może z ubytkiem sił? Trudno było ocenić, a sam milczał – jakby gdzieś w tej drodze do celu stracił mowę. Udało mu się też zapanować nad mimiką, jego twarz też nic nie wyrażała.

Długo to trwało, brzegi wysychały, wnętrze jamy wysychało, a przecież nie wiadomo, czy o to chodziło, czy może o oczyszczenie ze szlamu i wypełnienie czystą wodą? Może kloakę chciał przerobić na życiodajne źródło? Dać życie, przywrócić życie? Komu?

Zaczął zwozić kamienie znad rzeki, okładać nimi brzegi.

Zauważyli to ludzie i zaczęli niby przypadkowo pojawiać się w pobliżu; najpierw obserwować w milczeniu, potem pozdrawiać go, zagadywać, jakby ich nie obowiązywały żadne granice, a więc i strach. Dlaczego? Dlaczego ktoś odczuwa, inny nie? – zastanawiała się.

Okazało się, że kamienie zaczęły znikać, co było zdumiewające, bo przecież mogli sobie nazbierać nad rzeką takich samych.

W jego rękach zmieniały się, nabierały jakiejś nowej wartości? Czy były po prostu częścią jego świata, którą można ukrąść? Bo były ich zdaniem najładniejsze, sami takich by nie znaleźli?

I sądzili, oczekiwali, że zbudować z nich można też coś niezwykłego?

Zachowywał się tak, jakby tego nie widział, i to inni zaczęli mówić, informować, kto to mógł zrobić, dlaczego, bo... – wysypywała się z ich ust cała nazwana, zdefiniowana, umieszczona gdzieś kolekcja ludzkich przywar. I trwało to tak długo, aż każdy każdemu je przypisał – wszystkie, czasami kilka, czasami tylko jedną.

A kradzieże skończyły się, gdy zaczął ten murek po prostu sklejać zaprawą murarską, gdy coraz bardziej ginął ludziom i światu z oczu za tym, co tworzył, w świecie budowanym wewnątrz omurowanej przestrzeni. Można więc było sądzić, że to wewnątrz kryje w sobie to coś nadzwyczajnie pięknego.

A tam było ciągle zwyczajnie. I ciągle to samo, tylko otoczone murem.

A ludzie pytali, co to będzie, po co to robi? Raz chyba odpowiedział, że jak się zaczęło, to trzeba robić, i coś z tym wszystkim zrobić.

Pozostało więc oceniać, czy dużo przybyło, czy mało, rośnie w górę równo, czy krzywo, czy widać po ruchach, twarzy, że robota cieszy, albo zapął słabnie, sugerować odpoczynek, pokonanie lenia, dodanie sobie czymś sił. Słaby był, silny był? – zastanawiali się, oceniali.

Doprowadziło to do kłótni, potem podziałów. I już nie o niego chodziło, ale o jakieś nierozstrzygnięte spory i podziały sprzed wielu lat, dekad, nawet stuleci. Przenosili je w inne okolice i to tam dochodziło podobno nawet do bójek.

Został sam, siedział długie godziny na murku, wpatrzony w głębię tego bajora, jakby chciał ją poruszyć, zmusić do wylania się z brzegów, zalania go, przykrycia, zatopienia albo wciągnięcia.

A jednak nic się nie stało, został w pamięci ten obraz i zapamiętany stan, jaki wzbudzał – takiego lęku, że chciało się uciec chociażby w Kosmos, rozpaść na miliardy pyłków, rozproszyc tam.

Wyjeżdżał i wracał. Siedział i milczał albo wracał do swojej pracy.

Któregoś dnia przyszedł tam ze zwojami drutu i zaczął przerzucać z jednego brzegu na drugi pojedyncze nitki. Łączył je potem, takie niewymierzone dokładnie chaotycznie, bez żadnych reguł. Może to właśnie chaos chciał stworzyć? I nie wiadomo, czy do pięcia się w górę, w dół, na boki, czy miała to być zwykła siatka, taka chroniąca przed wpadnięciem do dziury, ujarzmieniem jej, zamknięciem jak w kokonie.

Przypadek zdecydował, nagły podmuch wiatru, który uniósł do góry pojedyncze to kłębowisko drutów, że oderwał wzrok, zobaczył coś innego niż ta jego konstrukcja. Coś jak barwny korowód, garść wypuszczonych na wolność motyli, ważek. Tak wyglądały te kobiety.

I to dla nich, dla tych istot lekkich, które obsiadły trawniki, pledy, rozścieliły obrusy i coś piły i jadły, i coś przygotowywały, i jakieś dźwięki z siebie wydawały, zostawił pracę, spędzał z nimi całe popołudnia i wieczory. Upodobił się do nich. Jaki to był piękny obraz! Jak dobrze, że był, uspokajał, pozwalał odpoczywać od myśli o zagadce konstrukcji, od pytań, niepokoju. Świat otwierał się na smakowanie radości, zmiatanie jej z tych talerzyków, filiżanek. Wszystko wydawało się słodkie.

Wyjechał i wrócił.

Zaczął budować na kloace klatkę, z tych rozplątanych i układanych na nowo drutów. Udekorował czymś, co przypominało tamte motylki, ważki. Uwięził je, zamknął. Siebie też?

I doświadczenie uwięzienia zapewnił, i bezradności, gdy patrzyła na jego szamotaninę – nie mógł się sam wydostać, bo narzędzia były na zewnątrz tego, co zbudował. Czekał na pomoc, jak zaplątana w sieci mucha. Tracił siły, energię – godzina po godzinie, minuta po minucie. Nauczył, że tak wygląda poddanie się, pokora, spokój? Gdy nic nie da się zrobić?

Pozwalał jej to oglądać, ale zza tej wyznaczonej granicy. Nie zasłaniał rąk, twarzy.

Aż przyszli jacyś ludzie i wyciągnęli go stamtąd. Jak topielca, potrząsając, pytając o coś, zmuszali do mówienia. Posadzili, przywołali te kobiety z ich pledów, z pokarmami, płynami. Wpychały mu je do ust i mówiły, mówiły, usypiały, uspokajały, kołysały do snu, śmiechem wyrzywały z niego.

Miłe to był widok i towarzyszące mu uczucie. Pogodnego spokoju? Zapisało się to w pamięci, było do odtworzenia – jak na ekranie, na bieli sufitu. Do zasypiania i do budzenia się, do tworzenia stanów między tym i tym.

A ich już nie było, odeszły nieoczekiwanie, jak czymś spłoszone.

On wracał do swojego dzieła. I chciał chyba wymyślić, zbudować jeszcze jakieś inne wyjście z tej zdezelowanej klatki. Zbudował coś w rodzaju furtki, jednak zmienił plany, pompował w kloakę chyba hektolitry wody, a maź i tak nie znikwała, nie dała się wypłukać: bulgotała, bulgotała.

Uciekał od tego przez jakiś czas. Siedział w cieniu jabłoni i wiśni jak człowiek utrudzony tym, co musiał zrobić, żeby coś zatrzymać, skupić się na zmęczeniu, nie efekcie pracy, jak gdyby to była praca dla zniszczenia tego, co się stworzyło, albo czymś innym niż było, jakby była potrzebna do stworzenia czegoś niewidzialnego. Zapomnienia, że wchodzi się gdzieś, nie wiadomo gdzie przez jaką materialną konstrukcją, do dotknięcia,

poznania w coś... nieznanego, że ona była początkiem, coś otwierała, że była jak budowanie czegoś bezsensownego, żeby dojść do sensu?

Stworzył czas, ich czas, przez pamięć tego co było przed rozpoczęciem budowy i po. I coś... jak tęsknotę za brzegiem rzeki, której nie było. Istnienie czegoś bez wydarzeń, bez sensu tak samo intensywnie jak z poczuciem sensu? Czasami żał, że powstała ta konstrukcja, jakby musiała, żeby wejść w Kosmos, zmienić jego obraz, prawa i reguły. A nic nie zmieniła. Bajorko nadal było w centrum... Wszystkiego.

A między nim a konstrukcją, widzeniem go a myśleniem o nim, obrazami, które to tworzyło, we śnie, na jawie, czy obrazów tworzonych z samych myśli coś się zacierało, znikało, pojawiała nowe, nowy obraz, nowy świat? I jakiś nowy, inny człowiek? Niezupełnie do dotknięcia, poznania w czasie dotknięcia.

Wydawało się, że tak będzie to trwać i trwać i poszerzać się jak Kosmos, a jednak w pewnej chwili poderwał się. Bagno znowu dało o sobie znać? Wylewało się? Zaczęła je ujarzmiać poprzez budowanie rowów, którymi mogło spłynąć i płynąć, rozmywać się, ginąć z oczu. Nie widział, że w ten sposób powiększał je, że bajorko rozrastało się, zabierało coraz większe obszary otaczające je? A może to właśnie chciał pokazać? Te rozmiary, kierunki, stopnie i poziomy zniszczenia?

A może już tylko o sam akt kopania, gorączkowego, ekstatycznego, chodziło – bez żadnego planu, wizji, proporcji. Jak w stanie wściekłości, rozpacz, takiej ekstatycznej, że nie słyszy się, nie widzi się nic, nie rozumie słów, gestów ludzi, nie rozróżnia uśmiechu od innych grymasów, aż do wyczerpania całego zapasu sił. Aż, upadając, nie ma się sił na odwrócenie głowy, zakrycie twarzy. Jak fragmentu obrazu? I musi to zrobić ktoś inny.

Koniec

Wiesława Oramus

Jacek Pankiewicz

Myślenie po polsku

1

Wszystko, co istnieje naprawdę, i nadal trwać może, długo wpierw musiało nie mieć nazwy, nim zaczęło istnieć. Od wtedy, gdy dostało nazwę.

Jak każde drzewo, roślina, by żyć, musi mieć w sobie coś bardziej trwałego, pień, od którego puszczają pąki, gałęzie wyrosną.

Podobnie rzecz ma się i co do słów.

Powiedzmy, że jest rok 1952. „Skąd wracali Litwini?”

„Z nocnej wracali wycieczki”.

– Proszę, mówcie Państwo do mnie szeptem, tylko szeptem; a ja stanę na końcu sali i mam to usłyszeć! i dosłyszeć nie tylko wyraz, lecz i każdą zgłoskę, dopiero wtedy to ma sens.

Tak pani Kazimiera Rychterówna żądała od nas, byśmy umieli wypowiedzieć się po polsku, tak by nas ktoś usłyszał! wypowiedzieć, a przedtem może i przypomnieli sobie coś, czegośmy zapomnieli, lecz wiemy to nie od dziś; coś, czego nie ma teraz, i jak nam tego brakuje! byśmy od nowa, samodzielnie tworzyli ten świat, umieli to zrobić!

Bo bez tego nie ma żadnego jutra.

Byliśmy studentami pierwszego roku polonistyki; ten jej „Kurs żywego słowa” nie był wcale przedmiotem obowiązkowym, skupiał amatorów wyłącznie, jakieś 10 procent studentów. Nawet i nie wiadomo, czy prowadząca miała stały angaż, czy pobierała jakieś uposażenie. Był to rok ostrego już wdrażania „zasad” stalinizmu. Pewien mitygant, ważny ubek wówczas, obłudnie nazwał to potem „stanem płynnej nowoczesności”. Kryjąc swą zdradę! Bo on po najeździe sąsiadów na Polskę w 1939 zamiast bronić kraju, opuścił rodzinny Poznań, i znalazł się w Moskwie, gdzie służył jako milicjant. Gdy Pani Aktorka nasza musiała uciekać z Lwowa do Warszawy, by przeżyć!

On, już teraz major UB, buszował po uczelniach w stolicy kraju. Napisał i o mnie artykuł-donos jako „wtyczce wroga klasowego i obcej nam burżuazyjnej mentalności”; leżało toto rozłożone na parapetach auli w UW.

Nasza dbałość o język bardzo mogła mu się nie spodobać; staranną wymowę mógł uznać w praktyce za akt dywersji, bo miał władzę. Znał już

„internacjonalny” język rosyjski, z nim wiązać mógł przyszłość, którą tak nachalnie narzucał.

Skąd wra-ca-li Lit-wi-ni. Z noc-nej wraca-li wy-ciecz-ki!

Autor tych słów pochodził z Litwy, a Polakiem był z wyboru języka i kultury. Ze względu na okoliczności historyczne, w jakich wyrastał ów Mistrz mowy polskiej, zarysował dokładnie w tym wierszu i późniejszą naszą, niemal spiskową, atmosferę zajęć.

W powietrzu wisiało zawsze pytanie, czy komu ta wymowa, może zbyt staranna, mogła się komu przydać kiedy?

Trzy lata później, gdy byłem już na kolejnym przymusowym urlopie dziekańskim, szukałem pracy.

Niezlą gratką wydała mi się sytuacja w Teatrze Polskim; właśnie przygotowywano tam „Lorenzaccia” Musseta, i ogłoszono nabór statystów. A reżyserował wybitny fachura, pan Edmund Wierciński, „istny diabeł”, jak powiadali którzy go znali, bo wymagania, jakie stawiał aktorom, były wysokie. On był akurat po sukcesie swojej „Elektry” w Łodzi, przedstawieniu, które stawia wiele pytań. A tutaj teraz jest gęsty tłum kandydatów do ról drugorzędnych, najbardziej drugorzędnych, bo statystów; w sali bufetowej stał ściśnięty tłum, w tłumie Mistrz i jego asystent, zresztą synalek Przewodniczącego Rady Państwa, (jakżeby inaczej!); i ja się tam znalazłem, a do roli nie załapałem. Lecz co słyszę?

– Brakuje nam tu chyba jednego studenta!

– Kiedy nie ma nikogo odpowiedniego! – wypiskuje asystent; to i przepycham się dość nachalnie aż do samego blatu baru, gdzie oni stoją, i delikatnie wysuwam im przed nos swój szlachetny profil;

– A pan? szepnął Maestro?

I tak zostałem wybrany, sam się wybrałem! do roli II Studenta.

Obserwowałem przez dwa miesiące wyczerpujące próby aktorów, Maestro parokrotnie sam omal nie zemdlął z wyczerpania; pielęgniarka na sali robiła mu zastrzyki;

i podsłuchiwałem z widowni, schowany daleko, ale zawsze coś słyszałem! i błądziłem po zakątkach teatru, wdychałem historyczne kurze dywanów, aż w pracowniach krawieckich pani Teresy Roszkowskiej uszyto mi strój, rodzaj szortów z epoki baroku czy wcześniej, do tego trykoty, które, cholerka, miały taki przyrodzony nawyk, że mi spadały w bardzo nieodpowiednich miejscach i czasie, a raz to było na przystanku autobusowym, akurat gdy zaczął lać deszcz i jakoś się tak niespodziewanie schyliłem, a raz, o zgrozo, przed samą panią Elżbietą Barszczewską, gwiazdą

gwiazd ówczesną i przedwojenną, bo w przedstawieniu brały udział i prawie wszystkie gwiazdy przedwojenne, tuż aktorstwa polskiego –

i kiedy wychodzę z ubikacji, prosto przy wejściu na widownię, spoglądam w lustro, co mam na wierzchu? a tu proszę, i Ona stoi przede mną, gapi się! I jakby nic, mówi:

– No! Nieźle nieźle!

Uśmiechnęła się i odeszła.

Tak poznawałem teatr wtedy.

Ale bo był dla mnie jeszcze Instytucją-Constans. Jak Drzewa-trzon! z wszystkiego, co nam jeszcze zostało. A że sztuka była francuska, żadne „Dziady” na przykład? Ono wzmacniało moją wiarę, dość wątplą już, że to może ostatnie takie prawdziwe jeszcze hej! niech jeszcze trwa! a może i tak zostanie!

Pan Reżyser ciężko chorował, premierę przeżył zaledwie o trzy dni. A czwartego wieczoru –

był to początek lata, panowały upały; a w historycznych wnętrzach, zwłaszcza w garderobie na strychu dla nas był niesamowity zaduch; przedstawienie trwało 4 godziny, każdy przynosił jakąś tam ćwiartkę w kieszeni, albo przynajmniej kruczek, na kruczki czyli 100 g sprzedawano jeszcze wódkę wtedy; trzeba było jakoś przetrwać.

Czwartego wieczoru akurat, ja też trochę wypiwszy, czekam za kulisą na wyjście; aż tu słyszę jakby coś... że nic nie słysząc! w teatrze na to się mówi „wata”! tam na scenie! Władysław Hańcza i Elżbieta Barszczewska skończyli dialogowanie i nic! powinien się tam zjawić I Student, którego grał... ale go nie ma! kątem oka patrzę, a on leży obok mnie, i owszem, chrząknął nawet, a na scenie kompletna wata! –

to i wyskoczyłem jak trzeba, z jego rolą, zawsze coś się pamięta z tego, co inni krzyczą obok, i –

– Obywatele Florencji! wrzeszczę, i szeptem i głośno, bo do wielkiego mówię Teatru – Obywatele Florencji! gwałcą wasze prawa, zniewalają lud! cedzę słowa starannie, zgłoska po zgłosce, by i na balkonie II wiedzieli, co teraz zrobić trzeba, niech każdy choćby coś! –

– ...gwałcą wasze prawa, zniewalają lud!

Jak zaagitowałem dwa balkony, to jeszcze i parter!

Wszakże to ja, podwójnie relegowany student, wiem co robić trzeba, ja najlepiej!

I we dwójkę, z III studentem, rozbiliśmy halabardników paru, i Oficera, choć ten szabli nie oddał („Dostałem dwa cięcia halabardą

w brzuch, przyjeżdżajcie natychmiast! ” dzwonił na Pogotowie, zaraz po zejściu, jednak o własnych siłach) – –

no i takie musiało być, jak powinno! moje podziękowanie Pani Kazimierze Rychterównie, za rzetelnie prowadzony „Kurs żywego słowa”, i dla Maestro za świetną reżyserię, już śp., bo nie żył.

Taki to był, jak dziś nazywam, mój pierwszy nawis myślatywny, oddany dla nich, za ziarno w ugor rzucone, do zakiełkowania we mnie, dla rozwinięcia, zachowania.

Nagrodą prawdziwą okazał się dla mnie i koncert nie byle kogo, bo pana Stanisława Szpinalskiego; był nadwornym muzykiem w teatrze, a poznaliśmy się podczas wycieczki do Żelazowej Woli, którą zorganizował teatr właśnie; ja już tam nie pracowałem, bo odmówili mi podwyżki, ale się załapałem, wsiałem do autokaru z nimi, no i było po co! Na miejscu, jakby dla nikogo więcej, pan Szpinalski grał dla mnie Chopina, kontrolując repertuar trochę podług reakcji w moich oczach, bo nie ukrywam, nieźle mną wstrząsnął!

ale ja reagowałem też jeszcze na towarzystwo jego córunki siedemnastoletniej, panny Małgorzaty; choć ona na mnie ani spojrzała; może ze względu na różnicę wieku, miałem już wtedy pełne 20 lat! Tak myślę; jeżeli kiedyś zreflektuje się jeszcze, to się odezwie.

2

A czy zauważacie Państwo, jak dziś nasz język jest kaleczony?

Zbyt wiele osób sepleni, zwłaszcza Pań, a to nieładnie; i robią tak w różnych tam tиви, gdzie nikogo to nie obchodzi; w filmie polskim, w co drugim, nawala dźwięk, coś tam burmyczą, ledwie można zrozumieć; (nie można by tych marnych dźwiękowców, jeśli są już po 60. roku życia – posłać na emeryturę zaniżoną!);

a druga sprawa: jak dziś ktoś pobędzie za granicą z pół roku – to i akcentowania polskiego już niby zapomniał, przyjeżdża i akcentuje ostatnią sylabę zazwyczaj, bo z niego już taki Angol, polskiego wyparł się! do Polski on tylko przez przypadek przyplątał się. Dotyczy to wielu sprawozdawców sportowych, a i nie tylko; zaś taki Mariusz Max Kolonko w Ameryce już jest kilkadziesiąt lat – a dotąd mówi czysto, pięknie. Nie lebiedzi. Ma chłop charakter!!

...gdy tutaj w ogóle już nie używa się formy „mnie”, co jest obowiązkowe, gdy występuje w pozycji akcentowanej! a tu już zawsze mówi się tylko „mi”!

Dlaczego tak? Długo zastanawiałem się nad tym.

Bo nastąpił już, dość powszechnie, zanik podmiotu. U tego, który się wypowiada. Powszechny zanik podmiotu! Brak indywidualności, by mówić coś od siebie!

To jakby człowiek przestał istnieć w pionie, a wegetuje jeszcze tylko w poziomie, jak leżący za płotem gościuń!

Kiedyś zawsze był podmiot. I gdy jest żywy człowiek – i podmiot powinien być!

„Skąd wracali Litwini? ...”.

Mistrz-Autor wyraźnie wskazuje na podmiot. Lit-wi-ni!

Ja też byłem Litwinem kiedyś. Jako bojar Ginwid! I tym samym podmiotem zostałem. Jako Polak z wyboru.

„Skąd wracali Litwini? Z nocnej wracali wycieczki! ”. To wiem i pamiętam, sam nieraz udawałem się z wycieczką, i to nocą, do puszczy na przykład, parę razy, sam. To jest inny las wtedy! I w góry też, do szczytu wędrowałem sam.

Dla mnie zawsze i wciąż „mnie” jest zaimkiem podmiotowym; występuje w pozycji akcentowanej, wyłącznie! A „mi” jest drugorzędne, zależne, dotyczy wszystkiego co obok.

To dlaczego dziś tak wszyscy mówią tylko „mi”? Z dwóch powodów; jeden już znacie; a drugi to z samozaparcia, upodobnienie do angielszczyzny, „ja – Angol już!”.

Już i nie doceniamy mądrości języka! Bo on sam potrafi nas wybierać do przeznaczonych ról.

Kiedy indywidualność zastępuje postawa bierna, kulturę osobistą kciukanie palcem po tablicy, z niemą twarzą; kiedy i „dobra zmiana” niewiele przyniosła zmian – a w wydawnictwach trwa dezynsekcja głównie, odszczurzenie po poprzednikach; zaś ci wydawcy, którym i nieźle się wiodło, teraz w posły idą –

tedy na festiwalu „Dwa teatry” odbywają się sympozja poświęcone literaturze izraelskiej, hiszpańskiej, azjatyckiej, włoskiej; brakuje tam jedynie... polskiej –

czy jej już nie ma?

czy sięgnąć po nią to za wielki trud!

a może to wymaga jednak jakiejś rewizji nastawienia? i własnego podejścia –

także do siebie, zmiany poglądów.

...I do tego wszystkiego, gdzie potrzebny jest charakter.

A „skąd wracali Litwini?”

Przecie nie znikąd.

I podmiotów brak.

Patrzyłem ja na twarze tych z festiwalu, z Salonu. Co było widać?

Że Salon bez ciągłego powoływania się na cytaty z Herberta, Salon sam jest niemy.

Znają tylko powtórki, dawno już gdziekolwiek zapisane. Brak im słów własnych. „Bohaterami” nazywają przedmioty, ich fragmenty, nogi od fortepianu, klawisze.

A skąd wracali Litwini? Przecie mieli swój dom, do którego wracali!

Mój dom, ten poza lasem, do którego uczęszczam, nie zaistniał jeszcze nigdy. Mój dom powstaje ciągle w myśli. To projekt zatrzymany. Dom jedynie w myśli.

A skąd wracali Litwini?

Z nocnej wracali wycieczki.

A czy robiliście Państwo sami takie wycieczki do lasu, po górach?

Bo ja robiłem, a dzięki nim – też i fruwałem!

Mój prawdziwy dom musi powstać we własnej myśli najpierw! nie z założeń cudzych.

Dla mnie są to wszystko tematy, gdzie nie sposób nie użyć formy „mnie”.

3

Amerykanie uwielbiają francuski, „bo to język miłości”.

„Polska dla mnie jest ojczyzną. Język polski jest moim językiem. Ja byłam Polka. Polka bo tak mi się podoba!” – powiada i dziś piękną polszczyzną pani Ursula Biskowicz, Żydówka z Białegostoku przed wojną, obecnie mieszka w Australii. Bo język wymaga miłości. „Tęskniłam za Polską w fantastyczny sposób na Syberii!”.

Ale są tacy, którzy i dziś emigrują do Polski – by mówić naszym językiem. „Ja myślę po angielsku i po polsku, zależnie od sytuacji” – powiada „Dave z Ameryki”.

(Zobacz inne przykłady na Jutubie.)

„Chcę zmienić podejście obcokrajowców do Polski. Mamy świetną przyszlność przed sobą. Zróbmy coś wspólnego!” – powiada Patrick Ney, Brytyjczyk, dziś już czujący się Polakiem.

A inni chcą przejąć nasz kierunek dążeń, poznać nasz sposób myślenia.

„Jak podrywasz dziewczynę w Polsce, to rozmowa jest przyjemniejsza niż we Francji” – to Francuz mówi.

Tak bywało i niegdyś (vide państwo Chopinowie), także i dziś Francuzi emigrują do nas; i mówią nieźle po polsku, wcale nie żabodają!

bo u siebie narzekają na najazd emigrantów z Azji, Afryki, z ich dawnych krajów kolonialnych; przybyszom teraz francuski się przydaje, a rdzenni Francuzi mają kłopot, bo ci zabierają im pracę.

Można by tę sytuację porównywać i do naszej z czasów Pierwszej Rzeczypospolitej, „ojczyzny podług kultury” dla krajów na Wschodzie, którzy Polskę wybierali nawet nie ruszając się z miejsca; przejmowali nasz język czasem, kulturę, polonizowali się chętnie. Bo

„musi to na Rusi, a w Polsce jak kto chce!”, jak u nas się wie.

Polska ma być z wyboru, ludzka dla wszystkich. A Polaka język ma być giętki, jak pomyśli głowa. A człowiek ma myśleć docieklawie, a nawet stać się na tyle pryncypialnym, by zawsze umieć dotrzeć do sedna rzeczy! To wszystko jest niezwykle ważne w czasach, gdy z grubsza dziś wiemy już, jak działa Kosmos, on jest jak nieźle funkcjonujące przedsiębiorstwo! Polak zatem ma dorastać stopniowo do roli świadomego kosmity!

Ale ten ludzki kosmita ma się też i ukształtować nie za wcześnie – bo by nas sąsiedzi zaraz chcieli wysiadać stąd, wypchnąć z naszej ukochanej Ziemi.

A jak się ukształtować?

Możesz być i świętym niewierzącym, Bóg cię i tak zauważy. Bo będzie kogo! Bóg zawsze cię zauważy. Religia mało kiedy. Czy w Niego wierzysz, czy nie, Bóg cię zauważy. Dla religii jesteś jak owieczka.

Bo i pomyśleć tylko – czy ja bym się obraził na mrówkę, że mnie nie zauważa?!

A Polska to jest tam, gdzie będziesz się rozwijać.

Zacytowane zdanie, „Musi to na Rusi...” było i dla mnie pierwszą lekcją wymowy z domu.

A Polacy nie są agresywni; nigdy nie okupowali innego kraju, chyba że Moskwę, ale to jakby na próbę, tylko przez dwa lata. Żeby później kiedyś Jan Matejko mógł namalować, jak książę Wasyl Szujski bije pokłon przed królem naszym. Zaś my teraz, po przejściach niewspółmiernych, my nie nie

lubimy Rosjan! braciom Słowianom współczujemy chętnie, czasem chcemy im posyłać żywność, choć sami wolimy paczki otrzymywać z Niemiec, jak gdy tu był stan wojenny. I uważamy wciąż, że bez nas nie funkcjonowałaby Europa.

Proponuję zatem od dziś: zapisy do Europejskiej Partii Polskich Straży Pożarnych – niechaj Europa zacznie działać jak oni!

Zaś co do języka? z nim jest jak ze skłonnością do myślenia: chcemy być języczkiem u wagi.

Bo i kto by nie chciał!

A tu już, w radiu zlikwidowano występy językoznawców, muzykę polską nadaje się ciurkiem ale przed szóstą rano, gdy trwa cisza nocna! w mediach zaś trwają monologi przekrzykiwaczy, każdy, jak w Sejmie, stara się coś tam wytłumaczyć ścianie, bo ściana cierpliwa. Byle głośniejsze i byle szybciej się mówi, bo nikt nie jest ciekaw cudzej racji!

Więc i na język tych wypowiedzi mało kto zwraca uwagę. Choć są i inni!

Są tacy, co jeszcze uważają, wciąż jeszcze, że język to może być Piękna Pani,

to domena i owszem wymagająca wielkiej troski. Jak żywy organizm, który przez wieki potrafił być z nami, podtrzymywał nas na duchu w biedzie, gdy Inny chciał nami rządzić.

Język porównuje ludzi, nieraz zbliża ich ku sobie; a czasem zaoferuje Drugiemu jakiś niebywały punkt widzenia!

Abyś w złych nawykach nie skisł za bardzo, on i złe przyzwyczajenia atakuje, ośmiesza,

aż poczujesz się swobodniejszy, potrafisz w sobie odkryć zdolność do komitwy,

a jeśli i odpyskniesz czasem,

zaraz potem powiesz Przepraszam!, boś ty nie cham!

sam wybierzesz, na co cię stać!

bywasz tym i owym.

5 lipca 2018
Jacek Pankiewicz

Alicja Patey-Grabowska

Śnieg gorejący

(fragment książki przygotowanej do druku)

Część I

– Polska!

– Polska! – krzyki. Petardy.

Dym. Huk. Krzyk:

– Polska!

Podnosi ręce. Wymachuje biało-czerwonym szalikiem.

Pomnik Dmowskiego spowity dymem.

Jego kamienna twarz spoza zasłony dymu, nieprzenikniona, ascetyczna, zwrócona w stronę tłumu. A tłum?

Młodzi, w panterkach, w większości głowy nagie, bezwłose, podkreślające męskość, testosteron. Nie tak jak tamci, brudni w ich mniemaniu, z włosami jak stronki spadającymi na ramiona. Skobieciali. Ni to, ni owo.

– Polska! Polska!

Natęży głos. Wyrzuca ręce do góry. Potrząsa blond czupryną. On włosów nie zgolił. Jest indywidualistą.

Z boku tłumek napierający w milczeniu. W rękach kwiaty lub zapalone świece.

– Wynocha! – krzyczą ogoleni.

– Tolerancja! Tolerancja! – odpowiada tłumek.

Napierają na siebie. Gasną świece. Opadają kwiaty.

Rytmiczny łoskot pałek uderzających w metalowe tarcze.

To policja. Tłum faluje.

I nagle przed nim, wysokim „panterowcem” drobna dziewczyna. Sarnie oczy, czarne kosmyki włosów osłaniające twarz. Pełne wargi rozchylone w cichutkim pisku:

– Tolerancja!

Pchnięta przez tłum wpada na niego. Prosto w jego ramiona. Przywierają do siebie. Sarnie i błękitne oczy stopiły się w zadziwieniu. W zachwycie.

Tak nagle? Co? On nie wie.

Huk petardy ogłusza. Obejmuje ją ramieniem. Robi się niebezpiecznie. Musi ją chronić. Dlaczego? Właśnie ją?

Przecież to chyba lesba. Libertynka. Śmieć.

Myśli jak osy, kłujące.

Wbrew sobie przyciąga ją do siebie. Otacza ją ramieniem, nachyla się nad jej głową, jest dużo wyższy, bardzo wysoki.

Krzyczy prosto do jej małego – zauważa – uszka:

– Idziemy! Tu niebezpiecznie.

– Przepycha się przez tłum. Poprzez dym, huk. Cały czas otacza ją ramieniem.

A ona z nim.

Z kim? Z kim ja idę? – myśli przerażona. – Z tym w panterce, jakimś nawiedzonym fanatykiem. Dzikusem?

Myśli jak osy. Ale nie opiera się. Idzie. Dziwnie bezpieczna. Zauroczona.

Jest męski. Piękny. Taki odwiedzał ją we śnie.

Pierwsza miłość? A więc to tak?

Weszli na schody wiodące w dół, do trasy.

Stanęli. Wypuścił ją z ramion.

– Bernard jestem.

Przedstawił się tak staroświecko. Po rycersku – Sandra – szepnęła.

I nagle ona:

– Lubisz zwierzęta?

– Zaczęła szukać punktu zaczepienia, czegoś, co połączy, a nie podzieli.

Czekała w natężeniu, jakby odpowiedź miała zaważyć na jej przyszłości. Na dalszym ciągu. Czego?

– Lubię – odpowiedział zdziwiony.

I poczuł radość. Dlaczego? Co się dzieje?

– Mam psa.

– A ja kota. Jestem wolontariuszką. Działam w Towarzystwie Przyjaciół Zwierząt.

– I ja. – odpowiedział. Cholera, kłamię, pomyślał.

– Daj mi mail lub numer telefonu.

– Okey, okey, masz.

Ręce się trzęsą. Dobrze, że jest długopis i jakaś kartka. Jakiś bilet.

– Polska! Polska!

Krzyk. Huk petard.

– Polska! – krzyknął.

- Polska! – zawtórowała.
- Spowił ich dym. Poproszył śnieg. Zasypał. Zawiał nienawiść.

Część II

Otwiera komputer. Uruchamia Skype.

Na ekranie komputera znajoma uśmiechnięta twarz o wielkich, sarnich oczach. Czuje przyspieszone bicie serca.

- Witaj, Sandra.
- Cześć, Bernard. Wszystko okey?
- Okey.
- Spogląda w okno.
- Ale śnieżyca.
- Ale jest super.
- Niedługo matura.
- Dopiero w maju. Ale tak. Pracuję.
- Chcesz pojechać w ferie w góry?
- Chyba tak.

– Jeździsz na nartach?

– Tak. A co teraz robisz?

– Piszę biografię pradziadka. Dla historyka.

– Pradziadka?

– Tak. Był w AK. Zamordowany. Po wojnie, jeśli chcesz wiedzieć.

– Zamordowany? Przez kogo?

– A kto mordował Akowców?

– No, nie wiem.

– Nie wiesz? A twój pradziadek?

– Zamordowany.

– Przez kogo?

– Był komunistą.

– Ach! Kurza mać.

– Może przez Twojego pradziadka.

– Nie bredź. Przepraszam. Historia mnie czasem wkurza.

– Mnie też. Mam dość.

– Ale trzeba znać przeszłość.

– Lepiej, żeby śnieg przyprószył.

– To co, jedziemy w góry? Do Zakopca? Popracuję w Murowańcu. Będę miał kasę.

- Będę miała kasę. Staruszkowie dadzą.
 - Wiadomo, komuchy wciąż mają kasę.
 - Nie obrażaj mnie. Bo się nie zobaczymy.
 - Nie strasz. Tak ładnie się zaczęło.
 - To prawda.
 - Podobasz mi się.
 - Ty mnie też.
 - To świetnie. Nauczę Cię patriotyzmu.
 - Nie trzeba. Jestem patriotką.
 - Miłośniczką zwierząt, partii Zielonych.
 - A ty nie? Mówiłeś, że masz psa.
 - No tak, okey, okey. Wygaduję bzdury. A więc jedziemy w góry. Razem.
 - I śnieg zasypie nienawiść.
 - Ale nie miłość. Chyba się zakochałem w Tobie.
 - Cieszę się.
 - Całuję. Pa.
 - Pa.
- Komputer wyłączony.

Część III

Za oknem śnieg

Siedzi w fotelu zamyślona, wpatrzona w okno, za którym wiruje śnieg. Dzwonek do drzwi. Wstaje. W progu stoi wnuk.

Dobrze, że przyszedł. Dzisiaj dopadł ją smutek. Poczuła dotkliwą samotność. A za oknem śnieg.

– Cześć, babciu!

Cmok w policzek.

Jaki on ładny, pomyślała. Wysoki blondynek, cały ośnieżony. Nawet na rzęsach płatki śniegu.

Rumiany, roześmiany.

– Cześć, babciu.

– Cześć. Dobrze, że jesteś. Dziś tak jakoś...

– Źle się czujesz?

– No, nie. Tylko widzisz... No, nic takiego.

– To super. Acha, przyszedłem, aby ci powiedzieć... Wyjeżdżam. Zamarła. Serce przyspieszyło rytm.

– Wyjeżdżasz? Dokąd? Przecież egzaminy, matura.
 – No, wróć. Jadę na Majdan.
 – Dokąd? Na Majdan?
 – No tak. Do Kijowa. Trzeba ich wesprzeć. Oglądasz babciu dzienniki? Wiesz, ile tam ludzi? Pół miliona! W dzień i w nocy! Chcą wolności. Przyłączyć się do nas...

Mówił jednym tchem. Podniecony. Rozgorączkowany.

– Chwilkę. Siadaj. Z kim? Po co?
 – Jadę z Sandrą. Po co? Żeby wesprzeć.
 – Żeby wesprzeć – powtórzyła.

I oto nagle zaczęły wyłaniać się jak z mgły obrazy, które zepchnęła na dno. Wymazała z pamięci. Zbyt straszne, by pamiętać.

Jest małą dziewczynką. Biegnie z babcią w stronę stawu. Szybciej, szybciej, świszczący oddech babci. Potyka się.

Krzyki. Przeraźliwe.

Płoną chaty. Jedna po drugiej. Jedna po drugiej.

Biegną cienie z pochodniami. Gardłowe okrzyki.

Babcia trzyma ją za rękę. Wskakują do wody.

Brr – zimno.

– Wstrzymaj oddech, wstrzymaj oddech.

Ręka babci na jej głowie. Zanurza.

Woda wdiera się do uszu. Nie wytrzyma. Musi odetchnąć. Na chwilę.

Wynurzają się. Cienie biegną z pochodniami. Ogień oświetla straszne, wykrzywione twarze.

I znów pod wodą. Jeszcze chwilę. Jeszcze trochę. Uff... łapczywie chwytają tlen.

Od ścieżki zasłaniają trzciny. Woda stawu pełna migocącego blasku, czerwona od łuny.

Zanurzone w wodzie, tylko głowa co parę sekund na powierzchni, aby zaczerpnąć powietrza.

A tam ogień. Krzyk. Huk.

Ogień. Krzyki. Huk wystrzałów.

A potem cisza. Pełnie czerwona łuna po wodzie.

– Chyba poszli – szepcze babcia.

Nie pamiętam jej twarzy. Tylko włosy, siwe, mokrymi kosmykami opadające na oczy.

Oczy niebieskie z rozszerzonymi źrenicami, w których czał się strach. I głos. Ciepły, serdeczny, głos babci.

A teraz ona jest babcią. Tamten obraz, który nagle wyłonił się, jaskrawy, wyrazisty z dna mroku, a który wymazała w niepamięć, w niebyt, wyłonił się. Po co?

– To niemożliwe! Po co tam jedziesz? – Wykrzyknęła ostro. – Czy wiesz, że ledwie uszłam z życiem? Że twój pradziadek, jego bracia i siostry...

Och, dlaczego to mówi?

Stał i patrzył zdumiony.

– Nie mówiłaś mi o przeszłości rodziny. No tak, wiem, czytałem o tych okropnościach... Ale to było dawno. Babciu, teraz to inne czasy. Inny naród. Młodzież nie ma nic do tego, co było. Jadę z Sandrą.

– No tak... No tak – powtarzała trochę bezmyślnie. – Inne czasy... młodzież... Uważaj na siebie – szepnęła. – Dobrze, że z Sandrą. Rozsądna dziewczyna.

– Prawda? Fajna – ucieszył się. – Więc jedziemy. Jutro.

– Uważaj na siebie. Uważaj. Ciepło się ubierz.

Śnieg.

Zamiecie i zawieje przeszłość – pomyślała.

Alicja Patey-Grabowska

Antoni Pieńkowski

Syzyf i dynia

Ogromne pomarańczowożółte dynie skrzyły się pod zielonymi liśćmi przypominającymi olbrzymie liście łopianu. Dopiero po skrupulatnym rozejrzeniu się po całym gąszczu, najlepiej po przykucnięciu, dostrzec można było tu i ówdzie nieśmiało wyglądające na światło dzienne małe kawałki dorodnych owoców. Przez całe lato dynie rosły w ukryciu, cały czas maskowały się, wypuszczając niezliczone ilości pędów. Wszystko po to, aby kiedyś tam, najczęściej w ostatnich słonecznych dniach października, wprowadzić swoją wielkością w jak największe zdumienie kogoś, kto wiosną włożył nasiona do ziemi.

Przechodzimy z ojcem obok dyniowego zagonu, ani on, ani ja nie mamy odwagi, aby tak zwyczajnie, prosto z marszu, wejść w ten zielony splełany gąszcz. Ostrożnie rozchylamy liście z samego brzegu.

– Patrz, jaka duża! Trzydzieści kilo jak nic!

– O, a ta jeszcze większa!

Dawno nie widziałem ojca tak zadowolonego. Bo i z czego miałby się cieszyć? Upalne lato, słońce spaliło ziemię na popiół, ziarno w kłosach było zdrobniałe, a ziemniaki małe jak korale. Pogoda tego roku sprzyjała tylko dyniom, ta roślina wprost uwielbia ciepło.

Ojciec unosi do góry pierwszą dużą dynię, trzyma ją w dłoniach oburącz, pewnie chciałby unieść ją jeszcze wyżej. Twarz mu tężeje, napina mięśnie, żyły wychodzą na wierzch, oddycha coraz szybciej. Wreszcie bezradnie zniża kolorową kulę, dyskretnie opiera o lekko zgięte kolana i powoli krok po kroku, rusza w stronę wozu.

Kasztan i kasztanka gwałtownie szarpnęły wozem, coś je zaniepokoiło, a może najzwyczajniej w świecie przestraszyły się tej wielkiej dyni. Konie od wczesnej wiosny do późnej jesieni wykonują bardziej prozaiczną robotę: ciągną pług, brony, kultywator, kosiarkę, wozy z sianem, ze snopami zboża, kopaczkę do ziemniaków. Wóz pełen dyni tylko jeden raz w roku. Trudno mieć do nich pretensje, że najzwyczajniej w świecie już na sam widok tych okazałych, okrągłych owoców w ich oczach pojawia się coś, co przypomina strach. Konie nie muszą wiedzieć, że te największe owoce mają w sobie

dużo ciepła, są bardzo przyjazne człowiekowi. Ich kulista wielkość jest rekompensatą za dosyć marne plony tegorocznego lata.

Słońce wzbija się w górę, przyjemny wiatr do woli grasuje po naszych twarzach, ochładza, czyni przyjemniejszą ostatnią pracę przy zbiorach w polu. Nosimy i nosimy, ręce w stawach mdleją z wysiłku, ocieramy ukradkiem pot z czoła, aby nie wyszło na jaw, że męczymy się przy tej, tak na pozór babskiej robocie. Zbiór dyni nie ma w sobie ani odrobiny heroizmu gorących dni żniw, ani nawet pracowitego mokołu zbierania bulw ziemniaczanych.

Olbrzymi stos owoców pnije się w górę z każdą minutą, pęcznieje, przypomina wielki balon sklejonny z kawałków.

Kasztan niepokoi się, nerwowo grzebie kopytem w ziemi, zniża łeb, brzęczy kielzno, kantar zsuwa się do połowy, do miejsca, gdzie kończy się biała gwiazdka. Kasztanka co i raz wykrzywia łeb, zerka jednym okiem do tyłu, chyba ocenia, czy ten ładunek nie będzie zbyt ciężki do przewiezienia.

Posuwamy się w głąb dyniowego zagonu. Tam dalej dynie coraz większe. Rozłożyły się na ziemi wygodnie, jedna blisko drugiej, a niektóre nawet tulą się do siebie jak para kochających się bliźniaków w kołysce. Pewnie przez całe lato konkurowały o każdy promień słońca, a może nawet – kto to wie? – kłóciły się, by każdy promyczek skrupulatnie podzielić na pół. Teraz czeka je taki sam los: jednym pociągnięciem ostrego noża zostaną lada moment odcięte od łodygi i powędrują na wóz.

Rozkoszuję oczy widokiem dyni i czuję, że ogarnia mnie coś w rodzaju zazdrości. Te owoce rosły sobie spokojnie, nikt im w tym nie przeszkadzał, nikt nie udzielał im tak zwanych dobrych rad na wiosnę, lato i jesień. Cieszyły się słońcem, piły krople deszczu, zachwycaly się obfitą rosą poranną. Teraz też są pogodzone ze swoim losem, skwapliwie oddają się w dłonie ojca i moje.

– Patrz! Ale okaz! – błogą kontemplację przerywa okrzyk ojca. Schylił się nisko do ziemi, stoi jak zaczarowany. Przed nim dynia o średnicy co najmniej jednego metra, prawdziwy rarytas, skrzętnie zamaskowana ozdoba pola.

Podbiegam, gapię się z niedowierzaniem.

Ojciec unosi nóż do góry, z impetem uderza w łodygę. Kładzie dłoń na olbrzymim cieple dyni, próbuje ją poruszyć, wyturlać z dołka, który powstał pod nią, pod jej ciężarem. Ale olbrzymi owoc nie ma nawet

najmniejszego zamiaru poruszyć się z miejsca, leży nieruchomo, niczym olbrzymi głaz na środku polnej drogi. Próbujemy obydwaj ją rozhuścić, napinamy muskuły, ale największa dynia w najlepsze kpi sobie z naszych starań i wysiłków.

– Weźmiemy ją sposobem! – oświadcza lekko poirytowany ojciec.

Bierze z wozu deskę, tę na której zawsze siedzi, kiedy kieruje końmi. Podkłada pod dynię, z drugiej strony kładzie duży kamień. Naciskamy obydwaj na sterzący w górę koniec deski i – hop! – wyrywamy ten dyniowy okaz z wgłębienia. Dynia nareszcie jest nasza, teraz już nie wymknie się nam z rąk. My na to nie pozwolimy.

Powoli, centymetr za centymetrem, turlamy ją w kierunku wozu.

Ojciec staje z jednej strony, ja z drugiej.

Natężamy wszystkie siły, oczy wychodzą nam z orbit – chyba nawet trzeszczą – a dynia nawet o jeden milimetr nie uniosła się do góry.

– Wturlamy ją po desce! – komenderuje ojciec.

Prawie dwumetrowej długości deskę opieramy mocno o tył wozu.

– Odpinaj orczyki!

– Po co? Co to da?

– Konie mogą się przestraszyć, ruszą do przodu, dynia spadnie z deski i może się rozbić – wyjaśnia ojciec.

Robię to, co każe, bez szemrania.

Mocno zapieramy się czubkami butów w twardy gliniasty grunt, nabieramy głęboko powietrza i powolutku.

– Razem! Razem! – pokrzykujemy i wsuwamy ten wspaniały okaz na szeroką deskę.

– Stój! Jedną chwilę! – ojca coś zaniepokoiło.

Ogląda deskę, przesuwa palcami, ocenia, czy wytrzyma ten wielki ciężar, który za chwilę na nią wtoczymy.

– Dobra, dawaj!

Uff, ale ciężko! Owoc pełen wszystkich kolorów lata jest już na desce. Pięć, dziesięć, dwadzieścia centymetrów! Nic nie mówimy. Trwa cisza jak przed burzą. Nie spoglądamy na siebie. Jedynie ukradkiem każdy z nas zerka kątem oka na deskę. Oblicza, jaki kawał roboty za nami. A tu zaledwie bardzo skromny kawałek. Każdy z nas widziałby tę niesforną dynię już na wozie, w deskach. Mocujemy się z nią niczym legendarny Syzyf z kamieniem. On co wtoczył kamień, to ten mu staczał się z powrotem. Nasza dynia ma w sobie też coś z tamtego kamienia. My ją o kilka centymetrów

do przodu, a ona chociaż jeden centymetr do tyłu. Najzwyczajniej nieco osuwa się po desce. Cóż, takie jest prawo grawitacji, przyciągania.

Trochę złości nas ta robota. Całe szczęście, że jesteśmy sami na polu. Wokół pola i łąki, pusto, nigdzie ani jednego człowieka. Cieszymy się z ojcem po cichu, że nikt nie widzi tych naszych zmagañ. Gdyby ktoś widział, to dopiero byłby śmiech na całą okolicę. – Dwóch takich chłopów, a jednej dyni nie mogli dać rady – poszłyby plotki. Ale chyba dociera do nas świadomość, że ktoś mógłby nadejść. Blisko jest ścieżka, taka zwyczajowa droga, ludzie chodzą nią od lat ze wsi do wsi. Mocniej zapieramy się o twarde grunt. Dynia przychyła się na prawą stronę, deska lekko poskrzypuje, strach zagląda nam prosto w oczy.

Coś zaniepokoiło konie, strzygą uszami, dreszcze nam biegają po plecach. Miętko robi się w środku. Kasztanka oparła się bokiem o dyszel, zaskrzypiało, wóz zadrżał. Chyba te odgłosy dodały nam siły. A może przypięty skrzydła do ramion, o jakich od najdawniejszych lat marzą ludzie spragnieni chociażby odrobiny jakiegokolwiek sukcesu. My dzisiaj realizujemy ten legendarny mit Syzyfa. Musimy dać radę dyni.

Dynia na wozie. Wreszcie!

Zacieramy ręce z uciechy. Obkładamy ją mniejszymi, one pewnie czują się jak dwórki wokół królowej wygodnie usadowionej na dnie wozu, w jego tylnej części. I dopiero teraz tak naprawdę dostrzegamy jej nadnaturalną wielkość.

– Taka duża nigdy jeszcze nie urosła – z dumą stwierdza ojciec.

Konie idą noga za nogą, ojciec szarpie lejcam, wóz toczy się powolutku, ogromna dynia kołysze się, dookoła niej te nieco mniejsze podrygują, ale tak jakby nieśmiało.

– Ale okaz! – ojciec raz jeszcze cmoka ustami z podziwu, chyba gotów jest nawet zaklaskać w dłonie z uciechy.

– Ziemia dała piękny owoc – wzdycha, sapiąc z zadowolenia.

A życie? Czy życie może na koniec dać wspaniały, ogromny sukces? – rozmarza się.

I bez słowa obydwaj z niegasnącym podziwem nie spuszcza wzroku z tej największej, imponującej dyni tegorocznego lata.

Antoni Pieńkowski

Danuta Sękalska

Cudzoziemka czy dama Rzeczypospolitej

*(fragment większej całości *)*

Nowy rozdział: emigracja

Historia brała ostry zakręt...

Wojna się skończyła. Ale, jak to ujęła Kuncewiczowa, skończyła się tylko dla niektórych. Nie było wśród nich Polaków. A zwłaszcza skupionych wokół rządu londyńskiego polskich uchodźców, którzy nie zaakceptowali przesądających los Polski uzgodnień w Teheranie i w Jałcie i w większości zdecydowali się na emigrację.

Jerzy Kuncewicz, który przez wszystkie lata na uchodźstwie we Francji i w Anglii tkwił w głównym nurcie polityki legalnego rządu polskiego i zabiegał o urzeczywistnienie swojej wizji powojennej Polski jako części federacji państw Europy Środkowej, w *Post Scriptum* na końcu pisanej w latach 1942-1945 książki *Meeting with To-morrow* (polski tytuł *O pełne wyzwolenie człowieka*), wydanej w 1945 roku¹, z poczuciem głębokiego tragizmu ocenił sytuację świata po zakończeniu wojny. Nie on jeden wtedy tak myślał.

Głosił, że „przepaść dzieli wzniosłe deklaracje politycznych i społecznych instytucji Zachodu, oświadczenia demokratycznych mężów stanu, przesłanie międzynarodowego braterstwa Karty Atlantycznej od cynicznej kapitulacji przed brutalną siłą, której wyrazem były porozumienia z Teheranu, Jałty i Poczdamu”. Że „miliony ludzi zostały pozbawione ziemi, która ich żywiła i dóbr wytworzonych przez nich i ich ojców”. Że „bomba atomowa wydaje się jedyną gwarancją bezpieczeństwa międzynarodowego, a szlachetne poświęcenie żołnierzy wierzących w człowieczeństwo zamieniono w absurdalną rzeź”. I że „zbrodnia zatriumfowała nad rozsądkiem i miłosierdziem”. Lecz Jerzy Kuncewicz nie traci nadziei, że triumf ten okaże się krótkotrwały.

* Kontynuacja książki pt. *Cudzoziemka czy dama Rzeczypospolitej. Moje bliższe i dal-sze spotkania z Marią Kuncewiczową*.

Margaret Storm Jameson, angielska pisarka, serdeczna przyjaciółka Kuncewiczów, po przeczytaniu książki, którą bardzo wysoko oceniła, napisała Jerzemu: „Chciałabym, żeby kilka egzemplarzy tej książki ukryto w bezpiecznym miejscu, o ile jest takie miejsce, żeby, jeśli pochłonie nas kataklizm, jakiś daleki potomek je znalazł i usłyszał nasze głosy, głosy naszego czasu”.²

„Historia brała ostry zakręt – to głos Marii Kuncewiczowej – propaganda zajmowała informację, racje osobiste brzmiały śmiesznie, z popiołów ideologii wstawały państwa, jednookie cyklopy, i kalekim truchtem podążały na targowisko, gdzie handlowano miastami, rzekami i duszami”.

Nastroje zrozpaczonych uchodźców bez domów i przyszłości w ojczyźnie celnie oddaje krótka scenka w *Fantomach*³; kiedy ludzie tańczyli na ulicach, świętując koniec wojny, pisarka, przebywająca wtedy w swojej ulubionej Kornwalii, zapuściła story i cały ten festyn przeleżała w łóżku.

Dnia 8 czerwca 1945 roku PEN Club angielski wydał przyjęcie z okazji zakończenia wojny. Według Alicji Szałagan⁴ było to zarazem pożegnanie PEN Clubów z kontynentu, które znalazły schronienie w Wielkiej Brytanii na czas wojny. Gości powitał Desmond MacCarthy, przewodniczący Centrum Brytyjskiego, potem przemawiali przewodniczący klubów, wystąpiła też Maria Kuncewiczowa. Mówiła o ogromie trudnych problemów, wobec których znaleźli się liczni Europejczycy w wyniku układu pokojowego. Zadała dramatyczne pytanie, czy wszyscy uchodźcy mogą powrócić do swoich ojczyzn i pracować, jak nakazuje sumienie wolnych ludzi. Maria wcześniej jako przewodnicząca PEN Clubu podpisała protest organizacji polskich na obczyźnie przeciwko postanowieniom Jałty w sprawie granic Polski i jej powojennego ustroju. Jednak musiała się wycofać z tej akcji, gdy odezwały się głosy, że PEN Clubom nie wolno mieszać się do polityki.

„Podczas tej kolacji na co właściwie czekałam?” – zastanawia się Maria w *Fantomach*. – „Mieszkanie na placu Trzech Krzyży przestało istnieć. Dom w Kazimierzu oddałam fantomom. Belgowie, Francuzi, Czesi, dobrzy Niemcy siedzieli już nie tyle na krzesłach, co na walizkach, w ich głosach drżała chęć odwrócenia się plecami do wojny i do nas”.

Kiedy z kraju nadeszły wiadomości, że Jan Parandowski odtworzył polskie centrum PEN w Warszawie, Kuncewiczowa w 1945 roku zrezygnowała z funkcji prezeski Polskiego PEN Clubu, co wywołało niezadowolenie wielu osób z polskiej emigracji uważających, że powinny istnieć dwa polskie centra Maria Danilewicz w *Szkicach o literaturze emigracyjnej*⁵ pisze z przekąsem: „Pen Club emigracyjny podzielił losy rządu RP – został

brutalnie zamordowany, a główny odpowiedzialny, Hermon Ould, tyle że dramatycznie rozkładał ręce przy akompaniamencie bardzo cichych westchnień Marii Kuncewiczowej”.

Jesienią 1945 roku Międzynarodowy PEN Club oficjalnie uznał Polski PEN Club w stolicy Polski i w czerwcu 1946 roku cofnął uznanie Polskiemu Centrum emigracyjnemu. Niemal przez rok po zakończeniu wojny PEN Club emigracyjny funkcjonował pod prezesurą serdecznego przyjaciela Marii, Stanisława Balińskiego. Dnia 21 listopada 1945 roku Baliński wysłał Marii oficjalny list z podziękowaniem za jej ofiarną pracę w PEN Clubie w czasie wojny.

Wracać czy nie wracać?

Gdy w lipcu 1945 roku Wielka Brytania i Stany Zjednoczone cofnęły uznanie polskiemu rządowi emigracyjnemu, zarazem udzielając je Tymczasowemu Rządowi Jedności Narodowej pod kontrolą komunistów, polscy wychodźcy w Wielkiej Brytanii, w Niemczech, Francji i Stanach Zjednoczonych stanęli przed dylematem: wracać do kraju czy nie wracać?

Maria Kuncewiczowa w wywiadzie radiowym⁶ z maja 1955 roku mówiła: „Decyzję taką każdy musiał powziąć sam za siebie, w ciszy własnego sumienia, i wydaje mi się, że w większości wypadków przyczyna niepowrotu była w najgłębszym tego słowa znaczeniu osobista. Ludzie starali się uczciwie zbadać swoje dane psychiczne i fizyczne i zrozumieć, co jest dla nich ważniejsze: wartości ogólnoludzkie, takie jak swoboda myśli i słowa, zaufanie do przyjaciół, prawo do osobistych i politycznych błędów, prawo do nędzy raczej niż pracy przymusowej – czy też wartości czysto partykularne, a więc wierność państwu, jakiegokolwiek by ono nie było, przyrodzie rodzimej i obyczajowi rodzinnemu”.

Witold Kuncewicz, który po inwazji aliantów na wybrzeże francuskie w czerwcu 1944 roku został zaangażowany przez Ministerstwo Transportu Wojennego do służby przybrzeżnej w Afryce Zachodniej, pływał wtedy jeszcze na statku s/s „Lida” utrzymującym komunikację wzdłuż Zachodniego Wybrzeża Afryki od Konga po Dakar. Już po konferencji jałtańskiej w lutym 1945 roku Witold zdał sobie sprawę, że na powrót do kraju trudno liczyć i że, jak wielu młodych Polaków, musi od zera zaczynać życie na obczyźnie. Wiadomość o uznaniu rządu prowizorycznego w liście do matki z Lagos 6 lipca 1945 roku skomentował z typową dla niego powściągliwością: „przykro i szkoda, że wysiłki i praca bardzo jednak dzielnych ludzi tak

strasznie poszła na marne”. A jeszcze w lutym łudził się, jak wielu uchodźców, że w Polsce powstanie rząd prawdziwie demokratyczny i donosił rodzicom: „U nas wszyscy (marynarze) są za naszym rządem i mówią, że na innych statkach może być max. 25% tamtych”.

Witold już od pewnego czasu snuł plany pracy w tropikach lub wyprawy szkunerem z kolegą Kopciem na antypody. W jednym z wcześniejszych listów zwierzał się: „Muszę Wam powiedzieć, że jakoś coraz więcej myślę o Południowej Ameryce. Być może jest to prawem kontrastu z tutejszym natłoczeniem, parszywym klimatem, skompleksowanymi, degenerującymi się z wolna ludźmi (mam Anglików na myśli zarówno). Tam cudowne słońce, owoce, naród dobry i prosty”. Upłynęło jeszcze kilka lat, zanim Witold zdecydował się opuścić Anglię i wyjechać do Ameryki, ale Północnej, gdzie wcale nie czekała go sielanka.

Jerzego Kuncewicza, który był jednym z czołowych działaczy na obczyźnie i politykiem rządu emigracyjnego, członkiem i wiceprzewodniczącym Rady Narodowej, ważnym ideologiem ruchu ludowego, w kraju niewątpliwie czekałby tragiczny los, jak kilkadziesiąt tysięcy aresztowanych i kilkuset skrytobójczo zamordowanych ludowców.

Jednak nie wszyscy uchodźcy wybrali emigrację. Z Mikołajczykiem, wicepremierem i ministrem rolnictwa w warszawskim Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej, wyjechała grupa ludowców, do ojczyzny wróciło też sporo wyższych oficerów i żołnierzy. Rozstał się z Anglią zaprzyjaźniony z Kuncewiczami Ksawery Pruszyński, różnice poglądów politycznych oddaliły od siebie Marię i Antoniego Słonimskiego, który wprawdzie mieszkał jeszcze za granicą, ale związany był z nowymi władzami polskimi, a na stałe wrócił do kraju w 1951 roku. Julian Tuwim w drodze ze Stanów Zjednoczonych do Polski zatrzymał się w Anglii.

Maria opowiada w *Fantomach* o spotkaniu z Tuwimem w hotelu na Warrington Crescent w londyńskiej dzielnicy Maida Vale. „Po wojnie siedzieliśmy tu przy kolacji – Słonimscy, Baliński, Feliks, my z Jerzym, fetując Tuwima, który przejazdem w Londynie, zmierzał z Ameryki do Polski. Każde z nas spodziewało się czegoś innego i od osobistego, i od wspólnego losu. Rozmowa była dowcipna, jałowa, potrawy stygły”. Witold też spotkał się z poetą i w liście z 3 czerwca 1946 roku pisał matce: „Co do Tuwima, gdy zadzwoniłem, b. się ucieszył i zaraz kazał mi przyjść. Gdy wszedłem, oczy mu po tuwimowsku zabłyśły. Gadaliśmy długo o moich podróżach, o klimacie duszy przeciętnego człowieka, o tym, co się dzieje na świecie etc. O Mamie Tuwim wyrażał się z wielkim uwielbieniem. Na zakończenie

powiedział mi: ‘życzę panu, marynarzu drogi, by był pan równie wielkim marynarzem, jak pańska matka pisarką.’”

Witold informuje matkę, że Tuwim prosił, aby pisać do niego na adres Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Wiejska 14, Warszawa, „ponieważ nie wiedzą, gdzie będą mieszkali”. Tuwimowie odpływali tego dnia statkiem s/s „Śląsk”, a Słonimski, donosi Witold, wyjechał w piątek do Sztokholmu.

Wiele osób próbowało z kolei wydostać się z Polski na Zachód, ale nie było to łatwe. Kuncewiczowa pisała synowi 3 lutego 1946, że jej bratanica, Jadwiga Szczepańska, „próbowała przejść do zony brytyjskiej i nie udało się. Wróciła po tygodniu przygód do Warszawy. Teraz Witek P. pojechał po Krysię i po nią próbować inną drogą”.

Echa z Polski

Do Marii i Jerzego spragnionych nowin z kraju zaczynają na początku 1945 roku docierać pierwsze wieści od rodziny i przyjaciół. W lutym Kuncewiczowa informuje męża, że Stanisław Baliński w liście „niezmiernie czułym i zrozpaczonym” zawiadomił ją, że przyjechała córka Stryjeńskiej przez Szwajcarię, która wydostała się z Polski tuż po powstaniu. „Na miłość Boga postaraj się koniecznie (podkreślone – DS) z nią zobaczyć. Staś będzie wiedział, jak jej szukać. Może coś wie o dziewczynach, a na pewno o Mortkowiczowej i wielu przyjaciółach”.

Dnia 30 marca Witold pisze z Lagos, że w lutowym „Dzienniku” czytał o artystach „wszelkich pokrojów”, którzy przeżyli okupację niemiecką. „Brak mi tam wielu miłych (choćby Prusza, Antka, Korzenia etc. etc.), ale wielu istnienie mnie ucieszyło. I wyobrazić sobie, że niedorajda Rudnicki jest – brawo!”.

Po zakończeniu wojny do Marii i Jerzego zaczynają docierać z kraju listy – przekazywane najpierw przez okazje, z czasem wysyłane pocztą. Z Łęborka, z Sopotu, a wreszcie z Wąwolnicy pisuje sędziwa Cecylia Wyszynska, matka Jerzego. Skarży się na tułaczkę i boleje nad zniszczeniem warszawskiego domu, w którym mieszkała przed wojną. Dziękując Marii za list, pisze, że „każda nowina, każda wiadomość to nowe źródło prawdziwej i wielkiej radości!”. Cieszy ją zwłaszcza wiadomość o Witoldzie, „ukochanym żeglarzu bujającym po przestworzach morskich”. Uspokaja syna i synową, że w Kazimierzu wszystko dobrze, opiekujący się domem Wójcikowie sobie radzą, ogród przynosi duży dochód.

We wrześniu 1945 roku odzywa się do Kuncewiczowej Janina Mortkowiczowa, o której losy okupacyjne Maria bardzo się niepokoiła. Na czterech stroniczkach listu przekazanego przez Storm Jameson, która odwiedziła Polskę z wycieczką pisarzy angielskich pilotowaną przez Antoniego Słonimskiego, zaczynającego się od słów „Kochana p. Maryneczko!”, opisuje tułaczkę okupacyjną, nieustanne ucieczki przed szantażystami, powrót do Warszawy i dramatyczny czas podczas Powstania Warszawskiego, potem pobyt na głuchej wsi podkarpackiej, ciężką pracę, nędzę, wreszcie dotarcie do Krakowa i zamieszkanie z córką w Domu Literata. Książki tego świetnie niegdyś prosperującego wydawnictwa z całym dobytkiem Mortkowiczów spłonęły w Warszawie. Pani Mortkowiczowa nie poddaje się i myśli o wznowieniu wydawnictwa. Jej radością jest wnuczka, Joasia. „Na razie jest uczennicą szkoły powszechnej i odpłaca nam kaprysami za wszystkie lata poniewierki u obcych i marzy o... czekoladzie itp. niedostępnych dla nas rozkoszach życia”. Na końcu listu jest dopisek od Hanki, córki Janiny, z serdecznymi pozdrowieniami i ucałowaniami.

U schyłku 1945 roku do Marii Kuncewiczowej docierają dalsze wiadomości z kraju. W jednym z listów z radością donosi Witoldowi, że napisał do niej Czesław, brat Jerzego, który „odnalazł synka i wraca do Sopot, gdzie jest radcą Rady Rolniczej. Chłopak zdrów. Mira (siostra Jerzego) administruje domem w Kaźm. Podobno nawet nie wszystkie meble przepadły. Anula (bratanica Marii) wychodzi za mąż w styczniu! Jadzia (siostra Anuli) ma przyjechać ze Sztokholmu (...) Od Ireny (siostry Jerzego) był list z zachwytem nad Twoim listem. Im oczywiście świetnie się powodzi. Chcą (pomagać?) rodzinie ile wlezie – paczkami itd.”.⁷

Przed świętami Bożego Narodzenia 1945 Maria zajęta była pakowaniem i adresowaniem „niezliczonych” paczek do kraju, z używanym ale w dobrym stanie ubraniem i z prezentami, głównie ozdobami z kości słoniowej przywożonymi przez Witolda z Afryki, wysyłanych za pośrednictwem przebywającej w Sztokholmie Anuli. Jej przyszedł mąż, kapitan Bohdan Mańkowski, pełnił tam stanowisko morskiego attaché handlowego. Paczki mogły ważyć tylko trzy funty, więc było to bardzo żmudne zajęcie. Dnia 14 grudnia Maria pisze synowi: „Drugi krzyżyk z kości poszedł do Marysi (bratowej Marii), klamra do Anuli, jedna z bransoletek do Zia, buty Twoje podbite futerkiem, jako lekkie i nieduże do Babci, na wiejskie roztopy, bielizna Twoja ciepła dla Józefów itd.”. Kozuch Witolda dla Janka (zapewne Jana Józefa Szczepańskiego) Maria zamierzała podać

przez okazję. Matka zapewnia syna, że zawiadomi wszystkich, że to podarunki od niego.

Wracając z Afryki po odbyciu służby na „Lidzie”, Witold obsypał matkę prezentami. Podczas jednej z niekończących się rozmów z panem Witoldem u niego w Ameryce w roku dwa tysiące szóstym, kiedy opowiadał mnie i mojemu mężowi o życiu rodziców, o swoich barwnych przygodach i niełatwej z początku egzystencji w tym kraju, zapytałam: jakie to były prezenty? Odpowiedział: Najróżniejsze srebrne pudła, pudełka, wielkie srebrne sudańskie bransolety, pudełka z kości słoniowej i Bóg wie co. Zainteresowałam się, gdzie to kupował. Na różne sposoby – odparł. – Były takie dwie wielkie bransolety, jedną mama dała Reni, która od razu to sprzedawała. To bardzo trudne do włożenia, chyba na nogi, pół kilo srebra. A wcześniej, (w liście z Port Gentil z 22 listopada 1944 roku) Witold obiecał matce prezent imieninowy: „choć zaczekać nań będziesz musiała aż do mego powrotu, będzie on najokazalszym z tych, które miałem kiedykolwiek Ci dać – chyba będzie to złota bransoletka – something jednak original”.

Witold przesyła rodzicom życzenia świąteczne w liście z Takoradi z 14 grudnia i prosi o przekazanie pozdrowień dla przyjaciół: „Grace, Evelyn, Niny, sir Fredericka i lady Keebl, Foxianek, p. Williams i wszystkich innych”. Opisuje też całodniową wycieczkę samochodem na bajkową plażę „wielkości Miami Beach” na granicy Ivory Coast z Joslinem, niedawno poznanym Szwedem, „wielkim kacykiem murzyńskim”, z którym ma nadzieję rozkręcić interesy na wielką skalę. Założyli do spółki linię przybrzeżnej żeglugi pasażerskiej, ciesząc się dużym powodzeniem i Witold już upajał się wizją bliskiej fortuny, ale wkrótce miało się okazać, że Joslin „wolałby wozić złoto do Szwecji niż tubylców wzdłuż Złotego Wybrzeża”⁸, a Witold jako nawigator miałby go z całym, zapewne nielegalnie zdobytym złotem – były to dwa wielkie kufry pełne złotych przedmiotów – przetransportować statkiem do Szwecji. Witold na szczęście nie podjął się tego zadania, które, jak się potem dowiedział, groziłoby długoletnim więzieniem i zaciągnął się jako drugi oficer na m/s „Oksywie”.

Kornwalia piękniejsza od słów

Maria i Jerzy Kuncewiczowie mieszkali wtedy w Kornwalii. Może przyciągnął ich tutaj, jak wielu innych Polaków, krajobraz przypominający ojczyznę?

Jeszcze w 1944 roku Kuncewiczowie mieszkali u Grace Sowden w wiosce rybackiej Polruan w domku nad zatoką przy ujściu rzeki Fowey. Witold wysyłał tam swoje listy z Afryki pod adres: Newquay House, Polruan-by-Fowey, Cornwall, England.

Grace, „najpogodniejsza z przyjaciółek” Marii, rozstała się z mężem, żeby uchronić córeczkę Mary przed jego pijackimi wyskokami i pracowała dzień i noc, wyrabiając biżuterię z muszelek. „Skrzypiące, kręte schodki, obszerne łóżce i prześcieradła pachnące lawendą: oto dom wiejski nad Atlantyką, opodal kanału La Manche” – opisuje go Maria w „Fantomach”. – Dom, który powstał z muszel. W 1945 roku Kuncewiczowie przenieśli się na drugą stronę zatoki, do miasteczka Fowey.

„Kornwalia, piękny to kraj, kraj osobliwy. Romantyczny, staroświecki i wspaniały – pisała Zofia Kossak⁹. – Ocean wygryza granitowe brzegi na przestrzeni mil, nie posiadających żadnego portu prócz dawnej pirackiej przystani w Boscastle”.

„Rzeczywiście Kornwalia jest piękniejsza od słów – to Kuncewiczowa w *Tristanie* 1946¹⁰. – Ale za tym rajem, gdzieś za morzami, było coś, nazywającego się Poland, gdzie może także płynęły chmury, kwitły pierwiosniki, szeptały muszle, skakały jagnięta, błyszcząły wody i dzieci miały miękkie włosy. Z tego czegoś wywodziłam się ja”.

Pierwsze po wojnie święta Bożego Narodzenia Kuncewiczowie spędzają w Point Neptune Cottage w Fowey. „Cottage coraz ładniejszy” – pisze Maria synowi 14 grudnia. – Przez ciągłe palenie wyszło bardzo, zupełnie już się nie czuje wilgoci”. A w liście z 24 grudnia wyznaje: „Wracam trochę do przedwojennego samopoczucia. Mieliśmy kilka dni srogiej burzy, a wczoraj pogoda była jak na Capri i chodziliśmy ze Stasiem na księżyc”.

Staś to Stanisław Baliński, poeta, bliski przyjaciel, zaproszony przez Kuncewiczów na święta. Dopisał się do listu Marii: „Spędzam święta u Rodziców Pana – w cudownym cottage’u, gdzie jest cisza i morze i gdzie się zapomina o koszmarze rzeczywistości politycznej i o Rosji”.

Tęsknotę do stron rodzinnych wyraża z wielką siłą zadedykowany Julianowi Tuwimowi, przejmujący wiersz Balińskiego *O, kraju mój*, jeden z najpiękniejszych liryków nie tylko czasu emigracji. Oto fragmenty (strofa pierwsza i szósta):

*Płynę do ciebie po nocy,
Kraju mój, śpiewny, uroczy,
Tam chmurki drżały z tklivością*

*A wiatr kołysał serdecznie –
O, kraju mój, tyś mą miłością
Wiecznie.*

*Można mnie stamtąd wyrzucić,
Można mi kazać nie wrócić,
Można mnie z żywych wymazać,
Wygnać, przepędzić za płoty,
Ale jak można zakazać
Tęsknoty? ¹¹*

Wiersze Balińskiego były zakazane w PRL-u.

Pod piórem Marii w relacji z 29 grudnia o czasie świątecznym ożywa atmosfera dni spędzonych w towarzystwie przyjaciół – Wigilia razem z Balińskim, pierwszego dnia świąt przyjęcie z indorem i choinką, drugiego wieczorem u Grace Sowden, nazajutrz Maria i Jerzy wydają lunch (boska kaczka z jabłkami), wieczorem kolacja u państwa Foxów, następnego dnia podjęcie państwa Keeblów herbatą. I moc prezentów. I kart świątecznych.

„Pierwszy raz od czasu wojny, tzn. 39 r., miałam prawdziwe wakacje: spacer, herbatki, kolacje prośzone, nocne gadania i śpiewy i chwila mi zupełnie beztroska, głupia, szczęśliwa atmosferka, jak za szczenięcych lat. Nie znaczy to, że się zapomniało o smutkach i kłopotach, ale ukryte zostały gdzieś głęboko i świat wyglądał niemal tak samo pogodnie, jak w Kaźmierzu”.

Ale Maria zapowiada, że zaraz po świątach zabiera się do pracy nad drugim tomem *Zmowy nieobecnych*.

Przypisy

1. Jerzy Kuncewicz, *O pełne wyzwolenie człowieka*, Londyn 1945.
2. Storm Jameson, Nov. 6. 1952, 12 North Hill Camp, Leeds 6. Yorkshire.
3. Maria Kuncewiczowa, *Fantomy*, Lublin 1989
4. Alicja Szałagan, *Maria Kuncewiczowa – przybliżenia. Szkice biograficzne*. Warszawa 2015.
5. Maria Danilewicz-Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*, Ossolineum 1992.

6. Maria Kuncewiczowa, *Wywiad w Radio Free Europe*, maj 1955, New York, rękopis. Kopia w moim archiwum – DS.
7. Irena była żoną Mieczysława Bohdana Lepeckiego, pisarza, podróżnika, kiedyś adiutanta Józefa Piłsudskiego. Lepeccy przebywali w tym czasie na emigracji w Brazylii.
8. Radio Wolna Europa, *Głos Wolnej Polski, Wywiad z Witoldem Kuncewiczem 25 czerwca 1956 r.*, maszynopis. Kopia w moim archiwum – DS.
9. Zofia Kossak, *Wspomnienia z Kornwalii 1947-1957*, Kraków 2007.
10. Maria Kuncewiczowa, *Tristan* 1946, Warszawa 1946.
11. Stanisław Baliński, *Wiersze zebrane (1927-1947)*, Nakładem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (Polish Writers Association Ltd.), Londyn 1948.

Danuta Sękalska

Tekst powstaje dzięki stypendium
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Przekłady Doroty Jovanki Ćirlić

Stevan Tontić

Kiedy będę odchodził

Kiedy będę odchodził
Skąpany w zalewającej mnie światłości
(Żywy nigdy się w niej nie nurzałem)
Choć we śnie o brzasku uroczystości wielkich
Ofiarowywała mi się solennie.

I nagle przerażony łaską istnienia
W której mogłem uczestniczyć
Bez referencji i zasług,
Reglamentowanych dogodności

Pomyślę (nie na darmo zwą mnie Błaznem Chrystusowym)
Może w tej ostatniej chwili,
Że ci którzy mnie wciąż męczyli
I poniżali
Wierzyli, że czynią dobrze
I ta określona ilość dobra tak naprawdę weszła
W moje cudowne, bez przesady można powiedzieć
Przerażające życie.

Kiedy będę odchodził, przypomnę sobie także tych
Którzy po wielokroć strzelali do mnie
I zawsze pudłowali.
Pomacham moim pechowym dobroczyńcom
Którzy nie dorośli nawet do
Najprostszego zadania.

Zanim odejdę podziękuję Bogu
(Bez względu na to co mówią o nim w kularach)
Że wystawił mnie na cios najcięższych

Niebywałych okropności
Ale też na wspaniałość bytowania
Wśród zabójców i żywych świętych.

I podziękuję diabłu samemu
Że z całego serca i bez nagrody współpracował
Przy nieudałym mojego losu projekcie,
Który jednak dociągnąłem do końca,
Do pomyślnego zakończenia, na szczęście.

Błazen chrystusowy

Jeśli ktoś spyta Jak długo czy Dokąd,
Mogę odpowiedzieć nie odwracając głowy:
Usłyszcie mój krzyk –
Jam Błazen Chrystusowy.

Dzisiaj to każdy męczennik
Co nie zaprzedał duszy diabłu
I nie jest gotów kłamać.

Wylewajcie łzy nade mną
Nieszczęsnym obłąkańcem
Drwijcie, lecz na swój rachunek.
Nie zdołacie mnie złamać.
Bo mimo wszystko
Chrytusową poszedłem drogą
I dolę, jak mówicie, mam ubogą.

Ja odkąd jestem narodzony
Nie pytam Jak długo
Ani Dokąd nie łamię nad tym głowy
Mocą z góry jestem prowadzony!
Tym którzy myślą zem przeklęty
Mówię: ja przyjmę każdy cios
I aż do samej śmierci
(Pomyślcie, przywitam ją z radością)

Pójdę do końca daną mi drogą
Na której dzieją się rzeczy straszne
Ale i cuda, co nie trwożą.

Bom ja Błazen Chrystusowy,
Podążam szlakiem boskim
Do światłości rozświetlającej
Wszystkie strony wszechświata
W górę i w dół, na prawo i lewo,
Naprzód i w tył, prosto i wkoło.
A jeśli w waszym zbójckim mroku
Nie zgasną moje źrenice,
To czyste pozostanie czoło oplute,
Nigdzie nie będzie mi ciasno,
Nigdzie powietrze zatrute.

Na mojej drodze się nie błądzi
Od jednego bożka do drugiego
Lub wśród bogato ubranych idoli,
Którym ofiary składacie
Fałszywe grosze rzucacie.

Poruszam się w mroku w przebłyskach
Wewnętrznego światła.
To najcięższa droga, nie ma aureoli.
Czasem głową w mur się wali –
Błazen Chrystusowy nie ucieka, gdy boli.

Choć błyskowi bólu oprzeć się nie mogę.
Przenika mnie do kości.
To pewny znak że wciąż żyję
I ten ból cierpieć – nade wszystko wolę.

Jeżeli cokolwiek wiem,
(Od tej wiedzy oszaleć można)
Wiem, że ja Chrystusa też bolę.

Z Jerozolimy

Walka o byt świętości zbożna
A serce bije niebezpiecznie,
Czy dusza już do nieba zdąży
Czy we krwi kąpać się będzie wiecznie?

Ktoś na przekłęte miasto warczy:
Świętość i zło – to samo? Cóż za pycha!
Żydzi i Arabowie o spaloną
Ziemię, o wiarę walczą.

Świece dla żywych palą.
Czyj to prorok za węglem czyha?

Wojna, stan normalny

Cztery lata trzymali przyłożony
Wylot lufy
Do mojej głowy
(W każdej chwili strzelić gotowi.)

Cztery lata gorliwie mnie dręczyli
Pragnieniem i głodem
Grożąc że mi zgwałcą
Córkę i żonę
(W każdej chwili ruszyć gotowi.)

I czemu to robili?

Nie bali się chyba
Że ich ze swojej biednej
Błazna głowy
Zbombarduję myślami
Co mogłyby ich powstrzymać
Przed złem na które się zaklinają?

Czy strach ich ogarnął
Że swoimi słowami
Szmuglowanymi do narodów wolnych
Zmobilizuję armię ludzi odważnych
Które ich z ziemią zrównają?

Tacy byli nędzni i mali
Jak dzikie zwierzęta się na nas rzucali.

Cztery lata wdychałem jedynie skrzelami
Powietrze zatrute ich obecnością.
Nie mogłem jasno i bezwzględnie stwierdzić
Ani kim są ani czym są.
Ani skąd spadają na mnie wszystkie ciosy.
Ciągłe zmieniali maski formacji ważnych.
Raz byli od faszystów.
Innym razem od humanitarnych.

Kiedy przyszedł kres wojny
Ja się już pierwszego dnia wolności
Za sto następnych lat naoddychałem,
I jest mi obojętne
Kiedy wreszcie umrę. Spokojny.

Wilcze plemię

Według Vaska Popy
kolejny list do poety

Wytrzebiono już parę narodów,
Wilkom też to grozi w naszych stronach.
Kiedy je wszystkie wybijemy,
Zostanie nam, drogi Vasko, tylko twoja
Gwiazdna poezja im poświęcona.

Wiersze o nich i o nas,
(Bo myśmy swoi.)

Opiewałeś pradziada Ilię Lukę Moruna
Który znalazł i wykarmił dwa wilczki,
Nauczył je bawić się z jagniętami,
Potem przytulił, przeżegnał i puścił w las,
I zawył głosem wilczym.
Ty dałeś mu obrońcy wilków blask.

Czy w końcu od pradziada swego usłyszałeś
Którym z wilczków
Sam na wieki się stałeś?

Prababka twoja Sultana Urošević
Miała opinię czarownicy,
Rzucała szybki cień wilczycy.
Mówiono, że po niej odziedziczyłeś
Oczy a także język.

Gdy tylko mogła,
Cichcem dawała ci jeść
Surowe mięso
Byś mógł wilkom przewodzić.

Czy znalazłeś już jej zgubiony
Czerwony pantofelek?
Szukałeś go przez całe życie.

Wierzę, że wzniosłeś się do gwiazdozbioru
Wielkiego Wilka na nieboskłonu szczycie
I że cię nasz, jak powiedziałaś,
Dumny Pasterz Wilków
Posadził po swojej prawicy
Jako dziedzica pasterskiego tronu
Dziatwy Świętej Wilczycy.

Nie musisz już bronić swojego języka
Przed tępą hordą napastników
Którzy twierdzili to nie wiersze
Lecz z gardła ci się dobywa

Wycie krwiożercze.

W chłodne gwieździste noce spod nieba wysokiego
Z Wilczej Polany nad Vršacem
Niekiedy słyhać jeszcze wycie
Rozwścieczonej wilczycy i jej dziatwy
Na cześć twoją
I plemienia całego.

W jej tkliwo przejmującym wyciu
Rozpoznałeś ton rzadkiej mądrości,
Tę sól nad solami
Która nadaje smak niezwykły
Twojej twórczości.

Danilo Kiš na szczycie Kozary

Danilo Kiš dziękując za nagrodę
„Skender Kulenović” nazwał
Kulenovicia górnikiem języka.
W humusie na Kozarze zasadził
Młode drzewko, świerk.

Gdy wyprostował się obok smukłej sadzonki
(Oby jej tylko nikt nie ściał!)
Ujrzeliśmy, jaki sam jest wysoki,
I że pnie się ku niebu.

Już wyrósł ponad miarę
(Drzewo przesłaniające las)
Więc rozległy się głosy:
Zróbmy coś, by zamilkł już raz!

Wtedy śmierć go dopadła.
Z Kozary ku Mlecznej Drodze
Gorejący język się wychyla
Z górniczego urobku Skendera
Rozwichrzonych włosów Danila.
Na nowych spotkaniach się rozgrzeją

Potomkowie poległych z Krajiny.
Bohaterów i poetów martwych
Czczą bałwochwalcy.
Kto przemyci jeszcze
Żywą poezję którą piszą wybrańcy?
TY MNIE ZATRZYMYWAŁAŚ
Kiedy chciałem uciekać
Z tego miasta przeklętego
Gdzie jestem bluźniercą,
I znaleźć choćby w jaskini schronienie
Przed fanatyzmem prześladowców
Z których każdy chciałby mieć moją głowę na mgnienie,
Ty mnie zawsze zatrzymywałaś
Swoją miłością –
Blaskiem oczu pełnych łez
Znów gotów byłem przyznać się do tego
Że ten blask zniewoli
Każdego.

Kiedy chciałem emigrować
Z tej kolonii karnej
Gdzie od wczesnej młodości żyłem
Pod okiem policji tajnej,
Ty mnie zawsze zatrzymywałaś
Miłością –
Ciepłem swojego oddechu, barwą głosu,
Śpiewając o ojczystych górach,
O wolności opłacanej krwią.

Kiedy próbowałem, tylko próbowałem,
Podnieść na siebie rękę,
Ty ją chwytałaś w rozdarte powietrze
I kładłaś na swoje wilgotne wargi
Z których w nowym uniesieniu,
Spadałem w niebiosą
Zamiast w otchłanie grobu wieczne.

Ręce mojej żony

Moja żona rękami łamie chleb.
Nie chce go kroić
Kuchennym nożem.

To mi się nawet podoba.
Nocą ją błagam
By swoje ręce
Zaplotła na mojej szyi,
Nim zamiast krwi spłynie na mnie
Poranny brzask. Po chwili.

(Wyznaję jednak, są noce
Gdy mroczna ciemność mnie kusi,
I nie mam nic przeciw temu
Że mogłaby mnie tymi rękami udusić.)

Ziemia mi przeznaczona

Żyłem w wielu krajach
Było tam aż gęsto
Które znosiły mnie wiedząc dobrze
Że nie zwracam ich uwagi zbyt szczerze.

Dzięki za cierpliwość
Oddychało mi się ciężko.

Naprawdę przyjmę tylko tę ziemię
Co obejmie mnie jak kochanka, miękko,
W którą się w końcu położę –
Na jej łono, w mroczne ramiona
To glina mi przeznaczona.

Kim jest Stevan Tontić

Przyszedł na świat w 1946 roku we wsi Grdanovci pod Savskim Mostem (Bośnia i Hercegowina, wówczas Jugosławia). W Sarajewie ukończył studia filologiczne i socjologię. Był przez wiele lat redaktorem literatury w największym miejscowym wydawnictwie, które miało wielki wpływ na życie literackie Sarajewa.

Opuścił Bośnię i Sarajewo podczas wojny w roku 1993, wyprowadzony kanałem podziemnym zbudowanym pod miejscowym lotniskiem. Siedem lat przebywał na emigracji w Niemczech (jest wybitnym tłumaczem literatury niemieckiej, za swoje przekłady otrzymał wiele niemieckich nagród), po czym wrócił do Sarajewa (2014). Po czternastu latach przeniósł się jednak z żoną najpierw do Belgradu (Serbia), a potem do Nowego Sadu (Wojwodina). Na tle współczesnych dziejów Bośni tę wędrówkę można uznać za tułaczkę.

Przede wszystkim poeta (wydał kilkanaście tomów wierszy), ale też tłumacz literatury niemieckiej, prozaik, eseista, twórca antologii poezji.

Przekładany na wiele języków, laureat rozlicznych nagród. W Polsce oprócz wierszy rozproszonych w czasopiśmie i wyborach ukazał się jego *Sarajewski rękopis* w przekładzie Danuty Cirlić-Straszyńskiej i Juliana Kornhausera (1995) oraz tomik opowiadań *Głupie twoje serce, zajączku* w Bibliotece Pisarzy Sarajewa (1995, Fundacja Pogranicze, Sejny; przeł. Danuta Cirlić-Straszyńska). Publikowane wyżej wiersze pochodzą z tomu *Hristova luda* (Błazen Chrystusowy), wyd. Archipelag, Belgrad 2017.

* * *

Stevan Tontić jest urodzonym poetą, jakkolwiek banalnie by to zabrzmiało. Nadwrażliwy, wsłuchany w ludzi, w to, co się dookoła niego dzieje. Rozczytany w literaturze, pisząc przełamuje formy i konwencje tradycyjnej liryki. Ale nie tylko o formę tu chodzi. Tontić swoją refleksyjną destrukcją pisarską nie waha się otworzyć żywej rany, jaką jest niedaleka przeszłość, graniczne doświadczenie dane współczesnemu człowiekowi. Sarajewo w odmęcie wojny, bieda, spustoszenie, wrogość, obcość. I wtedy budzi się jego wolny duch. Nie nienawidzi, nie przeklina, czasem ironizuje, a na koniec zostaje mu oddanie się Bogu i skrucza.

Przejmując się tak wieloma rzeczami, że aż trudno uwierzyć, iż ma jeszcze siłę. Próbuje to wszystko uporządkować. Tych przyjaciół, których

stracił na zawsze, te groby, te obrazy z obłąkanego Sarajewa. Jego miasta. Zbudować hierarchie. Co ważne, co mniej ważne. Gdzie znaleźć klucz do wszystkiego.

W jego poezji nie ma nadmiaru, choć bywa patetyczny, zbytecznych słów, metafor, odwołań, mimo że nadmiar doznań wysyłanych przez świat „bombarduje mu oczy i uszy”, tak że czasem wołałby być „ślepy i głuchy”.

Dosięga go „błogosławieństwo wygnania” (to jego słowa z innego tomu), ma świadomość, że żyje w oazie (to Berlin), z dala od hord napastników, tęskni za krajem i ukochaną. Jest nieprzekupny w swoim poczuciu człowieczeństwa.

Zawsze jednak wolność to wedle Stevana Tonticia prawo do indywidualnego „ja”, a więc także do poetyckiej ekspresji. Kulturowanie zwyczajów i kultury, odpowiedzialność za myśli i słowa. Język daje pocie wolność prawdziwą.

Kiedy go zapytałam, jak mam go przedstawiać, odpowiedział:

Jestem Serbem i piszę po serbsku, a to język decyduje, do jakiej literatury dany pisarz przynależy. Ponieważ urodziłem się w Bośni i tam żyłem najdłużej, jestem pisarzem bośniacko-hercegowińskim, ale to nie jest określenie mające wagę narodowo-literacką – tylko państwową (i to dopiero od 1992 roku, przedtem wszyscy byliśmy Jugosłowianami).

Możesz mnie przedstawiać jako bośniacko-hercegowińskiego i serbskiego poetę (mam podwójne obywatelstwo), a jeśli Tobie by to bardziej pasowało – serbskiego poetę pochodzącego z Bośni i Hercegowiny, ale nie jako bośniackiego poetę pochodzenia serbskiego.

Poza tym nie istnieje «bośniacka» literatura, w Bośni i Hercegowinie istnieją trzy narodowe literatury: boszniacka (muzułmańska), serbska i chorwacka, tak jak nasz język został podzielony na trzy odrębne.

Stevan Tontić jest naprawdę wolny, niezależnie od kosztów tej wolności. A poza językiem jeszcze została mu ziemia rodzinna („nauczony, że jem ziemię z braku chleba”, choć strony rodzinne nazywa „ciemną stroną Księżyca”) i żona – to one dają mu siłę, by przetrwać.

I jeszcze Śmierć. To nie wolność, ale koniec „mojego przypadku”. Stevan Tontić jest przygotowany, bo to „jakby czekał na życie wieczności, a nie święto wolności”.

Dorota Jovanka Ćirlić

Krystyna Rodowska

Posłowie¹

W poszukiwaniu języka dla *Poszukiwania*

Po co tłumaczyć na nowo utwór, którego jeden jedyny przekład wznawiany w ciągu wielu lat ma swoich zaprzysięgłych miłośników? To właśnie oni zadaliby zapewne to pytanie, powodowani bezkrytyczną lojalnością, ślepą na fakt, że naprawdę wielki, ważny pisarz zasługuje na obdarzenie go po raz drugi i kolejny życiem, współbrzmącym z nowymi odczytaniem jego dzieła, z wymogami ewolucji języka powszechnego i języka literatury w szczególności. Decyzje tłumacza, podejmującego się nowej interpretacji (bo tłumaczenie jest interpretacją) wybitnego utworu z przeszłości, choćby nie tak dalekiej, muszą przekładać się na nieustający dialog języków: oryginału i języka docelowego, a także na dialog kontekstów kulturowych, w których każdy z tych języków jest bez reszty zanurzony. Nowy przekład w świetle tych uwarunkowań stanowi więc prawdziwe wyzwanie i przedstawia się jako materia wyborów skomplikowana, czasem także ryzykowna.

Moja trudna przygoda z przekładaniem *W stronę Swanna* zaczęła się dawno temu, w roku 1997. Nie z mojej zresztą inicjatywy; w owym czasie, choć byłam już tłumaczką, nagrodzoną rok wcześniej za przekład *Ceremonii żałobnych* Jeana Geneta, nie miałabym wystarczającej śmiałości, żeby porwać się na przekład Prousta. Właśnie klarowała się koncepcja wydania specjalnego numeru miesięcznika „Literatura na świecie”, poświęconego w całości Proustowi, którego pomysłodawcą, autorem wyboru materiałów, własnych esejów, tłumaczem większości pastiszy i – esejów Prousta, Gilles Deleuze’a, Rolanda Barthesa i Jean-Yves Tadiégo, był Michał Paweł Markowski – młody wówczas filozof, eseista i tłumacz, wykładowca na krakowskim UJ. Propozycję przetłumaczenia dużego fragmentu wspomnianej pierwszej części *Poszukiwania* złożył mi ówczesny i do dziś kierujący piśmem naczelny redaktor „Literatury na świecie”. Po namyśle – musiałam najpierw przyjrzeć się uważnie przekładowi Boya – doszłam do wniosku, że nowe tłumaczenie jest nie tylko pożądane, lecz także konieczne potrzebne, i to nie tylko dlatego, że „przekład się zestarzał”.

1 Posłowie do mojego nowego przekładu *W stronę Swanna*, pierwszego tomu cyklu powieściowego Marcela Prousta *W poszukiwaniu utraconego czasu*. Przekład ukazał się na początku września 2018 r. nakładem wydawnictwa Officyna.

Z tym przekonaniem zabrałam się do pracy. Proustowski, podwójny numer „Literatury na świecie” 1-2/1998 – dziś uważany za „kultowy” – otwierało przeszło pięćdziesiąt stron mojego przekładu *Combray I*, z pierwszej części *W stronę Swanna*, zwieńczonych jednym z kluczowych dla całości dzieła objawień „pamięci mimowolnej”: wynurzeniem się zapomnianego świata dzieciństwa narratora z filiżanki herbaty, w której umoczył był magdalenkę – „muszelkę z ciasta, pulchną i zmysłową pod surowym, mnisim sfałdowaniem” (w moim przekładzie).

Między tłumaczem pierwszym a tłumaczką drugą

Co to właściwie znaczy: „przekład się zestarzał”? Znakomita poetka Urszula Kozioł, komentując w prywatnym mejlu moją decyzję, wyznała, że „ma opory przy unowocześnianiu języka utworów już dobrze zadomowionych w języku epoki”.

To nieporozumienie. Kiedy chodzi o wybitnego, obcego pisarza, każde pokolenie czytelników ma prawo zdobyć go dla siebie i cieszyć się jego językowym kształtem, szukającym dla siebie miejsca we współczesnej, i na ile to możliwe, ponadczasowej wrażliwości. Przecież nie chcemy chyba żywego dla nas autora zamienić w czcigodny obiekt muzealny? Potraktować jako wartość li tylko historyczną? Przymknąć oczy i zatkać uszy na rażące dzisiaj anachronizmy, językowe dziwactwa, a niekiedy i błędy – z punktu widzenia współczesnej polszczyzny? Byłam świadoma tego, że nowy przekład wymaga ogromnego wyczucia ze strony tłumacza, lawirowania między Scyllą przestarzałości a Charybdą ryzykownego unowocześniania „na siłę” języka przekładu. Zdecydowałam się na próbę zdobycia dla polszczyzny innego, bliższego mi Prousta. W nadziei, że okaże się to również zdobyczą dla czytelnika.

Czy możliwa jest rekonstrukcja we własnym języku unikatowego Proustowskiego universum? I czy w gruncie rzeczy o rekonstrukcję chodzi? Czy uda mi się przełożyć tekst *W stronę Swanna* inaczej i może jednak lepiej niż ten, kto pierwszy się z nim mocował? Gigantyczne wyzwanie, wręcz zuchwalstwo. Trudno przecież nie doceniać pionierskiego charakteru i ogromu translatorskich dokonań Boya. Nie zdecydowałabym się na nowy przekład, gdyby nie uprzednia krytyczna lektura Boyowskiej wersji *W stronę Swanna*. Jego tłumaczenie stało się dla mnie ważnym i jedynym – z braku innego – punktem odniesienia. Ale także – trampoliną do skoku we własne

sposoby odczytywania słownych, gramatyczno-stylistycznych zawłości i – co równie ważne – znaków rozpoznawczych filozofii poznania Prousta. Tekst Boyowskiego przekładu towarzyszył mi przez cały czas w pracy (do której wróciłam po piętnastu latach przerwy). Każdorazowo, po przetłumaczeniu kilku stron powieści, nie mogłam oprzeć się chęci konfrontacji z Proustem w wersji Boya. Był to zawsze silny bodziec do osiągnięcia lepszego rezultatu niż pierwszy tłumacz. Przejrzyć się w jego niezręcznościach, przeinaczeniach, nie iść jego fałszywym tropem; to budowało także moją podmiotowość tłumaczki drugiej.

O „chamstwie”, „nikczemności” i „pohańbieniu” według Boya

Zacznę od rzeczy drobnych, od językowego szczegółu. Kto z młodszych czytelników wie dzisiaj, co znaczy słowo „gryzetka”? Nawiasem mówiąc, jest ono w tekście przekładu wymysłem Boya, nie występuje bowiem w Proustowskim oryginale. Swann każe swemu stangretowi sprowadzać na erotyczne igraszki w zaciszu powozu młodzieńką robotnicę („une petite ouvrière”), i to określenie anonimowej, plebejskiej kochanki na chwilę powtórzy się kilkakrotnie, otwierając tłumaczowi pole do interpretacji. Boy zaryzykował odkurzenie słowa „gryzetka” (z francuskiego *grisette*: młoda pracownica w domu mody, szwaczka, flirciara, ale także szara, zgrzebną tkanina, czy ciemna mąka, orkisz, otręby), które w początkach XX wieku trąciło mocno już myszką, opatrzone w słownikach adnotacją: „przestarzałe”, „dawne”, „utworzone w połowie XVIII wieku”. Tego rodzaju słów, zwrotów w Boyowskiej *Stronie Swanna* jest więcej. Dotarcie do znaczenia na przykład takich, jak między innymi, „finta”, „piszczyk”, „fumy”, czy nawet „błaga” (wciąż jeszcze w użyciu), wymaga szperania po papierowych lub internetowych słownikach synonimów.

„Zestarzenie się” przekładu Boya uderza dzisiaj zwłaszcza w sferze słownictwa, stylistyki, form gramatycznych, szczegółu obyczajowego, ocierając się o anachronizm, groteskowość, często o niezręczność, i wreszcie, o rozmijanie się nie tylko z zasugerowaną intencją autora, lecz także niekiedy z odczuciem prawdy psychologicznej przedstawianej postaci. Dla przykładu: dwukrotnie w tłumaczeniu Boya, w charakterystyce pewnych zachowań bohatera najdłuższej, środkowej części pierwszego tomu „Miłość Swanna”, pada słowo „chamstwo”, obciążone ładunkiem negatywnej, nacechowanej wulgarnością nadekspresji. Za każdym razem w trakcie lektury

wszystko się we mnie burzyło: no nie! Swann, zakochany masochistycznie w Odette, opętany zazdrością o wodzącą go za nos kochankę, może się zachować nieracjonalnie, wybuchowo, ale – w moim odczuciu – nigdy chamsko! Czy dlatego, że „nie pasuje to” do wyrafinowanego konesera sztuki, bywalca arystokratycznych salonów? Przecież odsłanianie psychologicznych sprzeczności i niekonsekwencji miotających człowiekiem, to *specialité* autora *Poszukiwania*, podyktowana jego pasją demaskatorską i wszechobecną ironią.

A jakiego słowa w oryginale użył Proust? No cóż, słowem tym jest „mufle”.

Istotnie, słowniki na pierwszym miejscu wymieniają „chamstwo”. I zaraz potem „grubiaństwo”, „prostactwo”, „nieokrzeseanie”, „gruboskórność”. Na dalszym miejscu wśród synonimów pojawia się „niedelikatność”, „nietaktowność”. Ale ja sięgam do francuskiego rzeczownika, z którego wszystkie te cechy się wywodzą: „mufle”, czyli pysk (zwierzęcia), paszcza, a więc jednak coś związanego z instynktem, dzikością, agresją. W jakim zatem słowie kryje się prawda duszy Swanna, neurotyka i wrażliwca, wyskakująca jak diabeł z pudełka przyzwoitości i konwenansu?

U Boya jest to tak: „I z owym przelotnym chamstwem, które nawiedzało go od czasu, jak nie był już nieszczęśliwy i jak tym samym obniżył się jego poziom duchowy, wykrzyknął w duchu: „I pomyśleć, że spartoliłem kilka lat życia... dla kobiety, która nie była w moim typie! ” Ja skłaniam się ku innemu rozwiązaniu, pozostawiając je do oceny czytelników: ” I w tym dosadnym języku, który pojawiał się u niego od czasu, kiedy przestał być nieszczęśliwy (...) wykrzyknął w duchu: I pomyśleć, że spałam sobie kilka lat życia dla kobiety, która... Rzecz jasna, Swann drugiej dekady XXI wieku, choćby i miał imponujący status społeczny, wysublimowany intelekt i wysoki poziom towarzyskiej ogłady, mógłby, w chwilach wzburzenia – ale nie w tej powieści – używać języka znacznie bardziej niewyparzonego. Odette, gdyby odbierała te same bodźce językowe i obyczajowe, co my, powiedziałaaby: „Co za ściema”!, a nie „Co za „bzdura”. Ale tłumacz, nie tylko Prousta, powinien – jak myślę – wyostrzyć maksymalnie swoją intuicję przy doborze słownictwa w języku docelowym; intuicję, zawsze biorącą pod uwagę szerszy kontekst psychologiczny i kulturowy, świadomą faktu, że nieunikniona różnica między oryginałem a przekładem wpisuje się w ryzyko interpretacji, będącej – w rozumieniu najnowszych badań nad specyfiką przekładu – nie tylko prawem, ale i obowiązkiem tłumacza.

Idąc dalej tropem „chamstwa”: Boy ma skłonność do redundancji negatywnej, do nadmiernego wzmacniania pejoratywnych znaczeń w wypowiedziach i w sposobie myślenia niektórych postaci. Taką postacią jest na przykład Bloch, żydowski kolega bohatera-narratora, szokujący jego rodziców i babcię swoimi ekstrawaganckimi wypowiedziami i zachowaniem. Niemniej Boy dokłada mu jeszcze negatywnej ekspresji, kosztem przekłamania na przykład takiego oto zwrotu, użytego w oryginale: „Wystrzegaj się dość nikczemnego zamięłowania w imię panu Musset” – peroruje mentorskim tonem Bloch w rozmowie z narratorem. Przymiotnik „nikczemne” musi dziwić w kontekście zamięłowania, gustów, budzi od razu podejrzenie, że w oryginale znalazło się słowo nieodpowiadające użytemu po polsku. I rzeczywiście, w tekście Prousta imponujący narratorowi Bloch mówi: „Défie-toi de ta dilection assez basse pour le sieur Musset”. „Dilection”, to istotnie „zamięłowanie (można porównać to z rzeczownikiem „predylekcja”), zestawione z francuskim przymiotnikiem, wyposażonym w bardzo rozległe pole możliwych znaczeń, z których „dolny”, „niski”, „lichy”, „podrzędny”, „o małej wartości”, to tylko kilka pierwszoplanowych, bez uwzględnienia całego ciągu sensów, poszerzonych o te metaforyczne (np. „latin bas” – łacina ludowa, w domyśle: niższa, niż łacina klasyczna, „parler tout bas” – mówić cicho) – prawdziwy *embarras de richesse*! A w moim przekładzie Bloch zwraca się z takim oto pouczeniem do młodszego kolegi: „Strzeż się przed trywialnym gustowaniem w imię panu Musset. Ten typ, to jeden z największych szkodników...”. Gusta mogą być jak najbardziej trywialne, to określenie mieści się w wymienionej wyżej gamie przymiotników, odpowiadających francuskiemu „bas, basse”. Można być „nikczemnym” człowiekiem, niektórzy są też „nikczemnej postury”, ale to już znaczenie mające odcień archaizującej stylizacji. A nawiasem mówiąc, można mieć chyba zamięłowanie do czegoś, nie: w czymś.

Gorzej, gdy pejoratywnemu przejawskrawieniu, temu co nazywam redundancją negatywną, ulega sens zdania; mamy wtedy do czynienia z przekłamaniem. Wczytując się w tłumaczenie Boya, „złapałam” go na przynajmniej kilku ważnych dla sensu powieści przekłamaniach. Oto jedno z nich: chodzi o wypowiedź służącej Franciszki, osoby, która ma wiele do powiedzenia na wszystkie tematy, nie tylko kuchenne. Tym razem Franciszka sięga śmiało do historii średniowiecznej Francji; tonem wyższości (cytując przekład Boya): „mówiła chętnie o świętym Ludwiku, jakby go znała osobiście, zazwyczaj po to, aby pohańbić tym porównaniem

moich dziadków, mniej odeń «sprawiedliwych». Zdanie to jest całkowicie niejasne, treść jego bowiem nie została właściwie zrozumiana przez tłumacza francuszczyzny przypisanej przez Prousta Franciszce. Sprawcą całego zamieszania jest tu nie tylko słówko „odeń” (zamiast poprawnego „od niej”, od Franciszki), sugerujące, że dziadkowie nieletniego Marcela byli mniej „sprawiedliwi” – niż kto właściwie: święty Ludwik, król Francji, czy wypowiadająca te słowa? Franciszka, ten wzór wierności i lojalności wobec swoich „państwa” i całej ich rodziny, chciałaby „pohańbić” wspomnianych dziadków jej panicza, porównując ich wiedzę o świętym Ludwiku ze swoją? Tymczasem, sprawy mają się zgoła inaczej (cytuje swój przekład): „Franciszka w kuchni opowiadała o świętym Ludwiku tak, jakby osobiście go znała, i na ogół z intencją zawstydzienia, przez porównanie, moich dziadków, «nie tak dokładnych»”. „Faire honte” to zawstydzić, nie „pohańbić”; a dlaczego właściwie mieliby się oni wstydzić? Chodzi o to, że wspomniani dziadkowie Marcela byli „moins justes”, czyli mniej dokładni w swoich opowieściach o świętym Ludwiku, niż Franciszka (wedle jej mniemania). „Juste”, to nie tylko „sprawiedliwy” – pierwsze z brzegu znaczenie tego słowa, w całej masie innych przymiotników (np. „esprit juste” – umysł ścisły, „mot juste” – trafne, właściwe słowo, itd.). Boy jako doświadczony tłumacz powinien był o tym wiedzieć; widocznie miał zły dzień, albo za bardzo się śpieszył, co prawdopodobne, zważywszy tempo, z jakim zazwyczaj pracował. Tymczasem właściwe zrozumienie sensu tego zdania jest ogromnie istotne ze względu na pojmowanie przez Prousta historii i jej ciągłości, rzuca ono także światło na stosunek tego bywalca arystokratycznych salonów do „prostego ludu”, do intuicyjnej mądrości jej przedstawicieli, takich jak Franciszka. I nie jest ważne, czy to Franciszka opowiadała precyzyjnie, czy dziadkowie narratora, który wspomina te wydarzenia z dzieciństwa. Zaraz po inkryminowanym zdaniu, czytamy komentarz do niego samego autora (zważywszy, że dystans między narratorem a autorem powieści często się zaciera): „Wyczuwało się, że pojęcie o historii starożytnej lub chrześcijańskiej, jakie miał zarówno średniowieczny artysta jak średniowieczna wieśniaczka (która dotrwała aż do XIX wieku), tyleż niedokładne, ile dobroduszne, czerpali oni nie z książek, lecz z tradycji dawnej, a zarazem bezpośredniej, nierozpoznawalnej ale żywej” (w przekładzie moim).

Przekłamanie (to coś więcej niż przeinaczenie) może dać także niezamierzony efekt groteskowy, demaskując szybko niezrozumienie tłumaczonego tekstu. Rzecz dotyczy Teodora, subiekta sklepowego w Combray,

którego Franciszka często wzywała go do pomocy przy odwracaniu na łóżku stale leżącej ciotki, wiedząc, że pomaga on także z oddaniem przy pracach zdobniczych w kościele. „Otóż, chłopak ten, słusznie uchodzący za ladaco, tak był wypełniony duszą, która ozdobiła Św. Andrzeja Polnego...” (przekład Boya). Jak to, dusza najęła się do prac dekoratorskich w świątyni? No cóż, oryginał w tym miejscu nie pozostawia złudzeń: „ce garcon était tellement rempli de l'âme qui avait décoré Saint-André-des-Champs...”. Tłumaczenie Boya jest po prostu dosłowne, słowo po słowie. Coś z tym trzeba było zrobić: zrozumieć, o co chodzi i zinterpretować, wypełnić lukę w skrócie myślowym zdania w tekście oryginału. Przekład na język docelowy jest także powołany do tego – jak wywodzi ekspert od tych spraw, poeta, krytyk i tłumacz, Jerzy Jarniewicz, powołując się na prace Romana Ingardena – aby „dopełniać”, współtworzyć sens, co zaprzecza często ideałowi „rekonstrukcji”, wiernego odwzorowania. I właśnie to jest taki przypadek. Przyznaję, nie było to łatwe. Ale przecież nie mogłam zostawić „duszy” przy jakże męczących dla bytów bezcielesnych zajęciach! Wybrnęłam z tych opaleń w następujący sposób: „...Chłopak, który uchodził, i słusznie, za ladaco, ale dekorując figurę świętego Andrzeja Polnego, wkładał w tę czynność całą swoją duszę i uszanowanie...”.

Inteligencja to nie wszystko

Wspominałam już o kluczowym dla odczytania sensu całości cyklu Prousta finale pierwszej części *W stronę Swanna*, którego narracyjnym zwieńczeniem jest wyłonienie się zapomnianego świata dzieciństwa – z filizanki lipowego naparu. Mediatorem między zasypianym przez lata niepamięci czasem, spędzanym na wakacjach i feriach wielkanocnych w Combray a świadomością dorosłego narratora, jest zmysł smaku naparu czy może herbaty z rozmoczoną magdalenką. Opis całego procesu odzyskiwania po latach utraconej przeszłości w psychice i umyśle narratora, wzięty jak gdyby pod mikroskop badacza, rozgrywa się w maksymalnie zwolnionym, inicjacyjnym rytmie. To jeden z najbardziej fascynujących i znaczących passusów w *Poszukiwaniu*. Narrator raz po raz stwierdza całkowitą bezużyteczność inteligencji (*intelligence*) dla zrozumienia tego, co się dzieje w jego wnętrzu. Zwraca się zatem do swego umysłu (*esprit*) i przychodzącego mu z pomocą pierwotnego świadectwa smaku. Tymczasem Boy odwołuje się niezmiennie do pojęcia i słowa „inteligencja”, przekłamując

tym samym opisywany przez autora proces przebijania się nieświadomości i niepamięci do wyzwalającego przypomnienia. U Boya: „Stawiam filiżankę i zwracam się do swojej inteligencji. Do niej należy odkryć prawdę” ... „Żądam od swojej inteligencji jeszcze jednego wysiłku” ... „Ale czując, że moja inteligencja nuży się bez rezultatu, każę jej, przeciwnie, zażyć dystrykcji... skrzepić się przed ostateczną próbą”. U mnie „inteligencję” w tych samych miejscach zastępuje „umysł”, pojęcie znacznie szersze (wcześniej, „inteligencję” niekiedy zastępowałam słowem „intelekt”, nie używanym przez Boya): „Czując jednak, że mój umysł trzusi się bezowocnie, zmuszam go – wprost przeciwnie – by skorzystał z odprężenia, którego mu odmawiałem” ... „Nakłaniam go do wzięcia się w garść przed ostateczną próbą” ... „Czynię pustkę wokół umysłu i raz jeszcze każę mu doznać smaku tego pierwszego łyku”.

Obstawanie przez Boya przy udziale inteligencji czy intelektu w odtwarzaniu przeszłości, nie znajduje potwierdzenia w rozważaniach Prousta na ten temat. Oto jak brzmi pierwsze zdanie jego eseju „Pamięć i intelekt” (w przekładzie Michała Pawła Markowskiego): „Z każdym dniem coraz mniejszą wagę przywiązuję do intelektu” ... „To, co intelekt podsuwa nam pod nazwą przeszłości, wcale nią nie jest”. Ale pod koniec swego wywodu, Proust dodaje: „Intelekt może nie zasługiwać na najwyższe uznanie, lecz tylko on jest w stanie to stwierdzić. Może zajmować w hierarchii wartości drugie miejsce, lecz tylko on może oświadczyć, że intuicja powinna zająć miejsce pierwsze”. Boy z pewnością nie znał tego eseju, także innych, takich jak „O czytaniu”, czy „O sztuce tłumaczenia”; być może inaczej zinterpretowałby wówczas ów słynny finał pierwszej części powieści (zakończenie rozdziału pt. *Combray I*).

Kto się boi frazy Prousta?

Konfrontując przekład z oryginałem, po przeczytaniu wstępu (*Od Tłumacza*), jakim Boy opatrzył opatrzył pierwszą edycję *W stronę Swanna*, przedrukowywaną później bez zmian, poczułam, że nie mogę się zgodzić na zaproponowany przez niego kształt konceptualny, językowy i stylistyczny powieści. Boy podkreślał wprawdzie nowatorstwo Prousta w tworzeniu narracji, pozbawionej tradycyjnej fabuły, w powołaniu do życia galerii postaci, u których najważniejsza jest charakterystyczna „płynność stanów duszy”, nieprzewidywalność, współistnienie z sobą

sprzeczności, gdzie „świadome życie jest tylko zmieniającą się wypadkową sumujących się i krzyżujących czynników podświadomości, grą wielorakiej dziedziczności, urazów i kompleksów dziecięctwa”, zwracał uwagę na znaczenie „współczynnika Czasu”, głównego – według Boya – bohatera całego dzieła, zauważał, że pisarz „jest fanatykiem Sztuki”, a jego utwór „ocięka wręcz poezją”, lecz trudno oprzeć się wrażeniu, że interpretator ceni sobie najwyżej autora *Poszukiwania*, jako twórcę „nowej komedii ludzkiej”, z akcentem padającym na „komedię”, mimo „zasadniczo tragicznego stosunku Prousta do życia”. „Za mało się mówi o komizmie w dziele Prousta” – uważał Boy. To prawda, ale należałoby dopowiedzieć, że ów niedoceniany akcent humorystyczny wkomponowuje się w całość obrazu zarówno przedstawianych postaci, jak i filozofii poznania tego nadświadomego pisarza, a także jego wypracowanej – po latach prób i poszukiwań właściwego kształtu dzieła – metody twórczej.

Pod koniec swojego wstępu Boy zwraca się do polskiego czytelnika, tłumacząc się przed nim z rozdrobnienia na „bardziej czytelne części” sławnych Proustowskich zdań, zagarniających całe obszary zapętleń narracyjnych i mnożących się dygresji. Otóż podjął on szokującą decyzję zmodyfikowania zapisu dzieła po to, by „osiągnąć większą przejrzystość”, czyli ułatwić mu lekturę „dziwnego monstrum, jakim bywa zdanie Prousta”. „To, co się przyjmuje od Prousta, tego czytelnik nie darowałby tłumaczowi” (skąd taka pewność?), „Proustowskiego zdania nie zniósłby często język polski”. A więc dla rzekomego „dobra” i wygody czytelnika, tłumacz rozgrzesza się z poszatkania biegnącej w sobie właściwym rytmie frazy-rzeki Prousta, przerabiając cały utwór w polszczyźnie na „normalną” powieść. Zgodnie z tym zamiarem, Boy, wbrew intencji autora, wyodrębnia akapity i dialogi, żeby było „po bożemu”. W ostatnim zdaniu rzeczzonego wstępu, tłumacz uspokaja własne sumienie „odgadnięciem pragnienia Prousta, by być czytany (nie tylko przez wąskie grono intelektualistów)” i zapewnia: „W trakcie tej pracy wciąż słyszałem wewnętrzną muzykę myśli Prousta”, czego doprawdy, po ogarnięciu wzrokiem terenu radykalnej i konsekwentnej „przycinki” dłużących się „nieczytelnie” zdań, nie sposób sobie wyobrazić.

Jeśli nawet, w połowie lat trzydziestych ubiegłego stulecia, znany i wybitny tłumacz mógł stać się świadomym oprawcą tekstu wielkiego pisarza, rzekomo w trosce o jego większą „przejrzystość”, to w rozpędzającym się XXI wieku, z perspektywy zbliżającej się rocznicy stulecia śmierci Marcela Prousta, ta kastracyjna decyzja wymaga nareszcie odwołania i zastąpienia

jej wysiłkiem interpretacyjnym tłumacza z innym bagażem doświadczeń, z inaczej pojmowaną misją translacji tak niezwykłego utworu. Od czasów „usprawiedliwień” Boya, dziś nie do zaakceptowania, język prozy światowej tak dalece ewoluował, że od dawna nikogo już nie zniechęcają długość i meandry Proustowskiego zdania. Boy zdziwiłby się zapewne, jak wiele musiał „wytrzymać” polski czytelnik, przedzierając się choćby przez niepowstrzymany cwał tylko dwóch zdań w powieści Jerzego Andrzejewskiego *Bramy rajy*, zagłębiając się w prozę Joyce’a czy Musila.

Przyznam, że niekiedy bez zachwytu poddawałam się dyrektywie Proustowskiej konstrukcji nie tylko zdania, lecz także całej masy narracyjnej, piętrzącej się na stronicach tłumaczonej przeze mnie na nowo powieści. Korciło mnie, by wyodrębnić jakiś dialog czy akapit, rozpoczynający inny nurt myśli, obrazów. Rzeczywiście, czytałoby się łatwiej. Hamowała mnie jednak onieśmielająca świadomość, że Proust, tworząc cały ten zapisany w rękopisach, notatnikach, na luźnych kartkach, wreszcie – przepisywany na maszynie kosmos, wznosił gigantyczną katedrę, wspartą na filarach siedmiu tomów i masywach przenikających się, sylwicznych narracji. A detale architektoniczne nieustannie zmieniał, udoskonalał, stąd obfitość wariantów jednej sceny, jednej sytuacji. (Metaforę *katedry w słowie* przejął od czasu lektury i tłumaczenia idei Johna Ruskina).

Pozwoliłam sobie na jedno: na drobną modyfikację interpunkcji według tej zapisanej w edycji Plejady z roku 1987: zrezygnowałam z pewnej liczby przecinków, kierując się zasadą niezakłócania biegu narracji, tam gdzie to – w moim odczuciu – zapewniało jej większą płynność. Proust stawiał znaki przestankowe zgodnie z zasadami retoryki, czyli tam, gdzie trzeba było zaczerpnąć powietrza. Rękopisy czytał na głos rzadko, dlatego ustalanie prawideł interpunkcji jest ponoć ciągle przedmiotem sporów badaczy *Poszukiwania*. Korzystając z tego, włożyłam swój palec współtwórcy w lekko uchylone drzwi.

Polemizując moim przekładem pośrednio z Boyem, nie dążyłam, jak on, do spolszczenia pewnych realiów, bardzo francuskich. U mnie „brio-sza” nie zamienia się w polską „babę”, czy w neutralne ciasto, a „tort świętego Honoriusza” nie jest kremowym tortem, jakich wiele. „Muszle świętego Jakuba”, kojarzące się swoim wyglądem z ciastkiem zwanym magdalenką, nie tracą swojej nazwy, z pewnością dobrze znanej polskim turystom czy bywalcom paryskich knajpek.

Coś, na szczęście, powoli się zmienia w postrzeganiu roli tłumacza literatury i jego pracy: przekład przestaje stopniowo być niezauważalny, traci ambicję bycia ekwiwalentem, rozgrywa się w przestrzeni między nieuniknioną obcością a możliwym do osiągnięcia przybliżeniem. W takim ujęciu rola tłumacza – mediatora między tymi strefami – wydaje się nie do przecenienia.

Nigdy nie dość przypominania, że Proust nie pisał po polsku.

Krystyna Rodowska

Adam Lizakowski

Jak zostałem „Noblistą”

(fragment większej całości)

Jesień roku 1988 była dla mnie bardzo pracowita, wcześniej złożyłem podanie o amerykańskie obywatelstwo do Urzędu Imigracyjnego, dlatego musiałem przygotowywać się do egzaminu ustnego i pisemnego. Dużo czasu spędzałem na czytaniu różnego rodzaju skryptów, książek, broszur dotyczących konstytucji i historii stanu Kalifornia, w którym mieszkalem, i Ameryki. Tej najnowszej i tej najstarszej historii z czasów wojny z Anglikami. Egzaminy zdałem bezbłędnie i powstała możliwość, że zanim zostanę oficjalnie zaproszony na przysięgę, otrzymam certyfikat stwierdzający, że jestem obywatelem amerykańskim, oraz paszport. I mogę zmienić swoje polskie nazwisko na jakieś amerykańskie. Na przysięgę czekało się wtedy kilka miesięcy, ale ja nie mogłem się zdecydować, czy zostać przy swoim nazwisku, czy wymyślać sobie coś amerykańskiego.

Sugerowali mi urzędnicy imigracyjni, a nawet zachęcali, bo będzie im łatwiej wymawiać moje nowe nazwisko, poza tym będzie o wiele mniej kłopotów w życiu codziennym. Sam wiele razy miałem ochotę zmienić Lizakowski na amerykańskie np. Lickman lub Litopon. Nowe życie w nowym kraju, dobrze byłoby rozpocząć z nowym nazwiskiem. Tak robiło przede mną miliony Polaków, miliony emigrantów ze wszystkich kątów świata. Długo o tym myślałem, ale żadne mi się nie podobało, ani też żadne oryginalne nie przychodziło mi do głowy. Z tłumaczem Richardem razem bardzo dużo tłumaczyliśmy mojej poezji na angielski, bo Richard sam, beze mnie nie tłumaczył, zastanawialiśmy się, co by tu wybrać, aby nazwisko było i piękne i poetyckie. Sporo też wysyłałem wierszy do amerykańskich pism literackich i miałem wrażenie, że miałbym więcej publikacji, gdybym miał amerykańskie nazwisko. Po co komu taki poeta, którego nazwiska nawet nie można wymówić. Przy okazji zacząłem z ciekawości w miejskiej bibliotece doszukiwać się, czy są jacyś Lizakowscy w Ameryce i okazało się że są, i to sporo ich. Najwięcej przybyło w drugiej połowie XIX wieku i to z Kaszub, a osiedlali się głównie w stanach bardzo zimnych Wisconsin, Minnesota, Dakota.

W październiku tego roku też odbyła się w śródmieściu w Berkeley w siedzibie YMCA promocja najnowszego numeru poetyckiego pisma „The

Galley Sail Review”, w którym była zamieszczona moja twórczość poetycka. Prasa lokalna dużo o tym pisała, a w komunikatach prasowych obok nazwisk miejscowych poetów było zamieszczone także moje. Szczęśliwy zadzwoniłem do pana Czesława, aby się pochwalić, że będę czytał swoje wiersze podczas promocji pisma z wieloma gwiazdami lokalnej sceny poetyckiej z San Francisco, Oakland, czy Berkeley, m.in. Jaimes Alsop, Jack Mueller. Mary Rudge, H. D. Moe, Robert Sward, Morton Felix oraz beatnikiem Jackiem Muellerem. Pan Czesław już wiedział o tym spotkaniu, pogratulował mi, ale ja nie miałem odwagi zaprosić go na nie, chciałem tylko się przed nim pochwalić. Jakie było moje zdziwienie, gdy podczas mojego właśnie czytania wierszy w drzwiach YMCA pokazał się kosmita pan Czesław z przyszlą żoną Carol. Kosmita ubrany jak zawsze w marynarcę, wełniany krawat, wygolony, wyczyszczone buty, jasna wyprasowana koszula i spodnie. Popatrzył na mnie spod krzaczastych brwi, jakoś chłodno, ale się nie przestraszyłem jego wzroku.

Powstało poruszenie, gdybym nie czytał, to bym wstał, podszedł do niego i zaprosił, aby usiadł w pierwszym rzędzie, a tak pan Czesław usiadł sobie skromnie na końcu sali. Oczywiście poeci amerykańscy, beatnicy, albo w kręgów beatników tak samo byli zdziwieni jego obecnością jak ja sam. Oni byli ubrani w stare jeansy, przetarte na tyłkach i kolanach, w rozciągniętych swetrach lub w koszulach flanelowych wypuszczonych na spodnie. Z pierścieniami po kilka na każdej ręce, z indiańskimi wisiorami na szyjach. Polski poeta wszystkim im był znany z nazwiska, ale tylko niektórzy go widzieli na własne oczy, potrafili rozpoznać w tłumie. Miłosz był akademickim poetą, a oni byli poetami ulicznymi tzw. street poets. Nic ich nie łączyło ze światem Miłosza i odwrotnie. Oni czytali wiersze w pubach i kawiarniach, na skrzyżowaniu ulic i w parkach, a on na kampusie uniwersyteckim lub uznanych „biznesowych księgarniach”, które raczej nie miały na swoich półkach tomików wierszy poetów ulicznych. On sprzedawał w księgarniach swoje tomy wierszy po 20, 30 dolarów, a oni po 3 lub 5 dolarów w barach. Często oddawali swoje tomiki za filiżankę kawy, piwo lub lampkę wina.

Nie natrafiłem na obecność polskiego poety w życiu literacko-poetyckim u poetów ulicznych mieszkających nad Zatoką San Francisco, łącznie z będącymi u szczytu sławy poetów z beat generation. Co wcale nie oznacza, że o Miłoszu nie słyszeli, albo go nie znali. Jak już wyżej napisałem, słyszeli, i to bardzo dużo, ale jego poezja i to, co robił, była im zupełnie obca. Natomiast ku mojemu całkowitemu zdziwieniu na licznych

spotkaniach poetyckich, w których uczestniczyłem, gdy powiedziałem, że jestem z Polski, poproszono mnie kilka razy o recytację wiersza Tadeusza Różewicza pt. *W środku życia*. Zнали tłumaczenie Miłosza tego wiersza na angielski, ale chcieli usłyszeć go po polsku było to dla nich ważne. Hippisi-poeci w San Francisco nie znali twórczości Herberta czy Miłosza, ale uczyli się na pamięć wierszy Różewicza. Uwielbiali tę zwrotkę:

*siedziałem na progu domu
ta staruszka która
ciągnie na powrozie kozę
jest potrzebniejsza
i cenniejsza
niż siedem cudów świata
kto myśli i czuje
że ona jest niepotrzebna
ten jest ludobójcą*

Wiersza tego nie znałem, ale w San Francisco Public Library było kilka półek z książkami polskimi. Było sporo Mrożka, polskiej klasyki i tomiki wierszy Różewicza. Piszę to dla tych osób, które z błyskiem w oku pytają się mnie o popularność Miłosza w Ameryce przed i po Noblu. Także dla tych, co w życiu nie kupili tomiku wierszy, nie byli na spotkaniu poetyckim, ale zadają takie i podobne pytania, myślą, że popularność poety w Ameryce, w świecie jest równa popularności gwiazd filmowych. Dostał Nobla, to musiał być znany – tak wciąż wielu myśli – sławny przede wszystkim zbił majątek na poezji, itp. Aby podeprzeć się mocnym argumentem, zacytuję samego poetę, który tak pisze o sobie: „O tak, nie cały zginę, zostanie po mnie wzmianka w czterdziestym tomie encyklopedii w pobliżu setki Millerów i Mickey Mouse”. Jak widać poeta dobrze wiedział o małej roli poezji, zdawał sobie sprawę ze swojej sytuacji i poezji w świecie współczesnym.

Ale wracajmy do spotkania poetyckiego, moja koleżanka Mary Rudge, która była moim przewodnikiem po scenie poetyckiej w San Francisco Bay Area, wtedy zaniemówiła. Po spotkaniu poszliśmy na piwo, tak jak to było w zwyczaju. W pubie po dwóch piwach Mary odzyskała głos, przy wszystkich obecnych oznajmiła, że poeta Czesław Miłosz Noblista przyszedł specjalnie na to spotkanie dla mnie, a dlaczego, bo moja twórczość bardzo mu się podoba. Pochwaliła mój amerykański akcent, mówiąc, że prawie

wszystko zrozumiała, co przeczytałem, a po chwili dodała, kto wie, czy nie słuchaliśmy wierszy następnego polskiego noblisty, wznosząc wysoko w górę rękę z butelką piwa, patrząc w moją stronę. I stało się, od tego czasu zostałem Noblistą, nikt nie mówił mi po imieniu, tylko Noblista. Pół biedy, gdy przedstawiała mnie Amerykanom, ale gdy w towarzystwie byli Polacy na przykład w Cafe la Boheme, to był dla mnie koniec świata. Przypomniałem sobie tę historię przy szukaniu nazwiska amerykańskiego, nawet przez moment pomyślałem, czy nie nazwać się Adam Nobel. Skończyło się jednak na tym, że zostałem przy nazwisku swojego ojca i przodków, którzy na Kaszuby przybyli w połowie XVIII wieku z Holandii (teraz wiem, że jest to udokumentowane w księgach parafialnych na Kaszubach) i głupio bym się czuł, gdybym po dwustu latach, wielu generacjach Lizakowskich zaparł się siebie.

*Adam Lizakowski
Chicago / Dzierżoniów
Wrzesień, 2018 r.*

Krzysztof Saturnin Schreyer

Malta

(fragment dziennika)

14 III 1982

Urlop. Dzisiaj wylatuję. To wszystko było niesamowite. W czwartek 11 III zadzwoniła urzędniczka z linii bułgarskich mówiąc, że w Sofii musiałbym czekać na samolot do Polski aż 2 dni. Ich wina, powinni mi o tym powiedzieć o wiele wcześniej. Do przygotowań, zakupów i spakowania zostały trzy dni i to wcale nie wolne od pracy. Całe szczęście, że Cholewowa wzięła za mnie dyżur w sobotę. Trzy dni obłądu. Samochód bardzo się przydał.

A więc jadę. Telegram wysłałem w czwartek wieczorem, może doszedł, jeśli nie, będzie niespodzianka.

23 IV 82 (piątek)

Minęło ponad pięć tygodni od ostatniego wpisu. W przebiegu jednego życia, a nawet jednego roku, to niewiele. Tymczasem siada do tego zeszytu inny człowiek. Tak inny, że czuję się tutaj obcy. Siada po to, aby odzyskać choć odrobinę tego, co go gnało i czyniło młodym. Może w trakcie pisania zapali się jakaś iskierka, może wybuchnie z niej płomyk ułudy, może znów pojawi się jakiś miraż daleki, do którego iść będzie warto, albo mamić się, że iść do czegoś jest warto?

Jak to wszystko wytłumaczyć?

W Polsce mówi się „jest wojna”. To, co śmieszne dla obserwatorów z zewnątrz, wcale nie jest śmieszne tam. Wojna bez wroga, wojna bez większego rozlewu krwi wydaje się bzdurą, a jednak zła mała nie jednego. Godzina policyjna nie jest zabawą, więzieni są więźniami, wyrzucani z pracy teraz pracy szukają i prawda znów zeszła do podziemia. I nienawiść jest też powszechna, jak w wojnę, i wróciły okupacyjne słowa: kolaborant i konfident. Są też dwa słowa nowe, choć równie nienawistne jak te z lat czterdziestych: – ZOMO, zomowiec – maszyna i kółko dzikiej maszyny do bicia.

Ulice w Warszawie paranoicznie spokojne, bez ducha, bez śmiechu, bez plakatów i napisów, niby normalne, tak jak niby normalne są rojne ścieżki Parku Skaryszewskiego w nagłym wiosennym cieple i normalni ludzie w tramwaju, choć jacyś wyraźnie twardsi i wyraziści, może uprzejmiejsi, a w każdym razie mniej kłótniwi niż kiedyś, bez tego uśmiechu w pogotowiu, bez tej miękkości Maltańczyków, czy innych, ufnych i rozpieszczonych narodów. Niby normalne gazety, rzadko czytane, niby normalny język radia i telewizji – na ogół nie słuchanych, nawet niby normalne wielkanocne stoły ze zdobytą żywnością. Tylko groby wielkanocne w kościołach są prawdziwie okupacyjne, z bielą i czerwienią, z orłami i Matką Boską Częstochowską, z drutami kolczastymi i żałobą. W rozmowach informacje o internowanych, o obozach, o wyrzuconych z pracy i o tym, co robić i o tym, gdzie i jak ludzie demonstrują swą solidarność, wystawiając telewizory za okno, urządzając minutowe, symboliczne strajki, składając kwiaty pod pomnikami, nosząc powszechnie oporniki w klapach. Poza tym każdy spotykany znajomy wnosi coś nowego o wojnie, choćby to, gdzie go zastała, nie mówiąc o setkach przekazywanych kawałów. Przyszłość jest niejasna, bez perspektyw. Ludzie odprowadzający przyjaciół lub rodziny na lotnisko życzą powszechnie: „bądź tam jak najdłużej, nie wracaj szybko”. Malta, o której opowiadałam w klinice, Malta, ze swymi nędznymi szpitalami, ze swymi zacierzewanymi politykami, drobnymi sklepowymi oszustwami, ze swą wyspiarską chytrą i ograniczonością, mała skalista wysepka, wydaje się stamtąd rajem bez skazy, pustym rajem, z którego teraz będę tęsknił do tego polskiego trudu, do tego polskiego intensywnego życia, pełnego dziwnych wieści, nadziei, przepowiedni – jak to w wojnie, którą podobno przeżywa się podwójnie (...)

25 IV 1982

(...) Nie było mnie tam i wielka szkoda, ale dobre i to, że byłem na przełomie marca i kwietnia, że widziałem patrole z bronią demonstracyjnie w pogotowiu, że śpieszyłem się z Miłką do domu, aby zdążyć przed godziną policyjną, że czytałem ulotki, że słyszałem relacje wielu ludzi, że byłem w klinice, że widziałem jakiego typu „normalność” teraz panuje, że widziałem samotną, wyzywającą świeczkę w mieszkaniu na St. Augusta i człowieka czającego się za nią w poszukiwaniu odzewu, nikłego wbrew naszym nadziejom, czego ani Basia, ani Miła nie bardzo chciały przyznać, a co mnie wcale nie dziwiło, bo jednak Warszawa to nie małe miasteczko

z jednym zakładem pracy, tu komunikacja jest trudna, ludzie niejednolici i przezorni, nie mówiąc o tym, że nasza dzielnica nie należy do wyróżniających się. Nie mniej widać, że nawet ci, którym Solidarność była piaskiem w oczach, teraz nie czują satysfakcji, jakby w trakcie zaciętej sportowej walki nagle popełniono morderstwo. To znamienne, że nikt, niezależnie od dotychczasowych poglądów, nie śmie nawet półgębkiem chwalić stanu wojennego, a młodzież, sądząc po wielu oznakach, jest dla tej ideologii (jaka to zresztą ideologia, czy ona istnieje?) stracona bezpowrotnie, ale też na niej restrykcje i stała presja odbijają się najbardziej. Oporniki noszą dzieci tych, którzy by się tego najmniej mogli spodziewać. Jest więc ponuro i źle, ale jednocześnie, jak mi się wydaje, staje się z tym społeczeństwem coś dobrego. Ciężko doświadczone, jest w sensie moralnym i ideologicznym zjednoczone bardziej niż kiedykolwiek w powojennej historii. Jest zjednoczone na nie, ale to „nie” jest teraz uzasadnione głębiej, tak głęboko, że z cechy negatywnej przerodzi się w pozytywną i z negacji, z oporu, przez świadome postępowanie, przez zachowywanie więzów, przez aktywność tych, którzy są „drożdżami”, dojdzie do tworzenia organizacji tak silnych, że przedsiernpniowi „dysydenci” będą się mieć do nich jak odrobina pyłku (wprawdzie pyłku w oku) do burzy piaskowej. Bez wielkich przewrotów, bez rozlewu krwi, jednolita postawa społeczeństwa będzie zmuszała rządzących do setek mniejszych i większych kapitulacji. Ciężka i długa droga, ale zaowocuje. Jestem również pewien, że zaowocuje w sztuce. Tym razem owe mityczne szuflady pisarzy, nie zawsze, mimo aluzji i przechwałek rzeczywiście coś zawierające zapełnią się po brzegi.

Nie być tam? Nie doświadczać stałych podniet zwątpienia i radości? Spotykać się nadal za granicą z Polakami, którzy już mało wiedzą, którzy już mędrkują, już się odgradzają, już się boją?

Krzysztof Saturnin Schreyer

TERESA

Pięciu narzeczonych miała Teresa, blondynka,
I każdy z nich stanowił materiał na męża —
Grzesiek, zapaśnik, łamał niczym kołem.
Tadek, elegant, trafiał zwykle pod kołnierzyk.
„Rebus”, dowcipniś — słynne „blachy” z biegu.
Dzidek, skrupulant, po ciosie liczył do dziesięciu.
Najgorszy był Kazik — bił lewą protezą.
Lecz cóż te potęgi, gdy groza junacka podnieca.
Zmieniałem adresy, przebrania, wziąłem lekcje dżudo,
By móc z ciałem Teresy łączyć się dyskretnie.
Choć miałem ten uraz, gdyśmy szli do łóżka —
Delikatnie sprawdzałem twardość jej bicepsów.

Jerzy Górzeński, z tomu „Młode lata bezsenności”
Czytelnik, Warszawa, 1977, strona 100